

- Nie będzie wiosny w handlu — str. 4
- Okoliczności śmierci żony Stalina — str. 12
- Ślub był, ale czy taki o jakim marzyła Violetta Villas — str. 14
- „Malowany ptak” - J. Kosińskiego (fragment) str. 11

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 15 (1567) ROK XXXI 9 KWIETNIA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Piękne miasto dla krasnoludków. Arkadia dla ludzi podtruwanych w wielkich miastach. Jak się chce — to można wiele osiągnąć. I to wcale nie jest bajka.

Stół na tysiąc osób

MAREK KOPROWSKI

Do najmniejszego miasta w Polsce jechałem zaopatrzyć w informacje, że mieszkańcy gródu zbudowali na rynku długi stół, przy którym zasiadają w dni szczególnie uroczyste i świętując, uczęszczając a gawędząc. Na miejscu niecierpliwie poszukiwałem niezwykłego, jak na dzisiejsze czasy, symbolu zbratania społecznego. Informacja okazała się nieprawdziwa. Stołu, niestety nie ma, ale... o tym za chwilę. W każdej bowiem nieprawdzie ukryte jest jakieś ziarenko prawdy.

Wyśmierzyce, bo o tym mieście mowa, leżą między Białobrzegami a Nowym Miastem n/Pilicą, 60 km od Radomia. Niespełna tysiąc dusz żyje w miejscowości pełnej uroku, wspaniałej cisy i spokoju. Dziewiczo czystego powietrza nie defloruje żaden dymiący komin ani tuman spalin samochodowych. Główne ciążki komunikacyjne, samochodowe i kolejowe, omijają Wyśmierzyce. Jest tu jedna taksówka i kilka samochodów prywatnych i gospodarczych. Jeżdżą jednak bardzo rzadko, częściej widać wozy zaprzęgnięte w nieszkodliwe dla środowiska naturalnego rumaki. Nie opodal przepływa szerokim zakresem Pilica, niosąc wody na tyle jeszcze czyste, że można się kąpać bez obawy o wygnicie ciała, stofilokoki

Aby założyć dobrze prosperującą spółkę, nie trzeba wielkich pieniędzy ani znajomości. Wystarczy, że przynajmniej jeden z udziałowców posiada wybitne, nieprzeciętne zalety umysłu. Powinien być ktoś taki, gdyż musi mu się udać rzecz arcytrudna: zbudowanie swojej i współników pomyślności na prawie sprzed 54 lat, które — odkryte ponownie — wyprzedziło nasz czas, wybierając daleko w przyszłość, za kurtynę następnych etapów "reformy".

Szanowane prawo z niepoważnym szczegółem

Tak, proszę państwa, wcale nie żartuję — naprawdę, wystarczy 15 zł udziału i 300 zł wspólnego kapitału, aby zarejestrować spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Rejestracja odbywa się w oparciu o polski Kodeks Handlowy z 1934 roku. W kodeksie tym napisane jest jednak czarno na białym, że minimalny kapitał spółki z o.o. wynosi 10 tys. zł, co było przed

Wszyscy chcą zakładać spółki. Działa stare prawo o spółkach z 1984 roku. Czy spółki utrzymują się na rynku?

Masz 15 złotych? Możesz założyć spółkę

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Troszkę przez to zawisło w teraźniejszości, stawiając swoich użytkowników w zabawnej sytuacji: co rusz zeskakują z poziomu teorii na grunt realistów, by po chwili znów wskoczyć wyżej, w krainę czystego prawa, gdzie można się upajać szerokimi perspektywami. Przeskakując to, aby było bezpieczne, wymaga zaradczym trzeźwości i wizjonerstwa, a nade wszystko — gruntownej wiedzy o przepisach, i to zarówno współczesnych, jak i przedwojennych. Nic więc dziwnego, że wiedza o prawie stała się obecnie towarem, za który trzeba słono zapłacić. Zaczepnijmy z niej pierwszą kropelkę. Czytelnikom dla zachęty — zupełnie gratis — odpowiadam od razu na trzy najprostsze pytania:

— Ile jest warta ograniczona do minimum odpowiedzialność współnika?
— Tyle, ile egzemplarz codziennego wydania gazety.
— Ile wynosi kapitał spółki, z możliwie najbardziej ograniczoną odpowiedzialnością?
— Załedwie 300 złotych.
— A samo zadawanie podobnych pytań, ile mniej więcej kosztuje?
— Nic, jeśli opanujemy do perfekcji umiejętność takiego prowadzenia rozmowy w "stniejącej już firmie, aby wyciągnąć za darmo jak największą część z niej, sprawując przy tym wrażenie, że zupełnie nam na nich nie zależy. Ponad 100 tys. zł — jeśli nie mamy do tego zdolności. Nie jest to już wówczas chytra przepytanka, lecz fachowa porada, czyli consulting...

wojną niezłą sumką. Zredukowano ją prawie do śmieszności dopiero w 1950 roku. Ustalono po prostu, że 100 przedwojennych złotych odpowiada załedwie 3 złotychkom ludowym. To, co zostało po przeliczeniu, w żart obróciła następnie inflacja.
— Nie można za to wnieść samego prawa, zawartego w kodeksie. Niepoważne szczegóły nie ujęły mu wcale — jako całości — powagi.
— Przedwojenny Kodeks Handlowy jest tak doskonały, że poza tym jednym drobniaczkiem nadaje się w zupełności — uważa sędzia Tadeusz Kepniak z Sądu Rejonowego. — Nie warto go ruszać, bo i tak nie lepszego się nie wymyśli.

— Daleko wyprzedza obecną praktykę gospodarczą — takie jest zdanie szefa agencji marketingowej, który pragnie zachować anonimowość.
Wychwalany pod niebiosa kodeks o mało nie został całkowicie skasowany w 1984 roku, gdy wprowadzano prawo cywilne. Zachowano wyłącznie fragment dotyczący spółek, gdyż zawierał podstawę prawną dla istnienia m.in. Banku Handlowego S.A., który — jak informują końcowe literki — jest spółką akcyjną, ale nietypową, bo całe 100 procent akcji posiada państwo.
W dyspozycji łódzkich sędziów i urzędników znajduje się raptem 7 egzemplarzy kodeksu. Udziałowcy pilnie weryfikują go w bibliotekach. Obkuci na pamięć wybierają się potem do Sądu Rejonowego przy ul.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Same znajome twarze. Dlaczego wszystkie panie noszą się na czarno? Nakaz: zrywać ze schematami! Wokoło wielka fabryka informacji.

12 godz. po drugiej stronie telewizyjnego ekranu

EUGENIUSZ IWANICKI

W Łodzi o bladym świetle było mroźno i sucho. Warszawa powitała nas — to znaczy mnie i Grzesia Gałasińskiego — z dymką śnieżną i mroźnym wiatrem. Tę psią pogodę całkowicie zrekomensowało nam w gmachu telewizji na placu Powstańców Warszawy. Trafiliśmy na przyjęcie. Słowo przyjęcie jest tu jak najbardziej na miejscu, bowiem na naradę zespołu Dyrekcji Programów Informacyjnych red. Marek Tumanowicz przyniósł ciastka i kawę. Na moje pytanie, czy redaktor Tumanowicz jest człowiekiem z natury rozrzuconym, usłyszałem, że nie, że dotąd nie zauważono u niego cech charytatywnych, natomiast to „wystawne” przyjęcie jest z okazji jego nominacji na jednego z zastępców dyrektora Andrzeja Bilika.

Byłem ciekaw tej narady.

Dyrektor Andrzej Bilik zapraszając mnie, powiedział, że ocena dnia minionego oraz planowanie na dzień bieżący odbywa się w jego gabinecie, ale często są organizowane zebrania całego zespołu, na których każdy może wyrzucić z siebie co mu leży na sercu i wątrobie.

Siedliśmy z Grzesiem pod ścianą, jakże daleko od tac z ciastkami! A tu same „znajome” twarze, które niemal co dzień goszczą w naszych mieszkaniach. Grzesz Gałasiński strzelał oczami na wszystkie strony zarumieniony niczym piwoniami. Uwaga natury ogólnej: prawie na każdym kroku czuje się wielką sympatię, jaką cieszy się tu Andrzej Bilik. Może dlatego, że nie ma w nim owego zademcia, jakie cechuje większość ludzi w Polsce na kierowniczych stanowiskach? Może dlatego, że będąc znakomitym publicystą nie musi brakować w rzemiośle dziennikarskim nadrobić pychę i zarozumiałość? Wreszcie może dlatego, że swoich kolegów — podwładnych traktuje jako współautorów tego, za co sam ponosi odpowiedzialność personalną?

Narada przebiegała mniej więcej tak:
— Na dziś — mówi dyrektor Andrzej Bilik — mamy następującą sprawę. Po pierwsze — trzeba dokończyć Targom Poznańskim, które podobno poddano powszechnej krytyce, po drugie — z Łodzi sygnalizują o powołaniu nowej firmy ubezpieczeniowej, a więc może uda się wreszcie przełamać monopol PZU, po trzecie — mamy informację o powoływaniu spółek z kapitałem mieszanym, po czwarte — odbędzie się spotkanie Rakowskiego z Młyńskim. To z kraju. Zagranicą: zakończenie wizyty Gorbaczowa w Jugosławii, atak na Nikaragę — zbiera się w tej sprawie Rada Bezpieczeństwa, katastrofa samolotu kolumbijskiego, w czasie której zginęło 130 osób, trzęsienie ziemi w Tokio...

I tak dalej.
Jest dopiero dziesiąta, dalekopisy nie milkną, na monitorach idą przekazy CNN i „Wzrostu”.

Redaktor Andrzej Bilik mówi dość długo, tak długo, że nagle sprostuje, iż talerze są puste, więc wola rozpaczyliwie:

— Zostawcie mi bodaj jedno ciastko!

Najwięcej dyskusji wywołała nowa inicjatywa, jaką było nadanie dziennika tv z Koszalina. Zdania były podzielone: ci, którzy ten program robili, byli za jego kontynuacją, twierdząc, iż to ma szerszą wymowę propagandową, natomiast sprzeciw wyrażali ludzie nie biorący w nim udziału.

Zapamiętałem wspaniałą zbitkę słowną. Ktoś mówił: — Światło na tę sprawę rzucił kolega Ciemny!

— I nie bez kozery! — głośno dodaje Andrzej Kozera. Zapytałem, czy impreza tego typu jest droga, czy czasem koszt nie przekroczył jej wartości propagandowej. W odpowiedzi usłyszałem, że wyjazd do Koszalina:

— Był średnio drogi: nie da się go przeliczyć na banknoty Narodowego Banku Polskiego. Robienie telewizji na żywo ma wartość niewymierną. Dziesiątki, a nieraz setki osób asystowało przy montażu programów. To uświadomiło ludziom, że informacje przekazywane w dziennikach tv nie są

poddawane manipulacji. Grzegorz Woźniak: — Trzeba poczekać na reakcję odbiorców.



Foto: Andrzej Górczyński

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,

32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu

literackiego: Henryk

Pustkowski

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorczyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Andrzej

Karolczak.

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wronska,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,

Marek Brzeziński (Londyn)

Bohdan Gadomski

Andrzej Gebarowski,

Grzegorz Gazda, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasyl

Kocznów (Iwanowo),

Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzeminski,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.

Strycki, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie od-
powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— instytucje i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” —

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” —

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 3.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” —

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 4.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” —

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 5.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” —

opłacają prenumeratę w urzędach

Przegląd prasy

Teoria ewolucji wszechświa-
ta i pochodzenia człowieka od
pramajpy była szokiem dla
Kościoła chrześcijańskiego.
Przeczyli bowiem temu, co
głosi Pismo Święte. Z czasem
jednak została uznana przez
teologów za prawdziwą. W
miesięczniku „PRZEGŁAD
POWSZECHNY” (nr 3)
książki Michał Heller pisze:

„Wszystko zaczęło się od
Wielkiego Wybuchu, który za-
początkował trwającą do dziś
ekspansję kosmosu. W trakcie
tej ekspansji powstały jadra a-
tomowe wszystkich pierwia-
stków chemicznych, jakie o-
becnie istnieją we wszech-
świecie, wszystkie gromady ga-
laktyk, galaktyki i gwiazdy.
Kosmologia przewiduje dwa
warianty dalszego ciągu: albo
rozszerzenie się świata zame-
ni się w kurenie i historia
kosmosu, a przynajmniej obec-
ny jej rozdział, skończy się
w niewyobrażalnie wielkich
gęstościach i ciśnieniach, albo
rozszerzenie będzie trwało bez
końca, prowadząc świat ku
pustce i zamarzaniu. (...) Nie
potrafimy dziś jeszcze zrekon-
struować ścieżek ewolucji, ale
trudno byłoby wątpić w to, że
wiodły one przez coraz więk-
szą strukturalizację związków
węglu, która kiedyś — prze-
kroczywszy krytyczną granicę
nagromadzenia się biochemicz-
nej informacji — wydała z
siebie życie. Proces, już te-
raz biologicznej ewolucji, po-
stępował nadal, a nawet — jak
się zdaje — nabierał przyspie-
szenia. Przekroczenie kolejnej
granicy informacyjnej wpro-
wadziło do świata błysk świa-
domości. Rozpoczęła się ewo-
lucja człowieka. Stajemy w ob-
liczu jeszcze większej tajemni-
cy niż w przypadku pojawie-
nia się życia. Jest to godne zdu-
mienia, że świadomość, której
dotykamy, każda nasza myśl,
jest dla nas dotychczas tak
zupełną zagadką. Na tym ob-
szarze, gdy brak nam danych
ze strony nauki, musimy kie-
rować się regułą metodologicz-
ną sprawdzoną licznymi suk-
cesami w przeszłości. Nie wol-
no nam traktować ludzkiej
świadomości jako wyniku nad-
zwyczajnej ingerencji z zew-
nątrz, lecz jako rezultat dzia-
łania praw przyrody. Czytelni-
kom zaniepokojonym, że usu-
wamy Boga z ewolucji wszech-
świata, przagniemy zwrócić uwagę
na fakt, że Stwórca nie musi
posługiwać się brutalnymi in-
gerencjami w bieg przyrody,
gdy ma do dyspozycji bardziej
subtelny i zarazem bardziej
radikalny metodę”.

PREHISTORIA RODZAJU LUDZKIEGO

W następnym artykule Wła-
dysław J. H. Kunicki-Goldfin-
ger podkreśla, że jednym z
największych osiągnięć czło-
wieka jest nauka. Powstała o-
na dopiero w czasach Renes-
ansu, ale dążenie do poznania
ma bardzo długą historię. Su-
bietywne struktury poznaw-
cze mają korzenie biologiczne,
są wynikiem ewolucji.

„Człowiek jako żywy orga-
nizm należy do Naczelnych i
jest blisko spokrewniony z
małpami, czeladkami, małpami
złotymi, małpami (szym-
pansy, goryle). Jakiś wspólny
przodek, nasz i ich, żył pewno
ponad 10 mln lat temu. Nie
ma powodów do przypuszcze-
nia, że człowiek nie odziedziczył
po swoich przodkach
zwierzęcych jakichś struktur
poznawczych, jakiegoś aparatu
racjonalnego. Człowiek
jednak dzięki pewnym osobli-
wościom budowy mózgu wy-
kształcił zdolność do myślenia
symbolicznego, tworząc nie tyl-
ko symbole ikonizujące, do cze-
go zdolne są i wyższe zwierzęta,
ale też symbole pojęciowe,
abstrakcyjne; zdobył umiejęt-
ność mowy, sporządzania na-
rzędzi, wykorzystania ognia,
co wraz z rozwojem różnych
form życia społecznego i róż-
nych sposobów kooperacji do-
prowadziło do powstania kul-
tury. (...) Rozwój wiedzy i
technologii zapoczątkowany być
może przez naszego praprzod-
ka sprzed przeszło 4 mln lat.
australopiteka, postępowal nie-
słyszalnie powoli, aż do poja-
wienia się naszego gatunku,
Homo Sapiens. Uległ wtedy
pewnemu przyspieszeniu, ale
nadal był powolny. Dopiero
rewolucja neolityczna i wyna-
alezienie uprawy roślin oraz

hodowli zwierząt przyspieszyły
ten proces, przy czym samo
przyspieszenie zaczęło się zwie-
kszać doprowadzając do obec-
nych, zaskakujących człowieka
swoją szybkością i zasięgiem
zmian. (...) Człowiek rozplecił
się niesamowicie, wkroczył w
fazę wykładniczego rozwoju po-
pulacji, z sukcesem wyszedł z
konkurencji z innymi gatu-
kami żywych istot. Poznanie
ziroworozsądkowe, z którego po-
tem wyrosło poznanie nauko-
we i technologia, teraz opiera-
ją się już na nim, były
więcej istotnie potężnymi śro-
dami adaptacji gatunku”.

UPADEK KULTURY MYKEŃSKIEJ

Na temat prehistorii czło-
wieka wciąż wiemy bardzo
mało. Nie zresztą dziwnego,
skoro nie znamy dobrze histo-
rii cywilizacji. W miesięczni-
ku „PROBLEMY” (nr 3) dr
Kazimierz Lewartowski pisze,
że musimy zmienić poglądy
na dzieje Grecji od XIII do
X wieku p.n.e., kiedy upadła
kultura mykeńska i zapadł
chaos.

Najnowsze badania wskazu-
ją, że około 1200 roku p.n.e.
przez Grecję przetoczyła się
fala zniszczeń. Wiele ośrodków
legło w gruzach. Znaczna
część ludności emigrowała w
inne rejony. Dlaczego? Doty-
chczas sądzono, że spowodowa-
ła to inwazja Dorów. Ale naj-
prawdopodobniej przyczyną
były zupełnie inne.

„Archeolodzy badający My-
keny i Tiryns znaleźli w war-
stwach zniszczeń wyraźne śla-
dy potężnego trzęsienia ziemi
— poprzecinane i odchylo-
ne od pionu mury teras, na
których stały budowle. W sa-
mych Mykenach odkryto ru-
iny domu z uwiecznionymi we-
wnątrz zwłokami człowieka, praw-
dopodobnie przywołanego
spadającym stropem. Samo
trzęsienie ziemi nie wy-
starczyło dla wytłumaczenia
wszystkich zjawisk. Uwzględ-
nić tu jeszcze musimy charak-
terystyczną cechę gospodarki
mykeńskiej: Grecja była krajem
ubogim w ziło, kamień
nie szlachetny; trzeba było
sprowadzać cynę i miedź, su-
rowce niezbędne w tamtej e-
poe do wytwarzania broni i
narzędzi. Dobra ta wymieniano
za wino, oliwę, wełnę, a sys-
tem ekonomiczny znajdował
się pod absolutną kontrolą pa-
łacu. Wielkie trzęsienie ziemi
mogło spowodować załamanie
się całego układu. Do tego
doszła bardzo zła sytuacja we
środkowym basenie Morza
Śródziemnego, nawiedzonych
inwazją tzw. Ludów Morza,
która całkowicie przecięła tra-
dycyjne szlaki handlowe. Wo-
bec całkowitego krachu gos-
podarki części ludności (a zwa-
żając warstwy rządzącej) mu-
siała ona gdzieś indziej poszu-
kać lepszego losu”.

A co z Dorami? Nie jest
wykluczone, że przybyli oni do
Grecji już przed Achajami,
lecz zostali przez nich zdomi-
nowani i w społeczeństwie my-
keńskim stanowili niższą war-
stwę. Kiedy zaś Achajowie
wymigrowali, plemię Dorów
przystąpiło do odbudowy kra-
ju i stopniowo rodziła się Gre-
cja antyczna.

Według starożytnych opowie-
ści na czele Dorów przybył
potomkowie Heraklesa, któ-
rych wcześniej wygnano z
Grecji. W legendzie tej o po-
wrocie Heraklida do ojczyzny
zawarta jest być może prawda
o wyzwoleniu Dorów spod pa-
nowania Achajów i odzyskaniu
kontroli nad dużą częścią Pe-
loponezu.

„Trudno się dziwić, że po
kilkuśnastu latach wspólnej eg-
stencji kultura materialna Do-
rów i Mykeńczyków stanowiły
jedność i są dla dzisiejszego
badacza nie do odróżnienia”.

Od zamierzchłej przeszłości
przechodząc do czasów nam
bliższych. W miesięczniku „LI-
TERATURA” (nr 1) polecam
interesującą rozmowę Aleksan-
dra Fluta z laureatem Nagrody
Nobla Czesławem Miłoszem.

PRZYKRE DOŚWIADCZENIA STUDENCKIE

Po szkole średniej w 1929
roku Czesław Miłosz zaczął
studiować polonistykę na U-
niwersytecie im. Stefana Bato-
rego w Wilnie. Ale już po
dwóch tygodniach przeniósł
się na prawo. Wpłynęła na to
m.in. feminizacja filologii pol-
skiej.

„Myślę, że to, co mnie szyb-
ko przegoniło z polonistyki,
było jakoś związane z moim
machismo, z moim męskim
samopoczuciem, ponieważ wy-
dział ten nazywał się wydziałem
matrymonialnym; dzie-
więćdziesiąt pięć procent stu-

dentów stanowiły panienki.
Bardzo zresztą miłe, przewa-
żnie noszące obfite pukle i ko-
ki pod czapkami. (...) Poza
tym prawo miało stymulację
męską, czyli machismo dlate-
go, że kobiet tam było stosun-
kowo niedużo i były bardzo in-
teligentne, co jest nie do po-
gardzenia”.

Na trzeci rok Czesław Mi-
łosz przeniósł się na Uniwersy-
tet Warszawski. Zdecydował
o tym m.in. lek przed staty-
styką, którą dreczył straszli-
wie i terroryzował studentów
wileńskich prof. Gutkowski.
Na wykładach w stolicy był
taki tłok, że nie można się by-
li dopchać. A potem były eg-
zaminy u prof. Jarry’ego...

„Może dzisiaj to nazwisko
nie tak wiele mówi. Jarry, nie
tak dawno, umarł w Anglii o-
toczony chwałą uczoności. Ale
Jarry był profesorem miano-
wanym dość przypadkowo: je-
dnym z tych, którzy przez jak-
ieś protekcje dostawali się na
uniwersytet, zostawali miano-
wani profesorami, a w istocie,
reprezentowali nieuctwo kom-
pletne. Jarry był profesorem
teorii prawa i napisał podre-
cznik teorii prawa — ja od
wielolet nie miałem go w re-
cie, ale przypuszczam, że to
jest kompilacja. Jakis zbiór
faktów i właściwie i żądał, że-
by na egzaminie, tylko tymi
słowami zdawać. Ponieważ
chciałem coś tam rozumieć, o-
błąłem. Obłąłem ten rok. Prze-
żarę głównie”.

Trzeci rok studiów powtarzał
już w Wilnie. Czuł się stras-
zenie upokorzony. I niestety
musiał zdawać statystykę u
groźnego prof. Gutkowskiego.
Ale zdał! Czy z pobytu w
Warszawie, gdzie statystyka
była łatwa, pozostał mu w pa-
męci któryś z profesorów pra-
wa?

„Nie. Żaden. (...) Ale cały
ten rok akademicki, poza tym
nieszczęsnym Jarry, który —
oby mu ziemia lekka była —
był osłem zwyciężającym, był na-
m”.

ZWIERZENIA KALINY JĘDRUSIA

Z wywiadów wspomnienio-
wych warto również przeczytać
rozmowę Piotra Grochmal-
skiego z Kaliną Jędrusiak opubli-
kowaną w tygodniku „WPROST”
(nr 14). Okazuje się, że akto-
rka rozczuliwała się po nocach
w utworach Stanisława Dygata
już jako licealistka. Na egzami-
nie do szkoły teatralnej przygo-
towała duży fragment „Je-
zora Bodeńskiego”. I na kon-
cowy egzamin też wybrała Dy-
gata.

„Przez lata, nie wiedząc o
tym, szłam ku niemu. Bo o-
pierwsza praca, Teatr „Wy-
brzeże” w Gdańsku. Stanęłam
wtedy przed tym człowiekiem,
który tam, równie przypadko-
wo jak ja, przybył, aby zostać
kierownikiem literackim.
Zbieg okoliczności, ale jakis
fascynujący. I od razu poka-
chałem mi jego wrecz chłopięcą
wrażliwość. Siedzieliśmy tam
zanurzeni w czarodziejskim
świecie, otoczeni wspaniałymi
ludźmi. Rozmowy do późna w
noc, długie spacery o wscho-
dzie słońca brzegiem morza —
i ta atmosfera refleksyjności,
intymności wobec bezmiarów. A
wtedy zaczęło się nadzwyczaj
kiczowato i banalnie — od
wspaniałej, romantycznej miło-
ści”.

Podróż poślubną w 1958 ro-
ku odbył śladem młodszych
człowiek fascynacji Stanisława
Dygata: Capri, Neapol, Wene-
cja, Werona, Rzym, Paryż. Po
raz pierwszy Kalina Jędrusiak
jadła banany i zobaczyła nor-
malne życie.

Później w ich domu często
bywali i nawet mieszkali Ka-
zimierz Kutz i Zbigniew Cy-
bulski. Gospodarz traktował
ich jak synów. O słynnym
aktorze Kalina Jędrusiak mówi:

„Taki wspaniały chłopak,
przedwojenny harcerz, co to:
„Bóg i Ojczyzna”, rozjął się
siebie wokół garści. I na-
głe posmutniał, coś w nim pękło
jeszcze próbował walczyć, nie
chciał się poddać, a jednak
przegrywał, zapadał się w so-
bie. Wreszcie zaczął płakać i pa-
lić. On. Zbyszek! Niepojęcie...
Aż w końcu... to musiało się
tak skończyć. Coraz rzadziej
miał odwagę być trzeźwym. I
zginął pijany”.

Pod koniec życia Stanisław
Dygata czuł się skrzywdzony i
rozzoryczony. Powiedział, że
nie chce już żyć w tym po-
dłym kraju.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Broń słabych

W sztafecie pokoleń przejęliśmy cały bagaż nakazów i zakazów
wyznaczających się z dawnego kodeksu rycerskiego, bez względu
na to gdzie nasza kolebka stała — w pałacowej komnacie, rze-
mieśniczej izbie czy wiejskiej lepiance. Bez żadnej wątpliwości
za rycerskie, tj. godne pochwały i naśladowania uważane było
frontalne zaatakowanie przeciwnika, z otwartą przybitką, żeby
wiedzieć, z kim ma sprawę, niehonorowo natomiast było zajęcie
go chytlikiem od tyłu. Słowem, fair play, jak w (prawdziwym)
sporcie.

Proszę sobie jednak wyobrazić, że jakiś tam rycerz spod ciem-
nej gwiazdy (a takich było немало) sponiewierał i złupił czło-
wieka prostego stanu, to co wtedy? Jeśli wśród czytelników są
ludzie lubiący wypowiadać się wzniosłe o powinnościach honoru,
to będą oni obstawać przy tym, że pokrzywdzony w żadnym
wypadku nie powinien znieść się do podstępów, lecz zmierzyć się
ze swoim krzywdicielem twarzą w twarz. Oznaczałoby to w
praktyce, że zgrzebną i bosa kmiotek powinien, wyrwawszy szta-
chetę z płuca rzucić się z nią na wroga zakutego w stal i zbroj-
nego w miecz. Ja natomiast byłbym przeciwny temu, żeby skrzyw-
dzonego, na domiar wszystkiego co wycierpiał, miał jeszcze ponieść
nieuchybna śmierć.

Jeśli ktoś uważa, że obracam się w rejonach oderwanych od
życia w sferze wyimaginowanych konfliktów, to się myli. Wy-
stępuje tu bowiem przeciwko tym, co mają zwyczaj podciągając
wszystko pod strychulec frazesu i np. chcą odebrać szansę do-
chodzenia sprawiedliwości autorom anonimowych skarg i zażale-
nia, opowiadając się za wrzuceniem ich do kosza, ponieważ, jak
twierdzą, skrzywdzony powinien mieć odwagę wystąpić pod wła-
snym imieniem i nazwiskiem, w przeciwnym razie grozi nam za-
lew oszczerstw i pomówień.

Od razu się zastrzegę, że nie domagam się przecież dawania
wiary anonimowi przed skrupulatnym sprawdzeniem prawdzi-
wości podanych faktów, wiem również, że nie brak ludzi, którzy
za zwykłej zawiści lub pieniać się znajdują upodobanie w o-
szczerzonych anonimach. Ale, niezależnie od tego, ciekaw jestem,
co państwo myślą — czy anonim, zawierający skargę na jakąś
osobę czy grupę osób, pisze z reguły ktoś bardzo uosunkowany,
mający tzw. chody i plecy, żeby poskarżyć się władzom na nie
nie znaczącego chudopacholka? Chyba się nie mylę, że z reguły
jest odwrotnie, że mianowicie do anonimów ucieka się zwykle
człowiek zagubiony i słaby, zbyt wyeksploatowany, żeby się zmierzyć
otwarcie z kimś potężniejszym. A ile razy zresztą podpisana
skarga trafiła do rozpatrzenia w ręce tego przeciwko komu jest
skierowana? Niejednemu „odważnemu” żyć się może odciec...

Nie wątpię co prawda, że skargi i zażalenia trafiają do naj-
wyższych czynników w państwie są załatwiane zgodnie z pra-
wem i sprawiedliwością, ale czy każdy ma tyle ufności, tyle
hartu ducha, no i zasobów materialnych, żeby przetrwać w ja-
kiejś takiej kondycji nerwowej bardzo długi i nieraz okres kole-
jnych decyzji i odwołań. Nim słońce wschodzi, rosa czy wyje...

Jeśli to nie bajka, ludzie żyli kiedyś niedzieją, że do ich wioski
zjedzie król sprawować sądy, ukazać wszelką nieprawdę i hojnie
wynagrodzić krzywdy, albo że podlego trafi piorun zesłany ręką
boską i wezmą go czarci. Dziś zwracają się ludzie (niezależnie od
anonimów) do prasy lub KC, bo o króla a nawet o karzący piorun
coraz trudniej. I myślę, że w wielu życiowych sprawach, nie tyl-
ko dotyczących prawdziwego lub rzekomego podłożenia bomby
przez terrorystów lub w sprawie przemytu narkotyków czy fał-
szowania pieniędzy, a także w niektórych innych sprawach na
tyle ważnych, że „na wszelki wypadek” lepiej sprawdzić, nie-
mniej ważne są sytuacje, kiedy zachodzi podejrzenie wykańczania
człowieka dochodzącego prawdy przez pozbawienie skrupułów
jednostkę lub kilku, a jak się potem okazuje, nie bez powodów.
Lepiej moim zdaniem nawet potrudzić się nadaremnie i stwier-
dzić, że skarga okazała się fałszywym donosem niż pozostawić
pokrzywdzonego własnemu losowi.

Być może dopracujemy się już niedługo, dzięki demokratycz-
nym reformom, tak powszechnego wzrostu zaufania społeczeń-
stwa do władz wszystkich szczebli, że występowanie otwarte nie
będzie wymagało szczególnie twardego charakteru, a odwaga
stanie się do tego stopnia, iż nawet nieśmiały i lekliwi będą do-
chodzić sprawiedliwości — jeśli w ogóle zajdzie taka potrzeba
— z otwartą przybitką.

Oddając się marzeniom byłbym jednak za tym, żeby brać ży-
cie takim, jakie ono jest i nie upajać się wzniosłym frazesem.
Pytanie — jacy ludzie na tym korzystają a jacy tracą, jest zaw-
sze, jak uważam, pytaniem wyjściowym...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— To był czarny dzień w spółdzielni mleczarskiej w Pabli-
niech. Milicjanci weszli prosto do biura i zastali trzy pilane
osoby. Poza tym na gorącym uczynku spożywania alkoholu
przypadano sześciu pracowników — reportaż ANDRZEJA GE-
BAROWSKIEGO.

— Niby nie się nie stało. Ktoś chciał dobrze, miał siły, zapal-
i sukcesy. Ale zjawili się ludzie zawiśli i zaczęła się cicha tra-
gedia — reportaż PAWŁA TOMASZEWSKIEGO.

— Na kilka minut przed nadejściem podługą kładłem się na
torach twarzą do ziemi... W tym krótkim czasie, kiedy nad-
ciałem człowieka huczącego pedzącą wagony, nie liczy się nie oprócz
faktu własnego istnienia — fragment powieści JERZEGO KO-
SIŃSKIEGO „Malowany ptak”.

— Nazywano ich pogardliwie „Szczurami Tobruku”. Polacy
zastąpili tu Australijczyków. W piaskach pustyni pozostały ślady
walk sprzed 47 lat i cmentarze. Polskie groby można rozpoznać
z daleka — korespondencja WIKTORA WYSZYWACZA.

— Pochodził ze starego rodu arystokratycznego, którego po-
czątki sięgają XV stulecia. Miał dwie pasje: rewolucję i muzykę.
Był wspaniałym pianistą. W najtrudniejszych latach władzy ra-
dzieckiej zajmował stanowisko ministra spraw zagranicznych —
materiał o niezwykłym życiu GIEORGII CZICZERINA.

— Najczęściej przez telefon rozmawia się o sprawach
rodzinnych. O rozkładzie małżeństwa, kłopotach z dziećmi, al-
koholizmie jednego ze współmałżonków. Ale bywają też sprawy
tragiczne, wymagające natychmiastowej reakcji — artykuł MAR-
KA MAMOSA.

— Dlaczego rolników w mieście traktuje się jak intruzów?
Czy rzeka musi być coraz bardziej trującą ściekącą? Ruszamy
na kolejną wizję lokalną — reportaż RYSZARDA BINKOW-
SKIEGO.

Publikujemy piątą i ostatnią fragment książki Andrzeja Werblana „Władysław Gomułka sekretarz generalny PPR”. Fragment ten pochodzi z rozdziału pt. „Od KRN do PKWN”. Książka ukazuje się niebawem nakładem Wydawnictwa „Książka i Wiedza”.

Tytuł fragmentu i śródtytuły pochodzą od redakcji. Ważniejsze przypisy wzięliśmy z tekstu.

Wiosną 1944 r. kierownictwo PPR zaabsorbowało było głównie sprawą poszerzenia bazy KRN i pozyskania sojuszników dla PPR. Realne możliwości postępu w tej dziedzinie istniały jedynie w obszarze działania ruchu socjalistycznego i ludowego.

Sytuacja polityczna w kraju polaryzowała się.

W stadium realizacji weszła akcja „Burza”, czego rezultatem były konflikty jednostek AK z Armią Radziecką w rejonie Wołynia, a następnie Lwowa i Wilna. W polityce obozu londyńskiego zdecydowanie już dominują względy walki o władzę. Znajduje to wyraz w tzw. akcji scaleniowej mającej na celu podporządkowanie Komendzie Głównej AK wszystkich organizacji wojskowych oraz w wysiłkach na rzecz zespolenia politycznego zaplecza obozu, czego z kolei przejawem miała być Rada Jedności Narodowej. Nasilonie znacznie propagandę antykomunistyczną. Częstsze stały się przypadki mordów bratobójczych.

Nie zahamowało to jednak niekorzystnej dla obozu londyńskiego ewolucji sytuacji. Procesy unifikacyjne napotykały na silne przeszkody natury obiektywnej. Położenie ogólne obozu londyńskiego było złe i pogarszało się. Jego polityka znalazła się w impasie, wskutek uwikłania w konflikt ze Związkiem Radzieckim. Stawała się kłopotliwa niegody w koalicyjnych antyhitlerowskiej, czego nie tylko ZSRR, ale również mocarstwa zachodnie w danym momencie chciały uniknąć.

W tej sytuacji dochodziło do głosu tendencje odródkowe, tym bardziej, że nastroje społeczne również radykalizowały się.

„Pod wpływem terroru niemieckiego i zwycięstw rosyjskich w społeczeństwie słabnie postawa antysowiecka, a budzą się nastroje witańia Sowietów jako zbawców” — pisał pod koniec grudnia 1943 r. Komendant AK do Delegata Rządu i do Wodza Naczelnego.

Rosły stopniowo szanse PPR i jej wpływy. Zwiększał się wpływ do szeregów partii i AL, tym bardziej, że nieco polepszyła się sytuacja w dziedzinie uzbrojenia. Polski Sztab Partyzancki zorganizowany w ZSRR skierował na teren kraju kilka podporządkowanych sobie jednostek i zwiększył dotawy broni, ale głównie dla tych jednostek. W obliczu tych pomyślnych symptomów potwierdzających trafność obramowania poźną jesienią 1943 r. kierunku polityki PPR zarysowały się w jej kierownictwie dwie koncepcje dalszego postępowania. Przejawiały się one najwyraźniej w dyskusjach nad stosunkiem KRN do Robotniczej Partii Polskich Socjalistów i tzw. Centralnego Komitetu Ludowego.

Zakwestionowane protokoły

Blizsza analiza tej kwestii trzeba poprzedzić kilku uwagami dotyczącymi źródeł. Materiały, jakimi dysponujemy, są trojakiego rodzaju. Zachowała się część dokumentacji z okresu okupacji, a szczególnie korespondencja między KC PPR i KC RPSS z końca 1944 r. i początku 1945 r., sprawozdania z kilku rozmów i spotkań. Są też relacje, przede wszystkim Władysława Gomułka oraz Ignacego Logi-Sowińskiego i Władysława Bienkowskiego, którzy uczestniczyli w pertraktacjach z RPSS. Zachowały się też, notatki Franciszka Jóźwiaka. Są one pisane w formie protokołów z posiedzeń KC PPR. Odnoszą się do pięciu posiedzeń w maju 1944 r. (5, 12, 18, 23 i 29 maja) oraz jednego posiedzenia w czerwcu (18 czerwca). Część protokołów opublikowano w tomie II „Archiwum Ruchu Robotniczego” z 1975 roku. W znakomitej większości treść ich dotyczy stosunków z RPSS, Centralnym Komitetem Ludowym i Stronnictwem Ludowym. Zródłową wiarygodność tych notatek podał w wątpliwość Władysław Gomułka. Nie kwestionował tego, że wymienione posiedzenia KC PPR odbyły się, a także tego, że sprawa

wy Centralnego Komitetu Ludowego były na nich dyskutowane, a nawet tego, że Franciszek Jóźwiak robił podczas posiedzeń różne notatki. Twierdził natomiast stanowczo, że teksty znajdujące się w archiwum nie są protokołami z posiedzeń i nie oddają wiernie przebiegu dyskusji. Przypuszczał, że zostały one na podstawie tych odrębnych notatek celowo spreparowane w 1948 r. tak, aby mogły posłużyć dla poparcia oskarżeń przeciw niemu o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Zwracał uwagę, że notatki te tendencyjnie upraszczają i zniekształcają jego stanowisko, przemilczają wiele wypowiedzi samego Franciszka Jóźwiaka itp.

Otóż zarzut tendencyjności i zniekształceń wydaje się zasadny. Franciszek Jóźwiak był zaangażowany w spór i notował to, co jego zdaniem „obciążało” Władysława Gomułka. Nie oznacza to jednak, aby dzi-

„Na tle stosunku do KRN powstaje rozłam w RPSS, który trwa po dzień dzisiejszy. Rezultat taki, że prawie wszystkie organizacje RPSS uwielbiały się za KRN. Większość CK RPSS wspólnie z kierownictwem syndykalistów i trzech grup demokratycznych tworzyła tzw. Centralny Komitet Ludowy, lecz ten nie może dojść do porozumienia między sobą przy uzgodnieniu stosunku do granic wschodnich Polski i emigracyjnego rządu w Londynie. Chociaż to wszystko, co stanowi CKL, nie przedstawia sobą go-dnej uwagi siły. KC PPR do-ceniając w pełni polityczne znaczenie sztyldów tej organi-zacji dla KRN, czyni wielkie wysiłki, aby CKL wprowadzić do KRN. Prowadzimy rozmowy z prawicową częścią KC RPSS idąc tak daleko, że proponujemy CKL 7 miejsc w KRN i 2 w jej prezydium. Za-naczamy, że taki stosunek

znaczne z oficjalnym uznaniem KRN przez rząd ZSRR, choć niewątpliwie stwarzało dla nas nową, znacznie lepszą sytuację. (...) Mimo naszych niepowodzeń w sprawie przyciągnięcia Stronnictwa Ludowego do określonej współpracy z PPR i KRN nie wyciągałem z tego wniosku, iż nawiązanie stosunków dyplomatycznych między rządem ZSRR a polskim rządem, Mikolajczyka w Londynie jest niemożliwe. (...) Jóźwiak i Bie-rut nie twierdzili bynajmniej, iż wykluczają możliwość nawiązania stosunków dyplomatycznych między rządem radzieckim a rządem Mikolajczyka w Londynie. Traktowali oni tę sprawę jako niemożliwą, ich stanowisko sprowadzało się do tego, że nie doceniam możliwości, jakie nam stworzy wyzwolenie Polski przez Armię Czerwoną, że przy jej pomocy rozwiążemy problem rządu, w Polsce tak, jak będziemy chcieli, że jednocześnie nie doceniam

Walka o poszerzenie sił lewicy.

1 lipca 1944 roku ukazuje się w „Trybunie Wolności”, uzgodniony z Władysławem Gomułką, artykuł Władysława Bienkowskiego „Nasze stanowisko”, zawierający propozycję „zjednoczenia i konsolidacji wszystkich sił obozu demokratycznego”. Był to jeszcze jeden dramatyczny apel przede wszystkim do Stronnictwa Ludowego, ale także do PPS WRN. Oczywiście można w tym apelu odczytać aspekty taktyczne, przemawiał on do mas nad głowami przywódców, ale świadczył też o jasnej koncepcji strategicznej. Za tą koncepcją i konsekwencje Władysław Gomułka był krytykowany w 1948 roku, ale poglądu nie zmienił. Natomiast Władysław Bienkowski publicznie złożył samokrytykę.

Należy podziwiać upór Wła-

doczyli się w Londynie nieoficjalne rozmowy między ambasadorem ZSRR a premierem Stanisławem Mikolajczykiem.

Delegacja KRN wahała się, czy może sama zdecydować o utworzeniu rządu, stąd 18 lipca 1944 roku na wspólnym posiedzeniu z ZG ZPP zdecydowało utworzyć jedynie Delegaturę KRN dla terenów wyzwolonych. Decyzja ta po kolejnym spotkaniu z Józefem Stalinem została zmieniona i 20 lipca ostatecznie postanowiono powołać Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który następnego dnia zebrał się na pierwszym posiedzeniu i uchwalił Manifest. W treści był on bliższy Deklaracji PKN niż dokumentom programowym KRN.

Przed wyzwoleniem i w trakcie wyzwolenia

Kierownictwo całością prac nad powołaniem PKWN spoczywało w ręku Centralnego Biura Komunistów Polskich z udziałem przedstawicieli KC PPR Mariana Spychalskiego. Kraj był raczej informowany w wymiarze ogólnym niż konsultowany, mimo iż łączność funkcjonowała stosunkowo dobrze. Jedną z ostatnich depech CBKP wysłana 17 lipca 1944 roku polecała:

„Sprawa formowania Rządu Tymczasowego w formie Komitetu Wyzwolenia staje się bezpośrednio aktualna. W związku z tym i żeby uchronić kadry, zdecydowano natychmiast zorganizować przyjazd na terytorium Związku Radzieckiego: 1) wszystkich członków plenium KRN; 2) wszystkich wybitniejszych działaczy, którzy nadają się na stanowiska ministrów albo wice-ministrów; 3) Was osobiście i tych pracowników partii, których Wy będziecie uważali za potrzebne ściągnąć. (...) W kraju zostawiać tymczasowe kierownictwo. (...) Przystąpić natychmiast do wykonania zadania. (...)

Była to „dyrektywa” nie do wykonania. Władysław Gomułka zdaje się nawet nie podejmował takich prób.

Zdecydował natomiast przenieść sekretariat KC PPR na prawy brzeg Wisły. Sam zamieszkał w Świdrach Wielkich w mieszkaniu wyszukanim przez Franciszka Jóźwiaka. Poczynił przygotowania do funkcjonowania partii i AL w warunkach, kiedy kierownictwo KC znajdowało się na terenach wyzwolonych. Napisał w tej sprawie odrębną szczegółową instrukcję wyznaczającą do zastępcę „trójki” kierowniczej Zenonę Kliszkę („Zenek”, „Ludwik”), Helenę Kozłowską („Ola”) i Jerzego Morawskiego („Jurek”). Technika Centralną kierował Ryszard Strzelecki („Roman”). Nie wyznaczył sekretarza KC PPR, powierzając kierownictwo, jak to określili „triumwiratorzy”. Nie zostały wydane żadne szczegółowe instrukcje w sprawie przejmowania władzy.

30 lipca 1944 roku Świdry Wielkie zostają wyzwolone przez Armię Radziecką. Następnego dnia rano Władysław Gomułka przygodnymi środkami lokomocji udaje się do Lublina. Tegorocz dnia wieczorem Ignacy Loga-Sowiński, który od 24 lipca był już w Lublinie, w porozumieniu z Hilarym Mincem wybiera się samochodem wojskowym do Otwocka. Odnajduje Zofię Gomułkową oraz Bolesława Bierut i Franciszka Jóźwiaka. Dowiaduje się od nich, że „Wiesław” już wyszedł do Lublina. Zabiera zatem ich wszystkich i przewozi do Lublina.

Tak kończy się okupacyjna karta życia Władysława Gomułka. Przeszedł w ciągu 5 lat ciężkie próby, zdobył wielkie doświadczenie, rozwinął nieprzeciętną zdolność, stał się przywódcą partii, politykiem o wielkiej samodzielności i szerokich horyzontach. Z tym dorobkiem przybył do Lublina i rozpoczął działalność w wolnej Polsce, w której go partia obejmowała władzę.

(Na tym kończymy druk fragmentów książki Andrzeja Werblana „Władysław Gomułka sekretarz generalny PPR”.)

Gdy Armia Czerwona zbliżała się do granic Polski rozpoczęła się walka o władzę. Niektórzy zdawali sobie sprawę, że można ją łatwo zdobyć, ale trudniej będzie utrzymać. Dlatego potrzebny był sojusz wszystkich sił lewicy.

Próby pozyskania socjalistów i ludowców

ANDRZEJ WERBLAN

siaj w naszym rozumieniu sens tych zapisów był dla „Wiesława” nadal niekorzystny. Na ogół jest odwrotnie. Natomiast tego o spreparowaniu tekstów w 1948 r. nie jest przekonywająca. Fakty przemawiają raczej za tym, że tzw. protokoły posiedzeń KC PPR z 1944 r. w 1947 roku znajdowały się już w archiwum KC PPR. Są bowiem wymienione w informacji naukowej o zasobach tego archiwum. Mogły oczywiście zostać napisane w 1945 lub 1946 r., ale pozostawałyby po poza związkiem z walką przeciw „Odchyleniu”. Poza tym papier i maszyna, na której przepisywano te teksty, wydają się raczej identyczne, ze stosowanymi w całej okupacyjnej dokumentacji sztabu GL i AL, czyli w kancelarii Franciszka Jóźwiaka. Nie można wykluczyć wprowadzania ewentualnych korektur w 1948 r., ale nie ma na to przekonujących dowodów. Biorąc to pod uwagę, uważamy za możliwe ostrożne i krytyczne korzystanie z tych materiałów.

Różnice stanowisk lewicy.

Przejdźmy teraz do przebiegu wydarzeń. Po powstaniu KRN w RPSS pogłębił się rozłam. KC Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, tracący stopniowo wpływy w szeregach własnej partii, w lutym 1944 r. powołał v. spól z ugrupowaniami, które już wcześniej tworzyły NKŁ oraz kilka nowymi, ale drobnymi organizacjami (m.in. Związek Syndykalistów Polskich), tzw. Centralizację Stronnictwa Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych. Organem wykonawczym Centralizacji był Centralny Komitet Ludowy plasujący się jako coś w rodzaju trzeciej siły między Krajową Radą Narodową i Radą Jedności Narodowej. Deklaracja Centralnego Komitetu Ludowego ogłoszona w marcu 1944 r. głosiła hasła niezwykle radykalne w sprawach społeczno-ekonomicznych, natomiast w sprawach politycznych umiarkowane. Postulowała utworzenie nowej reprezentacji politycznej reprezentującej wszystkie partie od PPR do centrum, rekonstrukcję rządu emigracyjnego, nawiązanie stosunków z ZSRR. Odwoływała się do tradycji „Centrolewu”. Siły stojące za Centralnym Komitetem Ludowym były niewielkie i rozmowy prowadzone w jego imieniu ze Stronnictwem Ludowym nie dały wyników. Delegatura Rządu też raczej bagatelizowała CKL. KC RPSS powiadając PPR o utworzeniu CKL opowiedziała się za rozmowami KRN — CKL.

Kierownictwo PPR, które podejmowało szereg wysiłków dla umocnienia lewicowego, jednolitego frontowego obozu socjalistycznym Edwarda Osóbki-Morawskiego, postanowiło nie rezygnować z szans nawiązania współpracy i przyciągnięcia do KRN całej RPSS. W liście do tow. D. (Georgi Dymitrowa — przyp. red.) Władysław Gomułka, który przywiązywał do tej sprawy szczególną wagę, tak charakteryzuje sytuację:

mandatów posławitby PPR decydującego wpływu na KRN. Partia nasza nie położyła jednak punktu ciężkości na klucz mandatowy, lecz na uzgodnienie deklaracji politycznej z CKL i pogodzenie jej z deklaracją KRN.

Rozmowy z Centralnym Komitetem Ludowym trwały aż do maja 1944 r. Zakończyły się one niczym. PPR była gotowa iść na duże ustępstwa, nawet na zmianę nazwy KRN, jako symbolicznego wyrazu połączenia z CKL. Twardo obstawała jedynie przy zasadniczych pozycjach politycznych: zerwanie z rządem emigracyjnym i sojusz z ZSRR. W maju RPSS zaproponowała, aby CKL i KRN wspólnie wystąpiły do Rady Jedności Narodowej jako zjednoczona opozycja. W czerwcu 1944 r. po konsultowaniu się z Centralnym Biurem Komunistów Polskich KC PPR propozycję tę odrzucił. Nie oznaczało to poniekąd prób pozyskania dla KRN socjalistów i ludowców. Na posiedzeniu KC PPR 19 czerwca Władysław Gomułka opowiadał się za rozmowami ze Stronnictwem Ludowym i podkreślał, że w imię zerwania więzi ludowców z sanacją, np. sklonienia ich do wysłania wspólnej z PPR delegacji do ZSRR, można by nawet „zrezygnować z nazwy KRN”.

Wpływ aliantów na sytuację w KC PPR.

Wokół tych właśnie kwestii zarysowały się w KC PPR różnice zdań pomiędzy Władysławem Gomułką i większością KC z jednej strony a Bolesławem Bierutem i Franciszkiem Jóźwiakiem z drugiej. Władysław Gomułka z perspektywy historycznej przedstawiał istotę tych różnic, jak następuje: „Jak wiadomo, premier brytyjski W. Churchill wielokrotnie naciskał na polski rząd emigracyjny, by przyjął on warunki wysuwane przez rząd radziecki i na tej płaszczyźnie doprowadził do ponownego nawiązania stosunków dyplomatycznych między obu rządami. Rzecz jasna, rozmowy, jakie prowadził Churchill z Mikolajczykiem i innymi członkami polskiego rządu emigracyjnego, nie były nam wówczas znane. Ale znamyśmy publiczne wystąpienia Churchilla będące wyrazem naszym nie skrywanego nacisku na polski rząd emigracyjny, przede wszystkim w sprawie uznania tzw. linii Curzona za granicę państwową między Polską a Związkiem Radzieckim (...). W związku z tymi przemówieniami Churchilla na posiedzeniach KC PPR toczyły się dyskusje i miały miejsce rozważania, jaką politykę powinniśmy prowadzić Partia i KRN na wypadek, gdyby między rządem Związku Radzieckiego a polskim rządem emigracyjnym zostały ponownie nawiązane stosunki dyplomatyczne. Możliwość takiej nie wolno było zupełnie odrzucać nawet i wówczas, kiedy przebywając w Moskwie delegacja KRN została przyjęta przez Stalina w dniu 22 maja 1944 r. Przyjęcie delegacji nie było przecież równo-

siły naszej partii, która w nowych warunkach stworzonych przez wyzwolenie Polski przez Armię Czerwoną, stanie się przedmiotem zabiegów ze strony innych partii o nawiązanie współpracy z nią i KRN. Tych samych argumentów używali, gdy chodziło o porozumienie z CKL (...)

Możliwość rozszerzenia bazy KRN była w tym okresie bardzo niewielka. Lecz z gruntu fałszywe stanowisko, jakie w tej sprawie zajmowali Bierut i Jóźwiak nieulewowało tej możliwości do zera. Niedługo później okazało się, jak drogo naród polski musiał zapłacić za to, że miał w Londynie tak bezgranicznie głupi rząd emigracyjny, a w kraju tak słabą pod względem zasięgu politycznego oddziaływania Krajową Radę Narodową.

Właśnie w dążeniu do wzmożenia KRN, do rozszerzenia jej bazy politycznej, do nadania jej bardziej reprezentatywnego oblicza przedstawiałem na posiedzeniach KC PPR własny i większości członków KC pogląd, że powinniśmy uczynić wszystko, co możliwe, by wprowadzić do KRN tzw. Centralizację Stronnictwa Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych, która powołała swoją egzekutywę pod nazwą Centralny Komitet Ludowy.

Czytelnik wybaczy tak obszerny cytat, ale wyjaśnia on nie tylko przedmiot sporu, lecz również motywację stron. Władysław Gomułka oczywiście nie gorzej niż jego oponenci wiedział, że wyzwolenie kraju przez Armię Radziecką da PPR i KRN silne atuty i umożliwi objęcie władzy. Patrzył jednak dalej i głębiej. Zdawał sobie sprawę z tego, że im słabsza będzie baza społeczna tej władzy, tym mniej będzie miała ona szans na partnerstwo w stosunkach zewnętrznych, tym trudniejsze będą też warunki rządzenia wewnątrz i tym surowsze przyjdzie stosować metody. Temu właśnie chciał zapobiec i o to walczył do ostatniej chwili.

Apelował do poczucia realizmu politycznego ludowców i socjalistów. Przez Stanisława Bańczę kierował do przywódców SL pytanie, co zamierzają robić, „kiedy na ziemię polską zaczną wkroczać przedpazujące okupanta niemieckiego wojska radzieckie”. Ten przyśrodek od Józefa Nieckiego Bryli odpowiedź:

„Będziemy rozmawiać z dowódcami wojsk radzieckich jak z gospodarzami, nie chcemy jednak i nie będziemy rozmawiać z ich pacholcami”.

Niestety przywódcy ruchu ludowego nie wykazali realizmu, jak cały zresztą oboz londyński. Władysław Gomułka jednak nie rezygnował. Jak to określił:

„Nie miałem bowiem zwyczaju i nie uważałem za słusne, by perspektywiczną politykę partii nakreślać pod kątem nadziei na bezgraniczną głupotę polityczną przezwłoków”.

T

rafił się jubileusz. Co prawda nie było żadnych uroczystości. Ale jednak to fakt: od pierwszych Krajowych Targów Poznańskich, które odbyły się w dniach od 9 do 19 marca 1958 r., minęło 30 lat.

„Po co nam targi, skoro jest rzecz powszechnie znana, że towarów mamy tak mało, że handel weźmie wszystko, co mu się zaofiaruje. Czy targi nie będą więc fikcją?” — pytało przed 30 laty w „Gazecie Handlowej”.

„Towarów jest mało, ale czy droga do zwiększenia produkcji nie prowadzi właśnie przez targi lub inne imprezy o charakterze giełdowym?” — Tak brzmiało inne pytanie. A odpowiedź przez te wszystkie lata udzielała „samo życie”.

Z towarem było różnie — w niektórych okresach przybywało ich nieco — i wtedy targi stawały się wielce efektywną wystawą możliwości polskiego przemysłu kluczowego i drobnego. To znowu towarów znacznie ubywało — wtedy o wiele głośniej i bardziej zdecyd-

choć przyznać trzeba, że wycieczka ta — gdyby nie brak efektów w postaci zakupionych towarów — mogłaby być całkiem przyjemna.

Poznań bowiem jest miastem dobrze przygotowanym do przyjmowania gości i ich obsługi.

Można tu zobaczyć wiele rzeczy, które, być może, dadzą się wykorzystać także na własnym podwórku, ku zadowoleniu klientów.

Przed wszystkim warto zwrócić uwagę na funkcjonowanie handlu i zaopatrzenie sklepów. Nie wiem, jak udało się to osiągnąć władzom miasta — ale kolejni po podstawowe zakupy nie są znowu poznaniaków. Nie znaczy to, oczywiście, że nie ma ich wcale — ale nawet w sklepach miastowych bardzo rzadko trzeba czekać dłużej niż pół godziny. Zdziwiła również zaopatrzenie w bezkarnikowe wędliny i wyroby garmażeryjne, sprzedawa-

nych umów na konkretne dostawy towarów. Były to tylko wstępne porozumienia na rzeczowe umowy produkcyjne. Umowy podpisane zostają później — wtedy, gdy producenci lepiej niż obecnie orientować się będą w swoich możliwościach, zwłaszcza surowcowych.

Nie należy wyciągać z tego faktu pesymistycznych wniosków, że dostawy odzieży, dywanów, pończoch czy bielizny będą w II półroczu 1988 r. znacznie niższe niż w roku ubiegłym. Zgodnie z zapewnieniem ministra rynku wewnętrznego nie grozi nam jeszcze na razie puste półki, a produkcja poszczególnych branż powinna utrzymać się co najmniej na tym samym poziomie. Co to jednak będzie, w jakich wzorach i kolorach, jakiej jakości, za ile, i w jakim terminie dostarczone do handlu? — na te pytania nie jest obecnie w stanie odpowiedzieć chyba nikt. Zaopatrzenie sklepów z podstawowymi towarami konsumpcyjnymi stanowić będzie niespodziankę nie tylko dla klientów (tak przecież bywało na ogół), ale i dla handlowców.

dewizowe, nowe przepisy, reorganizacja resortu — wszystko to sprawia, że producenci czują się jak w mgławicy. Jedną z teorii głosi, że z mgławicy powstał świat — być może również i teraz, po trudnym okresie przystosowywania się do nowych warunków, wykształci się lepszy, funkcjonalny model gospodarki rynkowej i przyjdzie do nas z Poznania po to, aby proponować, korygować naszą produkcję zgodnie z sugestiami handlu, podpisywać umowy na co najmniej ponad połowę tych towarów, które trafia na rynek.

O takiej sytuacji marzą również handlowcy.

— Po co właściwie przyjechalibyśmy do Poznania i po co przyjechali tu producenci? — zastanawiał się z kolei jeden z dyrektorów Zrzeszenia Przedsiębiorstw Handlu Wewnętrznego. — Obecnie, w naszym odczuciu, producenci dzielą się na kilka grup: takich, którzy nie mają niczego, nie mają surowców, nie mają de-

Stół na tysiąc osób

ze str. 1

lub skrobak. Dookoła porastają grzyby, ponoć, lasy mieszane. Enkwer: arka dla postrzępionego permanentnie mieszkańca, zapylonego i owianego smrodami, wielkiego miasta.

Małenkie drewniane chatki z podziobionymi gankami przypiętymi szpalerem po obu stronach głównej ulicy, a przed każdą obowiązkowo ławeczka. Domki te, rzeczywiście małe, a przez to niezwykle malownicze i urokliwe, jakich nigdzie indziej nie widzimy, nadają Wyszmyrzyckiej rzeczywistości basniowy klimat zaciętej kłami krasnoludów, gdzie życie toczy się cicho, ale pracowicie, spokojnie, bezkonfliktowo i bezpiecznie, gdzie ludzie są sobie życzliwi, uśmiechają się i nie patrzą wilkiem na obcego przybysza, gdzie w dzień nie widać pijanych, a noc nie rozbrzmiewa rykiem ożłopanego wódki ludzkiego bydła, tak, jak w wielu innych polskich wsiach, miasteczkach i miastach. Zupnie jak w bajce napisanej sto lat temu. Taka właśnie atmosfera owiewa reportera już w czasie pierwszego, samotnego spaceru wzdłuż miasta. Potwierdzenie słuszności tego wrażenia uzyskuje od późniejszych rozmówców, choć, gwoli prawdy dodam, że był i głos odmienny.

Oczywiście, jak wszędzie, i tu ludzie budują sobie domy wiejsze, murowane, choć, niestety, ta „architektura” nie różni się niczym od obiektów „urozmaiacających” pejzaż Pisu, Wrzeszcza czy Przemysla. Paskudne, nijakie klockowce za nie nie chcą się zrymować z dochodzącymi ze świata informacjami o sukcesach polskich architektów. I w tej dziedzinie, widać, dojrzy jesteśmy tam, gdzie panuje wolność i swoboda twórcza, gdy w kraju idyotyczne i niezrozumiałe przepisy tłamszą wszelką pomysłowość i zatoskanie o lepszy wygląd ponurego oblicza Polski. Nie tylko, zresztą, oblicza architektonicznego, estetycznego. Bo, nie sądzę, by dotyczyło współczesnych Polaków dramatyczne pytanie Gołota: „Czyż wielkość i genialność więcej nas nie nawiedza?”.

Charakter zewnętrzny miasta Wyszmyrzyce jest typowo wiejski. Jednak poczucie miejskości u mieszkańców grodu jest tak wielkie, że nie uprawiają ziemi pod zboża czy inne typowe dla wiejskiego pejzażu ziemiopłody. Tu uprawia się warzywa, a szczególnie, ponoć, ogórki — i z tego słynie w okolicy miasto. Hoduje się też krowki tu i ówdzie, jakiś drobi, ale nie widać tego, jakby ukrywano ów „wstydlawy” element — nie pasujący do nazwy „miasto” — przed oczami przyjeźdźcy.

W Wyszmyrzych spotkałem bardzo interesujących ludzi. Paweł Biernacki, jest dyrektorem Miejskiego i Gminnego Ośrodka Kultury. Pracuje tutaj od kilku miesięcy, a już zdolał zyskać sobie sympatię i uznanie mieszkańców różnej płci i wieku. Mieszkanie jego, w budynku Ośrodka, jest otwarte dla wszystkich. Tu słucha się muzyki, ale nie disco, czy byle komercyjnej; dobry, ambitny jazz i wcale niełatwa muzyka młodej awangardy z kraju i ze świata zainteresowała słuchaczy (głównie młodych i dzieci), którzy wcześniej nie mieli okazji zetknąć się z proponowanymi przez gospodarza wykonawcami. Paweł, poprzez prywatne znajomości z czołową polską jazzmanów, zdobywa unikalne taśmy z nagraniami, jakich nie usłyszy się w radiu czy w TV. Sam — „zakrecony” — jak mówi, na muzykę, zna się na niej (pisał kiedyś recenzje muzyczne), umie o niej opowiadać. Ma również plany związane z Wyszmyrzymi, jako miejscem spotkań polskiej awangardy jazzowej. Pierwsze kroki już zostały postawione.

Głoszący muzyków z orkiestry NANG-PA — mówi Paweł Biernacki. — Pod tym kryptonimem rozpoczęła działalność nowa formacja muzyczna, stworzona przez znanych artystów. Kilku z nich wróciło niedawno z koncertów w Madrycie, gdzie wraz z Tomaszem Stańką grał obok gwiazd tej klasy co Miles Davis i Lester Bowie. Teraz w moim domu powstało wspaniałe, jedyne w swoim rodzaju studio muzyczne. Niestety, nie potrafię opisać słowami specyficznego muzycznego misterium, tworzonego przez ludzi, dźwięki instrumentów, sprzętu i nieopowiadalną atmosferę.

W sesji udział wzięli: Włodzimierz Kiniorski, Andrzej Przybielski i Tadeusz Sudnik. Zainteresowani znają rangę tych artystów i ich silną pozycję w polskim jazzie.

Nagrania te zaprezentowano w III programie PR, a prowadzący audycję Włodzimierz Kleszcz, nadawał za sztydym Muzycznej Kuchni Polowej w Wyszmyrzech. Pojawienie się nazwy miasta w ogólnopolskim programie radiowym, mieszkańcy przyjęli z satysfakcją, a promotor całej sytuacji, Paweł Biernacki, odebrał podziękowania od wielu z nich bezpośrednio po audycji, później również.

Dyrektor Ośrodka Kultury, znów dzięki prywatnym znajomościom „z czasów kieleckich” — jak mówi — „gdzie studiowałem” — zaprosił do Wyszmyrzy kabaret „Pigwa”, znany z telewizyjnych migawek, z zakutą w chusie Genowefą Pigwą na czele. Było to prawdziwe wydarzenie. Część publiczności mogła po występie „dotknąć” wykonawców, porozmawiać z nimi w mieszkaniu Pawła, które mieści się na tym samym piętrze, co sala kinowo-widowiskowa. Wielu wyszmyrzyzan do dziś wspomina to niezwykle dla nich wydarzenie z niegasnącą emocją. Innym razem przyjechała folklorystyczna grupa muzyczna Indian peruwiańskich (też znajomi), którzy przechadzali się po uliczkach miasta w swoich narodowych przyodziewkach. Miał niezdrówą sensację wzbudzić przyjazne zainteresowanie i sympatię. Ugośczone ich w jednym z domków, gdzie pili mleko prosto od krowy i jedli ciepły chleb z miejscowego piekarni. Obie strony były niezmiernie ukontentowane.

Użyłbym opinii, że wystarczy, aby Paweł Biernacki robił cokolwiek w swoim Ośrodku Kultury, i to już będzie dużo, bo wiem jego poprzednik nie robił nic. Ale Pawłowi nie chodzi o cokolwiek. Ma ambitne i oryginalne plany. Chce zaprezentować nową, inną twarz kultury, nie chce zaskorupić się w rutynie i bylejałości. W Wyszmyrzych znalazł już entuzjastów swoich pomysłów. Tak mówi po kilkumiesięcznym pobycie w tym mieście:

— Myślę, że ciągle poszukiwania dużego człowiekowi szansę na odrzucenie od siebie przekleństwa kulturowego. Tak, właśnie tak. Jeśli organizujesz świat wokół siebie, stopniowo wyzbywasz się snobizmów, marazmu. Otaczasz się przedmiotami pięknymi w swej prostocie, jakby od nowa budujesz własną wrażliwość. A najbardziej, że zaczynasz dostrzegać obok ludzi również wrażliwych. I czujesz się tak, jakbyś nagle wszedł do krainy dobrot, prostolinijnych krasnoludków.

Paweł również małego, jest bardzo uzdolnionym grafikiem — samoukiem. Odnalazł dość szybko grupę utalentowanej młodzieży i prowadzi z nimi zajęcia w swoim mieszkaniu, które jest małą galerią jego oryginalnych prac — i w ogóle wnętrzem nietypowym, aczkolwiek ze smakiem urządzonym.

To ten człowiek wpadł na pomysł, by w czasie tegorocznych uroczystości 650-lecia Wyszmyrzy, które zaplanowano we wrześniu, ustawić na stadionie miejskim olbrzymi stół, przy którym zasiadzie blisko tysiąc wyszmyrzyzan i zaproszeni goście. Już ścięto stare, grube drzewa i będzie się je przerabiać na stoły biesiadne. Tak więc plotka wypzędziła rzeczywistość, ale nie odbiega zbyt od prawdy. Zyczyć należy, by zamiar udało się przetrząść w dzieło.

Drugim entuzjastą, jakiego miałem szczęście spotkać w najmniejszym polskim mieście, jest Stefan Kwil, weterynarz, szef Lecznicy Weterynaryjnej. Mieszka w pobliskich Białobrzegach, ale zalicza siebie do miłośników Wyszmyrzy. Powiada, iż w latach 1980—87 zrobiono więcej w mieście i dla miasta, niż w całym okresie powojennym. Po prostu grupa ludzi, w większości młodych, wykorzystała (tak, tak) ogólny zastój i powszechną niemożność w nieodległym czasie, i (każdy w swojej dziedzinie) dokonała wręcz cudów. Powstał Ośrodek Zdrowia, wodociąg

Targi niemocy i niewiedzy. Kto powinien się wstydzić? Najlepiej wypadł Poznań, któremu można pozazdrościć zaopatrzenia.

Nie będzie wiosny w handlu

TERESA JERZYKOWSKA



Foto: Grzegorz Gatański

wanie podkreślany był roboczy, nie zaś pokazowy charakter poznańskich imprez.

Czy faktycznie targi i giełdy mogą przezwyciężyć się lub przyczynić do poprawy zaopatrzenia bądź wzrostu produkcji brakujących artykułów? Sądząc po ilości tego rodzaju imprez — chyba tak. Bo to przecież nie tylko organizowane dwa razy do roku ogólnokrajowe spotkania producentów i handlowców zajmujących się wszystkimi towarami konsumpcyjnymi, lecz także mnóstwo spotkań regionalnych i specjalistycznych. Pojawiały się oddzielne giełdy obuwnicze, rowerowe, sprzętu oświetleniowego, tkaninowego — w podziale na wełne i bawełne — a nawet, o zgrozo — kryształowe! Praktycznie nie ma już chyba branż, która by własnej, specjalistycznej giełdy nie miała. I co — czy mamy dzięki temu coraz lepiej zapełnione półki? Odpowiedzi każdy klient udzielił sobie sam.

Tym razem handlowcy przybyli do Poznania wyjątkowo licznie.

Zgodnie z obowiązującymi od jakiegoś czasu, a wynikającymi z ducha reformy, przepisami, kupować mogą przecież nie tylko zrzeszenia przedsiębiorstw handlowych, nie tylko same przedsiębiorstwa i organizacje, ale nawet indywidualni kierownicy wielu sklepów. Każdy więc chciał, by szansą wykorzystania — i coś dla siebie zdobyć. W efekcie — targi Wiosna 88 zamiast trwać 4 dni, równie dobrze mogłyby zakończyć się po dwóch.

Dla przypomnienia — pierwsze Krajowe Targi Poznańskie trwały 9 dni, potem impreza była skracana do tygodnia, 5 dni i wreszcie do czterech, co zapewne także świadczy o kondycji naszego rynku.

Już pierwszego dnia po południu nie można było kupić nic u przedstawicieli przemysłu kluczowego — bez względu na branżę, drugiego dnia praktycznie zakończyli kontraktację rzemieślnicy, spółdzielcy i przedsiębiorstwa zagraniczne. Dla wielu handlowców przyjazd do Poznania okazał się po prostu... wycieczką.

ne nie tylko w sklepach specjalistycznych, lecz także ogólnospożywczych. W ciągłej sprzedaży jest, obok paszety, wędlin i kaszanek, także kilka rodzajów wędlin z mięsa baraniego i drobiowego. Są co prawda dość drogie, ale smaczne i ciągiłość sprzedaży umożliwia ich kupno w niewielkich, dostosowanych do potrzeb ilościach.

Miło jest wejść również do sklepów nabiałowych, gdzie stała się 2—3 rodzaje mleka w proszku i nawet wieczorem co najmniej 3 rodzaje białego sera, podobnie zresztą w sklepach piekarniczych na pół godziny przed zamknięciem obok tzw. pieczywa trwałego np. pumpernika można dostać wcale nieczysty chleb i nie pogniecioną bułki.

Przy okazji łatwo stwierdzić, że pieczywo poznańskie produkowane także w piekarniach-gigantach z takiej samej maki jak gdzie indziej jest smaczniejsze i mniej „zmęczone” transportem niż w Łodzi. Zazdrość budzą również pracujące w sobotę — także wolne — wszystkie sklepy spożywcze, stojące na półkach w sporym wyborze wina z importu, dorodne, czyste i estetycznie zaprezentowane warzywa w państwowych sklepach, bary mleczne, w których nie śmierdzi gulaszem z płuc i można zjeść świeże, na miejscu klejone pierożki.

Aby jednak zachować sprawiedliwość w porównaniu handlu w Poznaniu i Łodzi — przyznać trzeba, że sklepy z towarem przemysłowym różnych branż w Łodzi prezentują się lepiej, zarówno pod względem estetyki, organizacji sprzedaży jak i zaopatrzenia.

Wróćmy jednak do hal targowych.

W tym roku atmosfera panowała zdecydowanie smutna. Godzinami wyczekujący w kolejkach przed boksami producentów handlowcy po raz pierwszy od wielu lat (wliczając w to także okres najgłębszego kryzysu gospodarczego) nie podpisywali z przemysłem kluczowym niemal żad-

którzy już teraz powinni dokładnie wiedzieć, czym dysponować będą w lipcu czy październiku.

Aby le wiedzę nieco uściślić — Zrzeszenie Przedsiębiorstw Handlu Wewnętrznego zaproponowało producentom kluczowym ponowne, krótkie spotkanie, tym razem o charakterze naprawdę roboczym, w czerwcu, po giełdach tkaninowych i okresie dopasowywania się do prezentacji. Wystawione kolekcje były mało interesujące (może to i lepiej, skoro na szczególne atrakcje w dostawach i tak liczyć nie można?) stoiska w niektórych przypadkach urządził niestarannie.

Bez entuzjazmu wyrażały się o poziomie wzornictwa odzieży i dziewiarstwa doskonałe znające się na tym zagadnieniu panie z kwartalnika „Moda”, członkinie jury nagrody „Złoty Róż”, przynajmniej wspólnie z łódzkim „Centralem” za najbardziej udane kolekcje targowe. Wśród laureatów — zakłady od lat te same. W branżach odzieży „Złoty Róż” przyznano zakładowi „Modena” — Poznań (projektantka Krystyna Barczyk) i „Prochnik” — Łódź (Maria Kornacka i Dobrosława Janowska). Srebrną zdobył zakład „Elpo” — Wrocław (Małgorzata Pawłowska).

W dziewiarstwie na wyróżnienie „Złoty Róż” zasłużyła „Iwona” — Łódź (Danuta Butarewicz), „Olimpia” — Łódź (Krystyna Kycia-Swinowa, Jadwiga Marlińska) oraz „Feniks” — Łódź (Teresa Kowalewska).

Cieszy oczywiście fakt, że wśród sześciu wyróżnionych zakładów są aż cztery łódzkie — martwi natomiast, że towarów z nagrodzonych kolekcji najprawdopodobniej nie kupimy nawet w Łodzi.

Jury nie przyznało nagród za wyroby kaletnicze, których poziom w ostatnim roku pogorszył się gwałtownie, hojnie natomiast — kilkunastu producentom — przydzielono „Kolce Róż” — antywyróżnienie za wyroby szczególnie brzydkie.

Producenci zdają sobie sprawę, że nie wypadli efektywnie na Poznańskiej Wiosnie '88, ale... dla wielu nie było po prostu innych możliwości.

Jeśli sytuacja zaopatrzeniowa nie ustabilizuje się — stwierdził jeden z dyrektorów Zrzeszenia Producentów Odzieży — są to ostatnie targi, w jakich bierze udział przemysł kluczowy. Wstydźmy się po prostu, że możemy zaprezentować tylko tyle. Braki, niewiedza o tym, co czeka nas w najbliższej przyszłości, dewizowe potrzeby własne i kooperantów, przetargi surowcowe i

miejski, Lecznica Weterynaryjna, Zbiórca Szkoła Gminna, pawilon z restauracją, stadion sportowy, rozbudowano budynek Urzędu Miasta i Gminy, bazę SKR, wymieniono oświetlenie uliczne. Stefan Kwil jest, obok Mariana Krzesińskiego i Tadeusza Rożkowskiego, autorem książki, powstałej pod redakcją Barbary Kosiorek-Dullana, traktującej o 650-letniej historii Wyśmierzy. Książka już się drukuje i na wrzesień, czyli czas obchodów rocznicy, będzie gotowa. Tymczasem przeglądam kserokopię dzieła i słucham opowieści pana Stefana o przypadkach z przeszłości.

Pierwsza historyczna wzmianka o Wyśmierzy pochodzi z 1212.1338 roku — kancelaria księcia czerskiego Trojdena I wystawia na rzecz zgromadzenia zakonnego benedyktynów płoćki dokument, którego mocą nadaje im m. in. Wyśmierzyce (Wyśmierzyce). Dokument sporządzono na pergaminie z owczej skóry.

Nazwa Wyśmierzyce pochodzi od Wyszymira lub Wyszemira, księcia mazowieckiego, który gród założył na prawym brzegu Pilicy — lub od wysmierzenia Tatarów w 1241 r. przez mieszkańców grodu.

Podczas marszu na elekcję Michała Korybuta-Wisniowieckiego, Jan Chryzostom Pasek opisuje w swoich „Pamiętnikach” postój pod Wyśmierzycami.

Marian Krzesiński rozszyfrował monstancję wieżyczkową z końca XVII w. (jeden z dwóch zabytków, jakie są w Wyśmierzycach) z literami: SGPWIIW, tzn.: Stanislaus Gembarth Prepositus Wyśmierzyensis Incolae Wyśmierzyenses, Stanislaus Gembarth, to wyśmierzycki proboszcz w latach 1587—93.

Marian Krzesiński podaje inną jeszcze wersję nazwy miasta: „teoretyczny model nazewnictwa Wyśmier-ice. Norma fonetyczna języka staropolskiego zaaprobowała wymowę Wyśmierzyce. Etymologiczna nazwa W. oznacza zatem miejscowość położoną na wzniesieniu, objętą szczególną ochroną prawną ze strony władcy lub właściciela. Łączy ze sobą pierwiastek fizjograficzny z normą prawną”.

W 1428 r. studiował na Uniwersytecie Krakowskim Nicolaus syn Andreae de Wyśmierzyce.

6.09.1863 r. 30 powstańców obrabowało kasę miejską: 229 rb. srebrnych i 50 kop., uprowadzając burmistrza.

Data nadania praw miejskich nie jest znana badaczom. Natomiast przywrócenie praw miejskich, wcześniej utraconych, dokonało się mocą uchwały RM z 19.06.1922 roku.

W 1926 r. budowano kolej. O lokalizację stacji wystąpiły trzy miejscowości: Wyśmierzyce, Białobrzegi i Warka oraz dziedzic lasów dobieszyńskich. Wygrała Warka i dziedzic. Dlatego do dziś miasto nie ma linii kolejowej.

2.04.1927 r. koło myśliwskie „Jeleń” z Warszawy ofiarowuje 3-lampowy odbiornik radiowy Radzie Miejskiej. Program odbierać można było jednak dopiero od 1930 r., gdy uruchomiono nadajnik w Raszynie.

Już w 1933 r., w kwietniu, tuż po dojściu Adolfa Hitlera do władzy, radni miejscy po powrocie z Gdyni piszą protest w związku z zakusami Niemiec na teren polski: „zakłada uroczysty protest i ostrzega opinię publiczną całego świata przed następstwami zakusów niemieckich...”. Widać z tego, że świadomość polityczna i dalekowszoczność cechowała ówczesnych wyśmierzyczan.

W sierpniu 1933 r. Wydział Powiatowy w Radomiu wydaje decyzję o likwidacji miasta i przyłączeniu do gminy Radzanów lub Białobrzegi. Rada Miejska Wyśmierzyce dzięki umiejętnościom dyplomatycznym i pewnemu sprytowi zapobiega wprowadzeniu decyzji w życie.

Nadzwyczajne posiedzenie Rady Miejskiej 28.03.35 r. wita „wieść radosną o uchwaleniu przez Sejm nowej Konstytucji”. Tylko że Konstytucję uchwalono w kwietniu. Czyżby znakomita orientacja, czy dostęp do wiarygodnych źródeł nieoficjalnych? Tak czy siak, dobrze to świadczy o tamtoczesnej władzy miejskiej. Na tym samym posiedzeniu nadano Pierwszemu Marszałkowi Polski Józefowi Piłsudskiemu honorowe obywatelstwo miasta Wyśmierzyce.

W 1827 r. Wyśmierzyce składały się ze 123 domów i 143 mieszkańców. 110 lat później, w 1937 r. 1500 ludność gospodarzyło na 2000 mórg.

Są to, rzecz jasna, niektóre tylko fakty i ciekawostki z bogatej historii najmniejszego miasta w Polsce. Całą swoją historią mieszkańcy poznają dzięki kilku badaczom-entuzjastom, którzy kosztem swego wolnego czasu przekopali sterty dokumentów, księgi i archiwa.

Wydałoby się, że mała miejscowość nie może mieć wielkiej historii, że walec dziejowy przetacza się gdzieś obok, tak jak linia kolejowa, czy główna szosa E-T. To nieprawda. Małe też może być interesujące i piękne w swoim wymiarze. A z tym się mogą nie zgadzać tylko kobiety.

MAREK KOPROWSKI



Foto: Andrzej Górczyński



— Pomylił pan daltonizm z rzeczywistością.

Masz 15 złotych? Możesz założyć spółkę

ze str. 1

Wólczańskiej, gdzie rejestrują się nowe spółki. Ich wizyty stały się tam codziennością, od listopada 1987 roku. Wtedy właśnie na dobre rozpoczął się w Łodzi spółkowy boom. Obywatele naszego miasta zaczęli łączyć swe kapitały z zapalem, jakiego nie obserwowano w całej powojennej historii.

W 1986 roku powstało tylko 14 nowych spółek w Łodzi i województwie. W 1987 roku zarejestrowano aż 117 spółek. W pierwszych trzech miesiącach 1988 r. osobowość prawną uzyskało ponad 40 spółek, a prawie 60 dalszych czeka na rejestrację.

Agencja „X”

Na samym początku boomeru, pod koniec października 1987 roku, wpisała się do rejestru agencja marketingowa — nazwijmy ją „X”, ponieważ szef i główna księgowa wolą ze mną rozmawiać incognito.

— Nie czujemy się jeszcze zbyt pewnie — mówi szef. — Może później, gdy rozwinie się już skrzydła... Na razie artykuł mógłby nam jeszcze zaszkodzić.

— W jaki sposób? — pytam zaciekawiony.

— Wie pan, zaczęliśmy bez wielkiego kapitału, ale z wielkim entuzjazmem. Uwierzysz mi, w dobry klimat wokół reformy. Teraz klimat jest bardziej zimny. Zauważyłem, że traktuje się nas jak milionerów jakichś, jak hochsztaplerów.

— A nie macie milionów?

— Jeszcze w tej chwili, po trzech miesiącach działalności, zarabiam nieco mniej niż w poprzednim miejscu pracy. Zajmowałem kierownicze stanowisko w jednej z łódzkich spółdzielni.

— Zwolnili pana?

— Sam się zwolniłem. Dawał pieniądze, ale nie chcieli żadnych zmian.

Zaczęło się od pomysłu na nowe życie. Młodzi ludzie, z solidnym wykształceniem ekonomicznym i stażem na uczelni, pogłębiłymi m.in. praktyką w TNOiK, mieli już dość średniactwa, dość sprzedawania własnej wiedzy na kursach, bez wykorzystania jej w praktyce. Wyzuli reformatorskie wiatry, przestudiowali gruntownie przedwojenne prawo, załatwili — po zmaganiach —

wymagane zezwolenia, i oto już trzeci miesiąc gospodarują na swoim. Trzeba przyznać, że poszło im to dość szybko, ale mieli — dzięki swej ponadprzeciętnej wiedzy o przepisach i realiach gospodarczych — łatwiejszy od innych start.

Z początku nie było się bez małego zalamania: spóźnili się należności za pierwsze usługi, zabrakło kapitału obrotowego, trzeba było sięgnąć do kieszeni udziałowców, uzupełnić o kilkaset tysięcy zł wspólną kasę. Teraz są coraz pewniejsi. Od grudnia do marca wartość usług (głównie reklam i akwizycji) wzrosła z 0,5 do 2,6 mln zł. Nie są to wcale duże pieniądze, odliczając wydatki związane z realizacją zleceń, podatki i koszty wynajmu lokalu. Czują jednak, że postawili firmę na nogi. Są zadowoleni, tryskają energią.

— Z prawem trzeba sobie dawać radę samemu — powiada dziarsko szef. — Jeżeli czegoś nie wiem, gdy mi nie starczy przedwojennego kodeksu — opieram się na prawie spółdzielczym, adaptując je dla potrzeb spółki.

Smiało po niepewnym gruncie

Agencja marketingowa „X” jest spółką z ograniczoną odpowiedzialnością, jedną z 108 zarejestrowanych w 1987 roku. Spółki z o.o. stanowią więc przytłaczającą większość, spychając na margines pozostałe dwa rodzaje spółek: jawną i akcyjną.

— Inaczej niż na Zachodzie — komentuje szef agencji. — Spółka z o.o. funkcjonuje, tam zazwyczaj w przedsiębiorstwach o średniej skali. Dla dużych przedsiębiorstw jest spółka akcyjna. Ale u nas akcje, to dopiero przyszłość.

Zeby się o tym upewnić, dzwonię pod numer członka zarządu nowo powołanej spółki akcyjnej „Floreus”, jednej z 4 w województwie łódzkim. I oto co słyszę:

— Akcje? Chcemy je drukować w kwietniu, w prywatnej drukarni — mówi Kazimierz Piekarz. — Przyjrzyj się już, jak wyglądały przedwojenne akcje.

— To nie trzeba specjalnych zezwoleń? „Uniontex” chciał akcje tylko dla założycieli. Jak na razie mu się nie udało...

— My opieramy się na Kodeksie Handlowym.

— I wierzyć, że się uda?

— W sekretariatach spotykamy się generalnie z brakiem „przerobu”, ale wynika to zapewne z braku fachowości. My sami — zmuszeni sytuacją — zaczynamy być fachowcami w dziedzinie prawa, zupełnie zresztą niepotrzebnie. Ale cóż: skoro każda pomyłka oznacza wspólną wizytę 17 współników u notariusza — nie mamy innego wyjścia.

Spółkę „Floreus” założyło 17 łódzkich ogrodników, same znane nazwiska. Postawili sobie konkretny cel: wybudowanie pawilonu Centrum Ogrodniczego na Chojnach-Zatorzu, na zapleczu Domu Handlowego, który powstanie w pobliżu Szpitala CZMP. W pawilonie, tym, przeznaczonym pod składanie, sprzedaż i wystawienie ogrodniczych planów, będzie się m.in. kompletować duże eksportowe partie kwiatów z dostaw liczących drobnych producentów, którzy w pojedynkę nie mogą się podjąć eksportu.

— Spieszymy się — tłumaczy pan Kazimierz — bo nie zamierzamy dać się wyprzedzić. Mamy ambicję, aby nasze Centrum nabrało znaczenia w skali szerszej niż region.

„Floreus” chce zgromadzić kapitał akcyjny w wysokości pół miliona złotych. Przewiduje się 4 rodzaje akcji: 1-mienne, na okaziciela, specjalne i założycielskie — każda o nominalnej 300 tys. zł. Jedną akcją założycielską uprawnia do 5 głosów stanowiących na zgromadzeniu współników. Akcje „na okaziciela” są dla wszystkich chętnych. Kto ma pieniądze i pragnie je korzystać, nie ulokować, ciesząc się dywidendami wypłacanymi z zysków Centrum — ten kupi.

Chyba, że akcje nie będzie, bo — prawdę mówiąc — nasuwają spore wątpliwości prawnych. Choćby 5-procentowy podatek od kapitału akcyjnego (od 0,5 mld zł) — przerzucić go na barki akcjonariuszy, czy stracić od razu 25 mln zł? Nikt tego nie wie. „Floreus” jest pionierem na nie przetartym od kilkudziesięciu lat szlaku.

Spółka poprawia samopoczucie

Agencja „X” oraz „Floreus” reprezentują dwa wyraźne nurty w rzecze spółek. Pierwszy z nich tworzą ludzie o nie zrealizowanych dotąd ambicjach, wykształceni, niespokojnego ducha, nie mogący znaleźć sobie miejsca w nieruchomościach i przedsiębiorstwach. Nie wnoszą oni z sobą zbyt wielkiego kapitału, bo go jeszcze nie mają. Odwrotnie, niż ci drudzy, którzy zdążyli się już dorobić niemałych pieniędzy i pragną je teraz korzystać, inwestować. O ile ci pierwsi stawiają wszystko na jedną kartę, rezygnując z dotychczasowych zajęć — ci drudzy zadowalają się zapewne posiadaniem sporych udziałów lub akcji założycielskich, co da im wpływ na działalność zarządu spółki. Jednych od

drugich oddziela majątkowa przepaść, lecz łączy — wytyczanie szlaków.

Są to wyraźne nurty w rzecze o metnej dość wodzie. Nie wiadomo bowiem, co sędzi o przyszłości większej części zarejestrowanych spółek. Z lektury Rejestru Handlowego wynika, że bardzo wiele spółek posiada znikomy kapitał, rzędu kilkudziesięciu tysięcy zł. Kapitały przekraczające milion należą do rzadkości. Ogromny jest rozrzut deklarowanej w umowach działalności: od usług i produkcji w zakresie dziewiarstwa, artykułów spożywczych, radiotechniki i komputerów — po hotelarstwo, marketing, usługi plastyczne i consulting, a nawet... spektakle w zaciszu domowym, proponowane przez teatrzyk „Kici-Koci”. Wcale nierzadko zauważa się spółkę, deklarującą przyśłowne mydło i powidło. Powtarza się np. zwrot: „prowadzenie na rachunek własny lub w pośrednictwie działalności usługowej, wytwórczej, handlowej w zakresie branż...” — po czym następuje wyliczanka, zawierająca kilkanaście różnorodnych pozycji.

Ta różnorodność zastanawia sędziego Tadeusza Kepniaka.

— Odnoszę wrażenie, że niektórzy rejestrują się na zapas. Na razie pracują w zakładzie uspołecznionym albo w prywatnej inicjatywie, ale już kombinują — a już przyda się spółka, gdy szef zwolni z pracy? Skoro zaś nie wiedzą, czym naprawdę będą się zajmować, deklarują na wszelki wypadek całą litanię...

Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że Kodeks Handlowy nie przewiduje jakiegokolwiek obowiązkowego okresu pomiędzy rejestracją a rozpoczęciem działalności. Można jej nawet wcale nie rozpoczynać. Istnieje tylko obowiązek składania sądowni sprawozdań, po roku od startu. Jest jeszcze za wcześnie, aby na tej podstawie wyrokować o czymkolwiek.

Sędzia Jerzy Sztombka z Sądu Wojewódzkiego widzi inny możliwy powód rejestracji na zapas:

— Ludzie śpieszą się, aby załatwić to przed nową ustawą, która na pewno podniesie śmiesznie niskie wymagania co do wkładów i kapitału. Pytanie — o ile podniesie? Do 100 tys. zł czy do 5 mln?...

Zdaniem wszystkich moich rozmówców, spółkowy boom przyniosły z sobą nie tylko wiatry reformy, ale i właśnie plutki o nowej ustawie.

Główna księgowa agencji „X” nie zgadza się z opinią o rejestracji na zapas:

— Są dwa rodzaje możliwych dróg rozwoju: usługowa i produkcyjno-handlowa. W pierwszym przypadku najważniejszy jest lokal, w drugim — lokal, maszyny, kooperanci, surowiec. Trudno oczekiwać, że taka spółka szybko wystartuje.

Jak będzie — przekonamy się w ciągu roku. Na razie napor trwa.

ANDRZEJ
GĘBAROWSKI



Foto: Grzegorz Gałasiński

Błądząc po wąskich, krętych korytarzach

przechodzących na różnych poziomach budynku telewizyjnego przy placu Powstańców Warszawy 7, zauważyłem dość dziwną modę wśród panów: prawie wszystkie były ubrane na czarno. Nawet sekretarki dyrektora Bilika. Miałem chęć zapytać, czy nie jest to strój żałobny, ale w porę dowiedziałem się, że teraz „tak się nosi”.

Kiedy się ogląda program telewizyjny w zaciszu własnego mieszkania, ma się przekonanie, że tam, po drugiej stronie szklanego ekranu, trwa nerwowa gonitwa, nieustanne pogotowie, nie kończący się wyścig z czasem. Jakże się mylimy!

Schodzę do studia, z którego nadawany jest główny dziennik tv o 19.30 oraz dziennik „Komentarze”. Jest godzina 19.25. Studio puste. Panuje nieznośny upał: kilkanaście olbrzymich jupiterów czyni z obszernego i wysokiego pomieszczenia istną saunę. Trzy kamery wycelowane w stronę stołu, czwarta z boku, właściwie z tyłu, tuż przy drzwiach. Wzdłuż całej ściany zwisa ciężka bryła dyspozytornia: za jej szybami, w głębi, majaczą sylwetki poruszających się wolno mężczyzn.

Siadam przy stole, na którym stoi plansza „dt — komentarze”. Jest 19.27. Zjawia się Krzysztof Bartnicki, za nim kamerzysta i jakaś pani. Z dyspozytorni rozlega się głos:

— No co, wesółki, robimy coś?

Krzysztof Bartnicki siada, poprawia włosy, kamerzysta mówi: żeby się pochylił trochę w lewo, tak, teraz dobrze. Głos:

— Za dwie minuty zaczynamy!

Czekamy. Jest nas w studio 7 osób razem ze mną, ale ja się nie liczę, oficjalnie mnie nie ma. Pozostali rozmawiają, ktoś jeszcze przesuwając jeden z monitorów.

Wreszcie rozlega się sygnał: dziennika telewizyjnego. Na monitorze pojawia się znajoma plansza.

— Dobry wieczór. Oto sygnały dnia...

Pojawiają się zapowiedzi, po tym reportaż z zakończonych Targów Poznańskich z komentarzem „dokładającym” tegorocznej imprezie. W czasie gdy oglądamy relację z Poznania, Krzy-

stów tego dnia miał prowadzić przekaz telewizyjny (ze zrozumiałych względów wolabym, aby była to Zdzisława Guca). Jednakże czas się nie dłużył, w tym wielkim przedsiębiorstwie jest tyle do obejrzenia, że nawet najbardziej odpornemu człowiekowi może zakreślić się w głowie. Gdy w rozmowie z Markiem Tumanowiczem nazwałem Dyrekcję Programów Informacyjnych przedsiębiorstwem, rozemknął się i powiedział: — Wobec tego gmach na Woronicza jest Hutą im. Lenina!

Kiedy przyjechałem do Warszawy, był wczesny ranek, potem nadeszło południe, po nim wieczór. Grzesio Gałasiński wykonał chyba setkę zdjęć. Przez te — mijające niezauważalnie godziny — snuje się z jednego piętra na inne, z jednego korytarza przechodzę w drugi, z pokoju do pokoju, ze studia do studia. I niemal ciągle spotykam te same twarze, trafiam na ludzi, których widziałem tu rano, w południe i teraz późnym wieczorem. Tylko w sekretariacie dyrektora Andrzeja Bilika pojawiła się nowa sekretarka (w czerni jak i jej poprzedniczka).

— Czy redaktor Bilik zawsze tak długo przebywa w gmachu? — pytam dziewczynę, która teraz, późnym wieczorem, chyba niewiele ma tu roboty.

— Sześć wychodzi tak gdzieś koło dziesiątej, ale przeważnie siedzi dłużej.

— Bo frajer — wtrąca się kierowca. — Mnie muszą płacić za nadgodziny.

— Ale nie jesteś dyrektorem — replikuje sekretarka.

— Ale jak jeżdżę trzysta godzin miesięcznie, to te swoje czterdziestki też wykreję.

— Tylko, że ty za nic nie odpowiadasz, a on...

— Za to jak wracam do domu, to wszystkie zmartwienia zostawiam za drzwiami.

Spoglądam na zegarek: czas iść do studia „Panorama Dnia”. Jest ono małe, więc upał w nim zmusza do wycofania się. Zatrzymuję się w reżyserce i przez szybę obserwuję jak Karol Sawicki wygodnie się usadawia, sprawdza się na monitorze.

12 godzin po drugiej stronie telewizyjnego ekranu

ze str. 1

Piotr Fajdowski: — To był jeden lukier. Program z Koszalina był eukierkowy, mdły. Było to malowanie fasady budynku, który się wali.

Jerzy Boćkowski: — Jestem za kontynuowaniem tego typu wyjazdów w teren. Nas nie trzeba lubić czy nie lubić, nam trzeba wierzyć.

ANDRZEJ BILIK: — Niektórzy uważają, część naszych kolegów także, że dziennik tv to świętość. A ja mówię: Nie bójmy się szargać świętości! Trzeba oderwać się od myślenia tradycyjnego, trzeba szukać atrakcyjnych rozwiązań, upolować środki masowego przekazu. Może wkrótce nadamy dziennik z FSO czy z innego zakładu produkcyjnego? Życie zmusza, byśmy wyszli poza nasze mury. Ale pod jednym warunkiem: trzeba wszystko robić dobrze.

Narada trwała długo, do ciastek mieliśmy z Grzesiem dostęp utrudniony, toteż z ulgą przyjąłem jej zakończenie: Zbliżało się południe i trzeba było zjechać do bufetu na późniejsze tego dnia śniadanie.

Dialog w bufecie

— Słyszaleś? Znowu wyszło na to, że wszystkim są winni dziennikarze.

— Jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłeś?

— Nie przyzwyczaiłem się.

— Najgorsze jest pierwsze 10 lat, potem przechodzi...

Bardzo interesował mnie „Teleexpress”.

W dużej sali ktoś ustawił dwie oszklone klat-

ki z wizerunkiem „Supermana III” na biegunach. Do tych klatek wchodzi i wychodzi panie Bożena Targosz i Magdalena Mikołajczyk oraz Robert Tomasz. Ale wszystko to później. Teraz na te monitory, przed kamerą, na brzoisku pulpitu sadowi się Sławomir Zieliński. Jupitery leją tyle światła i żaru, że nie ma czym oddychać.

Głos mówiący do kamerzysty:

— Ściągnij blendę... trochę... ech człowieku, dodajesz kublami!

— W porządku. A teraz?

— Może być. Startujemy!

Sławomir Zieliński: — Dzień dobry. „Teleexpress” 18 marca, w piątek. Pracownicy i studenci AWF w Białej Podlaskiej urządzili bieg sztafetowy, w czasie którego przebiegną 4.444 kilometry. W czasie dzisiejszego teleexpressu przebiegną tysiąc kilometrów.

W drugiej sali, tej ze szklanymi kłatkami, swoje informacje przekazują panie Bożena i Magdalena wraz z panem Robertem. A ja, podobnie jak ludzie z obsługi — kątem oka oglądam na jednym z monitorów zabawną rysunkową kreskówkę.

Dialog w bufecie

— Wy, łodzie, korzystacie z wyjątkowego przywileju. — Mówi do mnie podczas kolejnego picia herbaty sympatyczny mężczyzna, z którym wspólnie zjechaliśmy windą do suiteru.

— Jak mam to rozumieć?

— Odczuwacie wszystkie rozkosze drugiego etapu reformy, a przy tym jesteście tak daleko od władzy... tak daleko...

sztof Bartnicki poprawia krawat, wymienia uwagi z kamerzystą, ale jest czujny, nie odrywa oczu od kontrolnego monitora.

Samo studio dziennika jest brzydkie: szara wykładzina, za fotelikiem prezentera ustawiono oświetlenie w nieco jaśniejszym kolorze. A tuż za tą dekoracją wznoszą się surowe ściany z betonu poprzecinane poplatanymi przewodami elektrycznymi. Sufit także jest z betonu, wysoki, upstrzony jupiterami. Całość sprawia wrażenie bunkra, w którym ustawiono dekorację, zawieszono reflektory, dobudowano szklaną dyspozytornię, wyłożono podłogę szarą wykładziną i ustawiono kamery, stojaki na plansze i dwa stoły, przy których zasiadają prezenterzy. Kiedy się patrzy na to, odnosi się wrażenie, że wszystko jest tu zwyczajne, a przez to bliższe bo bez blachtru. To tylko nam, siedzącym przed telewizorami, wydaje się, że oni tam, po tej drugiej stronie, przebywają w innym, cudownym i tajemniczym świecie.

Dialog w bufecie

— My tu? Zajadamy się mielonym z kartofkami, a tam na górze szefowie dzielą premie z zysków.

— Dziela między siebie?

Pozostało mi jeszcze jedno studio: Panorama Dnia.

Dość długo krążyłem wokół pokoi redakcyjnych, zaglądałem do Karola Sawickiego —

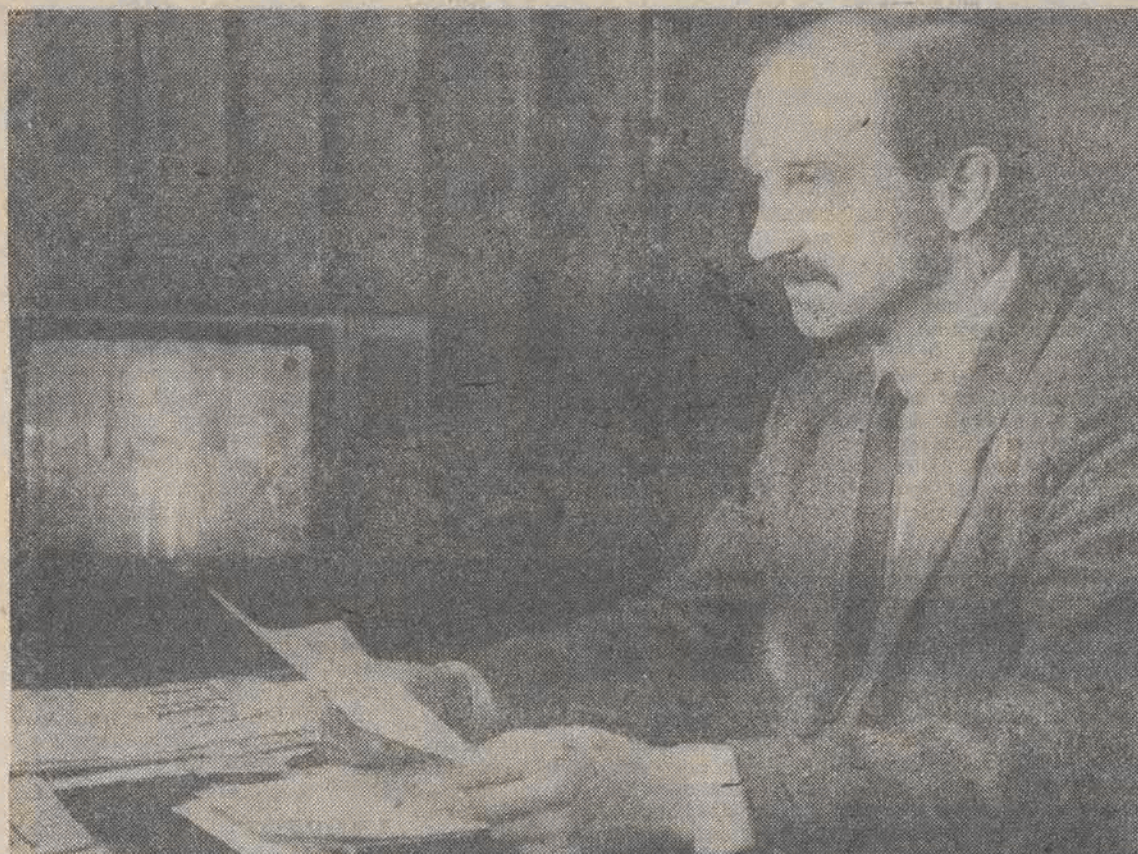
— Uwaga, startujemy!

— Dzień dobry. Gdyby kopalnie płaciły kary za zasilanie wód, wówczas rocznie musiałby wydać 25 mld złotych — oceniło Ministerstwo Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych. W województwie zielonogórskim ściągnięto zaledwie 2 mld za szkody oszacowane na 25 mld. Gdyby wszystkie polskie miasta zechciały wybudować sobie oczyszczalnie, kosztowałyby to 45 mld złotych. A kary za zanieczyszczanie wód wynoszą zaledwie 2,5 miliona. Taniej jest truć niż budować. Nikt jeszcze nie obliczył, ile zarobiliłbyśmy, gdyby było odwrotnie...

„Panorama Dnia” trwa zaledwie kilkanaście minut. Właściwie po obejrzeniu „Teleexpressu” i głównego wydania dziennika, niewiele już może mnie zadziwić. Pakuję więc magnetofon, zamykam notatnik, chowam długopis, zaciągam ekier na swojej torbie. Na trzecim piętrze sekretarka stempluje mi przepustkę, mówię jej „dobranoc” i zjeżdżam na parter odprowadzany ważnymi spojrzniętami strażników.

Przez dwanaście godzin przebywałem po drugiej stronie ekranu telewizyjnego.

EUGENIUSZ IWANICKI



1. Co się dzieje, gdy zespołu nie ma.

Było tych wyjazdów w tym roku już tak wiele, iż można by się było na nie zżymać, gdyby choć przez chwilę sala przy pl. Dąbrowskiego stała zamknięta na cztery spusty. Ale nie. Gdy wyjeżdża np. zespół baletowy („Sen nocy letniej”) do RFN i Holandii, w Łodzi trwa ostatnie gorączkowe przygotowania do wielkiej premiery „Toski”, gdy za granicą bawia kolejno: „Eugeniusz Oniegin”, wspomniany „Tosca” i „Mefistofeles” (Austria, Holandia, Szwajcaria), w stałej siedzibie królują balety „Faust goes rock”, „Próba”, „Wolfgang Amadeus”, a także programy estradowe najwyższego lotu — z Teatrem Ewy Demarczyk, recitalem Zdzisławy Sośnickiej i galą festiwalu piosenki aktorskiej we Wrocławiu na czele.

Dyrekcja łódzkiego teatru doświadcza zresztą do takiej perfekcji w gospodarowaniu czasem i układaniu terminarza na całe tygodnie i miesiące, iż zdolała np. ku obopólnej satysfakcji przekonać łódzkich filharmoni-

powodzeniu „Eugeniusza Oniegina” pisał w dalekopisie jeszcze z trasy zapraszający tę operę impresario zachodniemiecki — Landgraf („gratuluję dyrektora tego wspaniałego, najlepszego moim zdaniem przedstawienia łódzkiego, orkiestra, soliści, inscenizacja, wszystko pyszne”), a wystarczy przejrzyć liczne recenzje po „Śnie nocy letniej”, „Tosce”, nie wspominając już o „Wolfgangu Amadeusie” i niedawno dopiero przybyłym do Łodzi ze Szwajcarii „Mefistofelesie”, by przekonać się o dobrze wypełnionym artystycznym i prestiżowym zadaniu.

Rzecz zresztą ważna jest jeszcze co najmniej z jednego powodu. Nie tylko coraz częściej zaprasza się łódzki Teatr Wielki na liczące się tournée do krajów Europy Zachodniej, ale także z coraz bardziej ambitnym repertuarem. Wprawdzie o dobrej sławie łódzkich zespołów winna nas przekonać już Messyna (miesieczny pobyt na Sycylii z kilkunastoma przedstawieniami operowymi i baletowymi), ale

Wiedniu, aby podzielić się wrażeniami z przyjęcia publiczności. Zrelacjonowałam gorące przyjęcie, oważe na stojąco i usłyszałam, że to bardzo dobrze, iż po wielu latach nieobecności na scenach europejskich, zdecydowała się tu pokazać. Europa liczy się bardzo w biografach artystycznych, zejście z pierwszych stron gazet tu ukazujących się mogłoby się kojarzyć z rezygnacją z występów, utratą głosu czy zakończeniem kariery. Ale ważne jest też, z kim i gdzie następuje come back. Moi agenci uznali, iż zrobili wspaniałe — sądząc po reakcjach prasy zachodniej — powracając po latach do Łodzi, gdzie moja macierzysta scena. Nie tylko zresztą dlatego, iż ma to znaczenie emocjonalne (powrót do źródeł, tu, gdzie po raz pierwszy w życiu znalazłam się w profesjonalnych rękach), ale także, iż łódzki teatr należy do instytucji, o których zaczęło się naprawdę dobrze mówić w zachodniej Europie. Prężna dyrekcja Sławomira Pietrasa zapewnia tej placówce linie ciągłe się wznoszącą, nowoczesną

libronn, aby sprawdzić na konkretnym przykładzie to, o czym mówili Teresa Wojtaszek-Kubiak i Włodzimierz Zalewski. Najpierw zacytujmy fragmenty recenzji, która ukazała się po pierwszym przedstawieniu „Toski” w „Heilbronner Stimme”, 3.III.1988 r. „Szczytowe osiągnięcie muzyczne zaprezentowała orkiestra opery w Łodzi trzymana w cudłach zdyscyplinowaną batutą Aleksandra Tracza. Wspaniale realizowane szaleńcze zmiany tempa i dynamiki, pulsujące rytmy symfonicznej, często ilustracyjnie pomyślanej budowy dzieła w połączeniu z profesjonalną siłą muzyków z Polski dały w rezultacie pełną i znakomicie barwną interpretację. Wrażliwy akompaniament orkiestry sprawiał satysfakcję śpiewakom i dawał im możliwość swobodnej realizacji partii wokalnych”.

To nie jedyny pełen zachwyty akapit, bo przecież, o czym donosiłam w bezpośrednich korespondencjach z Heilbronnem w „Głosie Robotniczym”, wspaniale przyjęła Teresę Kubiak i Włodzimierza Zalewskiego, pełną inwencji, odchodzącą od dzieł niemieckich stamtąd operowej reżyserii Klausa Wagnera, scenografie Chwedczuków i inne komponenty tego przedstawienia. Sukces więc był bezsporny, pobyt w Heilbronn przyniósł przy tym nowe propozycje i nowe kontrakty, o czym już po części informowałam.

Czy jednak najlepsze nawet przyjęcie w statusie gościa w mieście Badenii-Wirtembergii może mieć prestiżowe znaczenie dla łodzian?

Przekazmy najpierw informację o zasadach tego porozumienia. Dyrekcja Miejskiego Teatru Dramatycznego w Heilbronn zaprosiła łodzian na cykl tuż powremieryjnych występów u siebie, co nie jest częstą praktyką w naszym kraju. Na przełomie października i listopada 1987 r. zaprezentowano 9 spektakli „Nabucco”, w początkach marca 1988 r. 6 spektakli „Toski” (dalszych 8 w listopadzie 1988 r.) i po wakacjach przyjdzie balet „Kopciuszek” w przygotowaniu Iriny Fokin. Oznacza więc to stałe miejsce występów, stałą publiczność, a możliwość powtórek daje jeszcze jedną szansę — możliwość konfrontacji. Oznacza także akceptację przez twórców tej idei — dyrektora Teatru w Heilbronn, który posiadając swój, stały zespół dramatyczny został zobowiązany przez widzów do zapraszania w ramach abonamentów najlepszych zespołów operowych i baletowych.

Nie chcę wymieniać, kto był przed łodzianami, towarzystwo to przynosił obydwu stronom szczyty, ważniejsze jest jednak co innego. Heilbronn leży tak blisko trzech potężnych centrów kulturalnych — Stuttgartu, który ma wspaniały balet, Frankfurtu z wybitnymi inscenizacjami operowymi i Monachium z najlepszymi zagranicznymi śpiewakami świata, iż przyjęcie do tego teatru łodzian jest naprawdę kwestią świadomego wyboru.

A przecież koń by się uśmieł gdyby powiedział, że właśnie w Badenii — Wirtembergii szczególnie nas Polaków kochają. Łodzianie znajdowali się nieustannie pod ostrzałem opinii publicznej, a kilka wyraźnych tendencji politycznych pytań zadanych przez dziennikarzy radi Stuttgart dyrektorowi Sławomirowi Pietrasowi i czołowym solistom łódzkiego teatru wyraźnie świadczyło o intencji. Wprawdzie ekipa łódzka poradziła sobie ze wszystkimi pytaniami doskonale, o czym już pisałam, ale prezentując najwyższe dokonania naszych teatrów powinniśmy być bez zarzutu we wszystkich sprawach.

Bo przecież co by było, gdybyśmy nie mogli na pytanie: „dlaczego polski teatr wystawia włoską operę w niemieckojęzycznym mieście?”, przytoczyć tego, co powiedział szef łódzkiego Teatru Wielkiego: „bo tradycja naszej kultury jest otwartością pojęcia wszechstronnie i bardzo szeroko”. Na szczęście mogliśmy wyjechać z tego miasta bez komplementów, bo odnieśliśmy sukces.

I to nie jedyny w tym roku. I nie tylko tu.

Teatr naprawdę wielki

MAŁGORZATA KARBOWIAK



Teresa Wojtaszek-Kubiak jako Tosca

ników do towarzyszenia zespołowi baletowemu w wędrowkach po świecie („Sen nocy letniej”), co rozwoliło spokojnie przygotować premierę „Toski” z udziałem własnej orkiestry. Nie zdarzyło się także, by przez jakikolwiek wyjazd odwołano cieszące się ogromnym powodzeniem Łódzkie i Kaliskie Warsztaty Operowe. Po prostu istnieje w tym zespole precyzyjny podział zadań obciążający w równym stopniu wokalistów, co tancerzy i muzyków, nie wspominając już o niebywalej wręcz sprawności wymaganej od pracowników technicznych („Tosca” z monumentalną dekoracją Chwedczuków dała wszystkim dobrze w kość, a jej wyjazdowa „sesja” do RFN jeszcze ze zadania komplikowała).

No i jakos się udało, choć dyr. Sławomir Pietras nie ukrywa, iż apetyty mogą przerastać możliwości. Zby wiele się wystawia i to w pełnej oprawie scenograficznej, z uruchamianiem całej wielkiej maszynierii sceny, by wystarczały harmonogramy stereotypowe, akceptowane do niedawna Scenografi „Toski” przestraszyły się przecież nawet — zapraszając do siebie ten spektakl — Niemcy z Heilbronn. Poszczególne elementy powlokło nad rzekę Neckar aż siedem potężnych transporterów. Może i nie zdajemy sobie do końca sprawy z tego, jaki ogromny stał się ten nasz Wielki Teatr?...

2. Od „Śnieżki” do „Kawalera Srebrnej Róży”.

Powiedzmy od razu, iż wszystkie tegoroczne wyjazdowe tury zakończyły się sukcesem. O

przecież w tym samym czasie jeździła także po świecie, z powodów czysto komercyjnych „Królowa Śnieżka”, „Baron Cygański”, rock-balet „Próba” czy, nieco później „Wesola wdówka”. Dziś proszę zwrócić uwagę — podpisuję się porozumienia i to i cze w sprawie „Eugeniusza Oniegina”, „Mefistofeles”, „Nabucco”, „Toski”, a już pęcznieje notes dyr. Sławomira Pietrasa od kolejnych notatek na temat „Kopciuszka”, czy „Kawalera Srebrnej Róży” mających już zaplanowane i rozpisane „do drobnemu” wielkie tournée.

Ala przecież niemal wszystkie polskie zespoły operowe jeżdżą po świecie, przynajmniej to sami, bo przyciąga bogatych melomanów z Europy Zachodniej tanioc w porównaniu z ich zespołami naszych przyjaciół. Czy więc można mimo wszystko mówić o jakiejś specjalnej randze wyjazdów naszego teatru?

Konfrontowałam te opinie w Heilbronn, o czym pisałam nieco wcześniej, z towarzyszącą łódzkiej „Tosce” w ramach gościnnych występów Teresą Wojtaszek-Kubiak i znanym doskonale na terenie RFN Włodzimierzem Zalewskim, który zresztą przez kilka miesięcy będzie nieuchwytny w Łodzi (liczne występy w teatrach zachodniemieckich). Przekazuję je z całym dobrodziejstwem inwentarza.

3. Gwiazdy o łódzkim teatrze

— Mogę pani powiedzieć — to Teresa Wojtaszek-Kubiak — iż nazajutrz po swoim występie w Heilbronn dzwoniłam do agentów w Londynie i w

kształt repertuarowy, interesujące poczynania artystyczne i stałe kontakty z artystami zagranicznymi, co pozwala nie pozostawać w tyle za trendami światowymi. Dobrze się także stało, iż przygotowuje się tu repertuar tak zresztą trudny jak choćby „Mefistofeles” czy „Nabucco”, w językach oryginalnych. To zapewnia możliwość wyjazdów, a także zapraszania do Łodzi wybitnych artystów innych scen. Jestem szczęśliwa, że mogłam po latach znów zwizać się na jakiś czas z łódzkim teatrem i będę tu stale pracować.

Powiedzmy jeszcze, iż pani Teresa prosiła, by za pośrednictwem prasy podziękować wszystkim łodzianom za niezwykle gorące przyjęcie, kwiaty i upominki. Takiej publiczności, jak w Łodzi nie ma ponoć w żadnym innym teatrze świata...

A oto, co powiedział o łódzkim teatrze Włodzimierz Zalewski:

— Wyjeżdżałam przed laty do RFN z niezłego teatru prowincjonalnego, powróciłam natomiast do instytucji o europejskim rozmachu. Nawet nie przypuszczałam, iż ten teatr tak szybko nawiąże do poziomu scen europejskich. Rzecz nie w jakości poszczególnych premier, bo mogą być lepsze lub gorsze, jak wszędzie. Istotne jest to, iż średnia poziomu jest tu wysoka, iż sąsiadują ze sobą takie pozycje, jak absolutnie niedościgniony na miejscu i w kraju, a wspaniale przyjęty przez wszystkich gości zachodnich spektakl „Borysa Godunowa” odbiegający całkowicie od operowej szampy i będący po prostu pokazem nowoczesnego teatru operowego, „Nabucco”, „Mefistofeles” czy „Tosca” nie mówiąc już o pozycjach baletowych, czasami prapremieryjnych.

Udało się w łódzkim teatrze pójść w kierunku nowoczesnej inscenizacji wymagającej od artystów nie tylko pięknego śpiewu, ale także wspaniałego popisu aktorskiego, wydobywania prawdy o człowieku i jego konfliktach. Cieszy mnie także to, iż dyr. Pietras postawił na młodzież, dając jej szansę wspaniałego debiutu i pieczołowicie się nią opiekując. Dziś trzeba mieć strasznie dużo, by sprostać narzucanym zadaniom przez reżyserów. Powiem, że śpiewu uczyłem się właściwie dopiero w RFN, mimo że byłem po udanej łódzkiej premierze musicalu „Grek Zorba” i do dziś nie rozstaję się z nagraniami, pozwalającymi potem dokładnie analizować wszystkie moje występy. Bez tej ciągłej kontroli nie ma dziś mowy o właściwym poziomie, a taką atmosferę stwarza swoim artystom dyrekcja Teatru Wielkiego w Łodzi.

4. Szczytowe osiągnięcia muzyczne...

Ala pora odwołać się do He-



Mówi: Krystyna Bobrowska

— Mówi się, że jest pani pasjonatką?

— To miło, że tak się mówi. Uważam, że każdy człowiek powinien mieć w życiu jakąś pasję lub choćby zainteresowanie czymś ciekawym. Bez tego wszystko jest letnie, a Łódź szczególnie potrzebuje ludzi z pasją i zaangażowaniem.

— A konkretne przykłady?

— Podam dwa: chciałabym dodać poczucia godności miastu, spopularyzować jego tradycje, historię, specyficzne dzieje rozwoju Łodzi oraz edukować kulturalnie młodzież poprzez kontakt z teatrem. Stąd moja obecność i działalność w TKT i TPL, gdzie widzę miejsce i możliwości realizacji swoich zainteresowań.

— Ilu czasu zabiera pani społeczna funkcja prezesa Towarzystwa Kultury Teatralnej oddziału w Łodzi?

— Zdaje sobie sprawę, że powinna więcej, lecz układ domowo-rodzinny nie pozwala na tyle, na ile bym chciała.

— Która to już pani kadencja?

— Trzecia. W latach 70. były przerwy.

— TKT jest już trochę skostniała struktura, nie proponujecie nowych, oryginalnych form działania. Może by więc tak ustąpić miejsca młodszym działaczom?

— Proszę bardzo. Miło mi poinformować, że coraz więcej w kręgach naszych działaczy młodych osób ze świeżymi pomysłami i wolnym czasem na ich realizację. A z naszymi akcjami chyba nie jest tak źle, bo gdy jadę do Zarządu Głównego TKT w Warszawie słyszę, że nasze łódzkie pomysły powiela się w całym kraju. Szczególnie akcje „Mój list z widowni”. Jest np. propozycja, aby zrządnować z ogólnopolskiej akcji „Bliżej Teatru”, podczas gdy w Łodzi właśnie ona najlepiej prosperuje.

— Jest pani także wiceprezesem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi i jak tam znajduje ujście jej pasjonacka natura?

— Już 25 lat kieruję w TPL jedną z sekcji „Klubem Miłośników Teatru”. Przez 13 lat wydawałam suplementy poświęcone wydarzeniom teatralnym i najwybitniejszym postaciom polskiego teatru. Co dwa lata organizujemy koncerty „Cieniom łódzkiej sceny” co roku przyznajemy „Srebrną Łódź”, a m. in. raz w miesiącu odbywają się w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy spotkania ze znanymi osobami w cyklu „Z łódka w herbie”. Mam tu bardzo piękne pole do działania. Jestem chora na punkcie niewykorzystywania możliwości, jakie ma Łódź, szczególnie w dziedzinie jej przemysłowej architektury.

— Jeszcze tak niedawno była pani kierownikiem literackim Teatru Nowego w Łodzi, ale już nie jest, dlaczego?

— Ogromnie żałuję, ale nie mogłam tego pogodzić z obowiązkami rodzinnymi i społecznymi.

— Czy ze stanowiska kierownika literackiego Teatru Nowego w Łodzi zrezygnowała pani sama?

— Największą przygodą mojego życia to współpraca z Kazimierzem Dejmkiem. Odeszłam, bo już przyszła na to pora.

— Jakie inne odpowiedzialne funkcje i stanowiska piastowała pani w Łodzi?

— Zaczynałam jako asystentka Jana Koprowskiego w Teatrze Nowym. Byłam przewodniczącą Komisji Kultury Zarządu Łódzkiego Ligi Kobiet. Pracowałam w redakcji popularyzacji filmów oświatowych WFO. Byłam kierownikiem literackim Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi.

— Wydaje mi się, że wyjątkowo dobrze czuje się pani wtedy, gdy kieruje?

— Mnie się również tak wydaje.

— Czy w domu także wszystko zależy od pani?

— Królową Nocy jest moja Mama, która właśnie wieczorami czuje się najlepiej. Ja jestem tylko mediatorem kontaktującym wszystkich z szerokim światem.

— Pani mąż jest jednym z najwybitniejszych w Polsce lekarzy chirurgów specjalistą — flebologiem. Jak porozumiewacie się ze sobą na płaszczyźnie tak różnych zainteresowań?

— Mąż jest zarażony teatrem i moimi sprawami. Towarzyszy mi na każdej premierze. Od 44 lat jest moim najwspanialszym partnerem życiowym.

— Podobno na ćwierć etatu jest pani rejestratorką, sekretarką i asystentką męża?

— Można tak to nazwać. Ale ja głównie jestem od protekcji znajomych, bo wszystkim sprawami zawodowymi mąż kieruje sam, dziennie.

— Jaki jest wasz dom?

— Wspaniały, pełen ciepła rodzinnego i wzajemnego porozumienia. Rodzina składa się z 4 generacji, które wspólnie zasiadają przy niedzielnym obiedzie. Ponadto brydżujemy.

— A dzieci?

— Już dorosłe i samodzielne. Córka jest scenografem telewizyjnym i teatralnym. Robi to z dużą pasją. Syn czasowo przebywa w Chicago. Z zawodu jest reżyserem i realizatorem telewizyjnym.

— Pani hobby?

— Łódź i młodzież tego miasta.

— Główna cecha pani charakteru?

— Chaotyczność, nieorganizowanie. Znajomi mówią, że jestem kontaktowa.

— Główna zaleta?

— Nie mam zalet.

— Ideal do naśladowania?

— Moja mama i moja siostra.

— Ile posiada pani nagród i odznaczeń?

— Jest tego sporo.

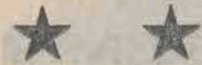
— Czego tam jeszcze brakuje?

— Niech pan nie myśli, że pryzmam się do tego publicznie.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Plaza

Twoje ciepło płynie moja ręka
Aż gorączka dochodzi do mózgu
W Twoim ciepłym jest małe gniazdo
Które wielbia sobie krasnoludki
W Twoim ciepłym... tak chciałbym pozostać
Żeby śladu nie zostało po mnie
Żeby tylko się te ziarenka piasku
Miał w klepsydze przesypany w promieni



Motto:
Lepiej zeglować małą łódką
niż stojąc na brzegu
zazdrościć innym.

Rzeczywistość
To jest odium na mnie
A jest także morzem oczywistym
I to w życiu jest
Niezbyt wspaniałe
Wódka czysta
Też niezbyt jest czysta
Ciepłe żagielki maleńki prowadzi
Nawigare necesse est
Jak ucieknąć daleko od ludzi
Przywiązany do nich jak pies

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko - obyczajowa

DLACZEGO FRANCISZEK
KARPIŃSKI NIE ZOSTAŁ
MĘCZNIKIEM

Widząc w ołtarzu obraz św. Sebastiana strzelami pokutnego, przyszła znowu mi myśl być męczennikiem dla wiary. Wiedziałem, że Chochim, miasto tureckie na Wotoczyźnie, od Stanisławowa o kilkanaście mil tylko odległe, umyśliłem tam się kościelnie dostać i w środku tego miasta Mahometa, proroka muzułmanów ostatnimi łzami wyrazić; tak obrażeni Turcy pewnie by mnie za wiarę moją z-mordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego przyszło mi do głowy doświadczyć pierwej, jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały: duża szpilka utkwiłem sobie w udo a z bólu krzyku narobiwszy i widząc się tak niecierpliwym - szpilkę i myśl zostawiłem męczennikiem porzuciłem.

Franciszek Karpiński: Historia mego wieku i ludzi, z którymi żyłem. Warszawa 1987

POJEDNANIE

Pewny sławny pijanica, który nigdy nie pijał wody, przy śmierci wielki jej sobie kazał podać pucher: „Umierając — rzecze — trzeba się ze swymi nieprzyjaciółmi pojednać”.

Zebrańie stłdkich i dowcipnych powieści i listów. Warszawa 1790

KOLEKCJONERZY

Według informacji zawartych w „Kurierze Warszawskim” (1829, nr 110): Angliki chorują istotnie na marie zbierania. Jest tam niejaki James Wilton, który ma milion „facsimilów”, William Tackson 6-milionów kart wizytowych, sir Edward Lonham 180.000 tabakierok, pewien, którego nazwisko niewiadome ma 1.200.000 afiszów teatralnych, a lord O’Neil 18.000 gazet, a każdej po jednym tylko numerze.

Opracował:

ANDRZEJ KEMPA



Rys. Sławomir Łuczajski

Umarł w ostatecznej nędzy, w całkowitym zapomnieniu; iluż takich było przed nim, ilu po nim... Wrak człowieka rzucony na rafy życia. Niemy świadek własnego losu. Czy rzeczywiście niemy? Pozostawił wszak obrazy, rysunki... To się tak mówi: pozostało dzieło! Ale co ono jest nam w stanie dzisiaj przekazać? Ile w sobie zatrzymało człowieka, który je stworzył? Ile artysty? Wiele dzieł sztuki wstrząsnęło z upływem lat podobnie, jak aromat wina z nieszczerze zakorkowanej butelki, jak zapach perfum ze starego, koronkowego wachlarza, na dnie szuflady... Czasami obrazy ożywiają pod czymś wzrokiem; emanują z nich emocje i nastroje, przekazują swoje prawdy, przemawiają... Wiele z obraz-

Stanisław Grabowski

zów Stanisława Grabowskiego zwierzało, jak owe wino... Ale kilka z nich zachowało swój aromat...

Grabowski umierał w Chartres, w Hospice Saint Brice, w przytułku dla niezdarnych i bezdomnych, 98 kilometrów od Paryża, nad rzeczką Eure, która wpada do Sekwany. Umierał w cieniu najświętszej gotyckiej katedry Notre Dame... Może chodził do niej oglądać wspaniałe witraże z XIII wieku? Może zachwycił go Sąd Ostateczny w tympanonie katedry? Może rzeźbiony Portal Królewski z nieprzeliczoną ilością postaci? Może wzruszyła rzeźba Pięknego Chrystusa? Kto wie? Po wylewie krwi do mózgu w 1954 roku, Grabowski był częściowo sparaliżowany — próbował z uporem malować lewą ręką. W Chartres zrobił wiele szkiców i obrazów o tematyce religijnej. Pierwsze w swoim życiu.

Do przytułku w Chartres trafił Grabowski z Montparnasse'u ze sławnej „La Ruche” — dziwnych rotundy zbudowanej w 1900 roku, na Wystawie Światowej, a potem, przez mecenasa-filantropa-rzeźbiarza F. Buchera oddanej we władanie artystom, geniuszowi i nędzy... Gnieździł się tu swego czasu lub często bywał Modigliani, Chagall, Archipenko, Léger, Sou-

line, Picasso, Apollinaire, Cendrars, Jacob... Żeby wymienić wszystkich, trzeba by przepisać encyklopedię sztuki naszego wieku... W „La Ruche” zamieszkał Grabowski w 1946 roku, zaraz po wojnie i dzielił niedźną pracownię z innym malarzem polskim, Mieczysławem Janikowskim. To dzięki przyjaźni Janikowskiego ocalało wiele z prac ur-

Kończy się szkoła podstawowa, przychodzi czas wyboru. Jakże często jest on przypadkowy. Wybiera się „złoty środek” — liceum ogólnokształcące. Ale cztery lata mijają i znów ten sam dylemat. Rodzice, jak twierdzą najczęściej licealiści: „chca bym skończyć studia wyższe”. Tylko czasem, gdy humanistyka zawładnie umysłem młodego „szaleńca”, ukazują brutalną rzeczywistość stróżując: „to mało konkretne i mało popłatne”. Wydawałoby się, że młodzi popierają te obawy. Okazuje

Trudny wybór

się jednak, że nie jest to takie oczywiste. Większość młodych ludzi, kończąc liceum, podejmuje decyzję kontynuacji nauki kierując się: „zainteresowaniem i zamiłowaniem”. Są naturalnie również inne przyczyny. Ekonomie wybiera się ze względu na: „łatwy kierunek studiów”. A stomatologię i politchnikę widząc perspektywę w: „korzystnych warunkach materialnych”. Dziwne jest, gdy podobny argument stosują kandydaci na medycynę czy filologię polską. A zupełnie niezrozumiałe, gdy przyszły lekarz kierował się w wyborze studiów: „namowami rodziców i selekcją innych kierunków”. Są to jednak wyjątki i wyjątki by się mogło, że młodzi wbrew panującym opiniom, to pasjonaci, którzy sumują zainteresowania, fascynacje, zdol-

ności i wybierają szkołę z wiarą, że „znajdą siebie” i zrealizują marzenia. Tymczasem przyszła praca budzi w nich zgola odmienne refleksje. Kandydatka na filologię klasyczną wyraża swoje wahania: „kierowałam się zamiłowaniem, ale boję się zostać bezrobotną po ukończeniu”. Inni takich obaw nie mają. Ale mają odmienne problemy. Dla kandydata na medycynę, kierującego się: „zamiłowaniem” w wyborze studiów, praca jest: „złem koniecznym”. Wielu podziela te opinie.

Także dzięki staraniom mecenasa Stanisława Janikowskiego, który sprowadził je później do Polski i umieścił w Muzeum Sztuki w Łodzi.

Do Paryża Grabowski przyjechał w 1924 roku, z Warszawy, z Akademii Sztuk Pięknych, z pracowni W. Skoczylasa, K. Tichego i W. Jastrzębowski. Przyjechał z wiarą i młodzieńską żoną, Wandą Nadzieją Chodasiewicz, też malarzka, która potem rzuciła go dla Légera i zmieniła imię z Nadziei na Nadie...

A w Paryżu było tak, jak w Paryżu być powinno... Oboje młodzi twórcy wpadają w rytm życia artystycznego stolicy sztuki — pracują, poznają znanych, ciekawych ludzi, wystawiają, kochają się; w 1927 roku rodzi się im córka Wanda... Uczestnicząc do Akademii Mo-

derne prowadzonej przez Fernanda Légera i Amédée Ozenfanta — wraz z nim studiują tu Piotr Potworowski, Otto Hahn, Marek Włodarski (Henryk Sireng), Szmulski, Wolska, Reichówna... Ze wymienione tylko Polaków. Grabowski maluje dużo, bliższą znajomość z André Massonem zbliża go do surrealistów. Wanda, z poetą Janem Brzankowskim, zakłada dwujęzyczne pismo „L'Art Contemporain — Sztuka Współczesna”.

Lata 1930—1936 to lata licznych podróży artysty po południowej Francji, Hiszpanii, na Majorkę, Wyspy Kanaryjskie, do Londynu... To dużo malowania, wystawy, liczne sprzedaże. A także ostateczny rozpad małżeństwa; Wanda Nadzieja odchodzi do Légera.

Kiedy wybuchła wojna, Grabowski mieszka w Nicei, potem przenosi się do Grasse. Pracuje u jakiegoś chłopca, maluje. Po wojnie zamieszka w „La Ruche”, umrze w Chartres... Wiele kilometrów dzieli Łabawę w Estonii, gdzie Grabowski przyszedł na świat w 1901 roku, a cmentarz w cieniu gotyckiej katedry, gdzie złożono jego prochy, w kwietniu 1957. Wiele też upłynęło wody w Wiśle i Sekwanie... I w wielkim nurcie sztuki współczesnej...

Amédée Ozenfant napisał w katalogu do wystawy Stanisława i Wandy Grabowskich w Galerie d'Art Contemporain w Paryżu, w 1928 roku: „Jestecie oboje kolorystami i dobrze rozumieście, że kolory motywły czy kwiatów nie mogą wyrazić nic głębszego, lecz raczej uczucia motyle lub uczucia delikatne jak kwiaty. Motyle jest uroczym tęczowym owadem, nie wzbogaca jednak naszej duszy — a

przecież tego naprawdę potrzebuje, i na tym właśnie polega społeczna użyteczność artystów, w przeciwnym razie wypadłoby jego twórczość postawić obok miłych Braci Kartuzów i ich powabnego likieru, obok Casino de Paris i jego „splendorów”, obok Amédée i jej sukien, obok Latinvilla'a i jego smacznych ciastek i obok innych, czarujących słodkości: Boże Egipcjan, Greków, Rembrandta, Kartezjusza, Rimbauda, Bacha, Mozarta i jego ucznia Beethovena, Mussorgskiego, Seurata, Cezanne'a — chron nas od tego (...).

Sądze, że właśnie dzieło powinno być rzeczywistością i że ta rzeczywistość jest nieuchronnie oddzielona od zwykłego świata, gdyż według mnie cel, jaki sztuka powinna sobie stawiać, to odeprowadzić nas od naszego ludzkiego losu

i że przypomnienie o nim przy pomocy znanych już nam znaków nie jest najlepszym sposobem na osiągnięcie tego celu. Interesujący jest fakt, że Grabowski i Grabowska wzruszają nas każde na swój sposób; każdego z nas — środek świata usiłujący poprzez malarstwo postawić całą ludzkość w miejsce swych oczu i swego serca; zadziwiająca funkcja artysty, jedyna prawda to jego prawda: wielki artysta to dyktator”.

Waldemar George powiedział o Grabowskim: „Zgłębił wszystkie dziedziny sztuki, odkrył dziewicze regiony malarstwa: wyrażenie podświadomości i życia wewnętrznego. Przez pewien czas wierzył w zbawienie przez formę, w wielkie stałe cechy plastyki, w prawa harmonii, w konstruktywne wartości stylu geometrycznego — rodzaje malarstwa nieuludzie. Potem zwątpił. Swe wywołanie zawiścią płodnym wątpliwością i zmysłowi krytycyzmowi. Zostaje sam wobec magicznego świata swej inspiracji. Od tej chwili Grabowski podlega tylko swojemu losowi”.

Przychodzi taki czas, że dzieło artysty zostaje samo, w zimmnych, obojętnych ślach muzeum... Dobrze, jeśli nie butwieje gdzieś w kacie jakiegoś zwłoczonego, zagryzionego magazynu...

ANDRZEJ
GRUN

ności i wybierają szkołę z wiarą, że „znajdą siebie” i zrealizują marzenia. Tymczasem przyszła praca budzi w nich zgola odmienne refleksje. Kandydatka na filologię klasyczną wyraża swoje wahania: „kierowałam się zamiłowaniem, ale boję się zostać bezrobotną po ukończeniu”. Inni takich obaw nie mają. Ale mają odmienne problemy. Dla kandydata na medycynę, kierującego się: „zamiłowaniem” w wyborze studiów, praca jest: „złem koniecznym”. Wielu podziela te opinie.

JOLANTA POL

„Krzyku”
ciąg dalszy

Kiedy Edvard Munch w 1893 roku namalował swój bodaj najbardziej znany obraz skąd miał wiedzieć, że tytuł jak i forma obrazu staną się w potocznym rozumieniu nierozłączne z ekspresjonizmem. Nikt jeszcze po ten termin nie sięgał, tym bardziej nie przewidywał nawałnicy krzyknietej „neue wilde”, chociaż zawsze tak się w dziełach sztuki układało, że namiętność, gorączka wyrazu przeplatany się z kontrolą intelektu.

Nowa dzikość dotarła już do obszarów sztuki w Polsce. Muzeum Narodowe usankcjonowało jej istnienie wielką i słonną wystawą. W Łodzi nie doświadczyliśmy podobnego ataku, aczkolwiek niektórych młodych artystów wyraźnie pociąga „wściekła” forma. Zapewne jednak nie przypadkiem echo warszawskiego pokazu zbiegło się u nas z dwiema wystawami, których bezpośrednie następstwo zaprasza do porównań.

Oto czas dojrzał, aby zaakceptować twórczość Władysława Rzabę. Artysty już siedziwego (78 lat), od bez mała trzydziestu lat zmagającego się ze swoją niespokojną naturą i dającego temu świadectwo na różnych przeglądach i konkursach plastyki nieprofesjonalnej. Zauważano tam jego ekspresyjną żarliwość, niepodporęczenie się zawiśzanymi wzorami, mimo iż analogie pomiędzy jego malarstwem i malarstwem wielkich prymitywistów można by ujawniać z powodzeniem. Mniej więcej w połowie lat osiemdziesiątych zgierzanin Władysław Rzaba mocą postanowienia administracyjnego znalazł się w społeczności plastyków zawodowych. Chciał takiego uznania swojej twórczości i starał się o jego potwierdzenie wielką indywidualną wystawą. Być może oczekiwał nawet, „obysajac” różne konkursy, wyróżnień podobnych tym, jakie znaczący dokonania Rzaba — amatora. Ale los bywa przewrotny. Choć bowiem czas jakby dojrzał do twórczości tego swoją drogą zmierzającego artysty, jest w niej coś bliższego „Krzykowi” Muncha niż krzykom młodych uwikłanych w rozbiły świat.

Rzeczywistość z obrazów Rzabę zaplatała się w obszarach już zanikających. Naładowane „rozpacząca” deformacja — nawet jeżeli za pogodną — postaci, domy, czasem zwierzęta zaświadczały o tym, co zdążył od artysty ku nam. Jest w tym coś z klimatu Chrystusa Frasobliwego zamkniętego w przydrożnej kaulicze i zarazem z atmosfery ekspresji lat dwudziestych, szczególnie w linorytach.

„Nowi dźwięki” to pokolenie, które došlo do swego czasu. Biegł przeciwny Rzabowi. Zobrozowany świat pokawałkowany, poszarpany, nie mogący dobieć się swojej jednoci. Świat, którego jeszcze nie doświadczyliśmy w sposób naturalny, więc żeby go jakoś przyswoić trzeba go „podejść sposobem”. Tak jak przedzierając się przez to dzieło, od tych ledwie trzymających pedzel w rapce (Hannes Friesch, Herbert Brandl), przez te wzbogacane motywami z fantazji, skrywające prawdziwą metrykę (Alois Mosbacher, Alfred Kilian), po pierwszą intelektualną refleksję, że ten dźwięk nieumiejętnie rejestrowany świat, nie kończy się na krawędzi obrazu, że w która bądź strona będziemy podążać, zawsze tak nieporadnie go doświadczamy (Erwin Bohatsch); w tym też obszarze znajdziemy „Melancholie” jako pierwsze bliskie spotkanie z ludzką twarzą (Hubert Schmalix); bywa też, że szuka się klucza do tego, buntując się przeciw, prawie umarłym starożytnym mitym (Wolfgang Wiedner), szastając gęstą plamą wlecia mierz się i zaciemnia to wszystko (Erwin Wurm); albo — co już jakby „dzikość” oswajało — próbować to jakoś uporządkować (Alois Neuhold).

Ten przegląd oczywiście nie wyczerpuje zasobów „neue wilde”, pozwala jedynie zilustrować tezę o dochodzeniu pokolenia (31-38 lat) do swojego czasu, odwrotność tego, co wynika z malarstwa Władysława Rzabę. To porównanie zaś nie byłoby możliwe, gdyby dzięki Instytutowi Kultury Austriackiej i Galerii w Grazu oraz BWA w Łodzi, nie dane nam było obejrzeć bezpośrednio po wystawie malarstwa, grafiki i rzeźby Władysława Rzabę (lutym-czerwiec 1988 r., Galeria Sztuki BWA ul. Wólczańska 31) pokazu malarstwa młodych artystów ze Steiermark (marzec — kwiecień 1988, ta sama galeria).

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

TO SENS
ŚPIEWANIA

— Nie będę się nawet starała — powiedziała dziennikarce PAP przed wyjazdem z Polski Teresa Wojtaszek-Kubiak — wyrazić, jak wzruszające to były dni, bo wszystkie słowa wydają mi się zbyt banalne. Bardzo jestem związana z „moim” miastem, chociaż nie żałuję decyzji sprzed lat. Wiąże się z Metropolitan Opera zapewniam sobie to, co jest potrzebne każdemu artyście: nieustanną możliwość konfrontacji z najlepszymi. Podstawy zdobywałam w Łodzi. Jeśli mogę mówić o sukcesie, to rodził się on na lekcjach u mojej pierwszej profesorki Julii Gozdechowskiej, potem u Olgi Olginy. Zawsze o tym pamiętam, jak i o tym, że po ukończeniu studiów dobrze mi się wiodło w łódzkim teatrze. Nie opuszciam go powodowana uczuciem gorczy wynikającej z niedoceniania mnie, ale dlatego, że otworzyła się szansa wejścia na wielkie sceny operowe. Czy można ją było zlekceważyć?

Przecież śpiewać dla jak najliczniejszej widowni to sens śpiewania... Z tym teatrem (Metropolitan Opera — dop. red.) związałam się 3 lata później. Przedtem i potem śpiewałam na wielu scenach, w wielu krajach. Na mapie całego świata brakuje tylko Australii. Z satysfakcją myślę o ludziach, z którymi przyszło mi pracować, przeżywać śpiew, muzykę, sztukę: Placido Domingo, z którym występowałam wielokrotnie, m.in. w londyńskim Covent Garden i w wiedeńskiej Stadt Opera, jest Gier w Gieda, Jose Careras i Carlo Bergonzi, czy wybitni reżyserzy, jak Tito Gobbi — partner Marii Callas — który był reżyserem mojej pierwszej „wł-kiej” Toski...

OPOWIEŚCI
O ZMARŁYCH

To tytuł kolejnej książki prof. Aleksandra Krawczuka, która ma się ukazać niebawem. Książka zawiera ponad 100 zebrań zowanych biogramów Krakowian pochowanych na jednym z naj-

starszych w Europie — ementa-rtu miejskim na Rakowicach. O-bok postaci powszechnie znanych — artystów, polityków, wojsko-wych, kupców, pisarzy i społec-zników — autor przypomina za-pomniane, a często frapujące los-y tych, którzy pracą i patrio-tyzmem pozostawili po sobie trwałe ślady. Całość jest ilustrowana rysunkami grabowców, z których większość ma wartość artystyczną.

A MOŻE U NAS?

Kiedy przed rokiem pojawiły się w ZSRR pierwsze, nieformalne stowarzyszenia artystów-plastyków oraz zorganizowano ich wystawy (nb. cieszące się ogromnym powodzeniem), natychmiast odezwali się literaci, uzalając się, że malarze znajdują się w uprzywilejowanej sytuacji, bo mają swoje sale. A jak mają publikować swoje książki pisarze, jeśli wydawnictwa państwowe nie spieszą się z drukowaniem ich utworów? I oto Państwowy Komitet ds. Wydawnictw, Poligrafii i Obrotu Książkami ogłosił i przekazał

pod dyskusję projekt regulaminu nowego wydawnictwa-salonu, które na koszt każdego chętnego — i na jego ryzyko handlowe — publikować będzie książki, broszury czy też prace plastyczne. Każdy będzie mógł wydać swój zbiór wierszy, opowiadań czy też powieści. Oczywiście, publikacje takie nie powinny być sprzeczne z radzieckimi ustawami, nie propagować wojny, przemocy, wzywać do obalenia ustroju socjalistycznego, czy obrażać uznawane w społeczeństwie zasady moralne. Cała reszta pozostaje do uznania autora. To się nazywa pierestrojka!

JĘZYK NAUKOWY

Przed drugą wojną świat nauki ścisłych był wielojęzyczny. Po wojnie sytuacja zmieniła się — pisze „La Stampa”. — W gruncie rzeczy nawet się uprościła, zwłaszcza dla tych narodów, których język ma dość ograniczony zasięg (np. język włoski). Uniwersalnym językiem nauk ścisłych, od fizyki po biologię, od medycyny po statystykę i matematykę, stał się bowiem

W ostatnich latach coraz częściej mówi się o Czingiz Ajjmatowie, przekładający jego książki ukazywały się w wielu językach, zalicza się go do najwybitniejszych prozatorów radzieckich doby obecnej. W tym gronie zresztą pojawia się także i nasz kraj, nie reprezentanci narodów średniej Azji, pozostających do niedawna poza głównym nurtem literatury i sztuki, nawet poza kręgiem literatury pisanej.

Ten piszący po rosyjsku Kirgiz za główny wątek swojej bodaj najgłośniejszej powieści „Dzień dłuższy niż stulecie” obrał sobie niezwykle perypetie mieszkańców pustynnego stepu, którzy, zgodnie z pradawnym zwyczajem, chcą pogrzebać zwłoki przyjaciela na odległym, owianym legendą cmentarzu. W tej swojej peregrinacji napotyka nieomal u celu nieprzewidzianą przeszkodę, w postaci zakazu wstępu do strefy cmentarza.

To zresztą jeden plan tego utworu (mówię tu o sztuce, będącej adaptacją powieści), jest też bowiem, jakby równoległy plan drugi, w którym odgrywa się wydarzenie zainicjowane przed społeczeństwem, i to w globalnym wymiarze. My jednak dowiadujemy się, że z pobliskiego kosmodromu trzeba było w trybie nagłym wysłać specjalne rakietę z wysłannikami Ziemi, którzy mają zapobiec, aby międzyplanetarna załoga statku kosmicznego nie nawiązała zbyt bliskich kontaktów z pozaziemską cywilizacją. Ludzkość bowiem nie powinna nawet dowiedzieć się o odkryciu w kosmosie lepij urządziłonego świata, nie znającego wojen, i z tego też powodu śmiertelne szczytki prawowitego Kazacha nie spoczną w ziemi przodków.

Samo zderzenie się tych obcych sobie dążeń i racji otwiera szeroki horyzont problemów psychologicznych i moralnych, zwłaszcza iż ujawnia się jako retrospektywa plan trzeci, sięgający do korzeni niewygasłego mity, związanej z dawnymi mieszkańcami tej ziemi, którzy padli ofiarą bestialskiej przemocy.

W tych wątkach niemal organicznie przeplata się prywatność z wielką polityką, mīt z współczesną cywilizacją, utylitarystą z prawem moralnym, a nad wszystkim dominuje spowolniona epicka

narracja o daremnych usiłowaniach grupy żalobników, owiana poetycką aurą, w tym szczególnie ważna funkcja przypada znakomicie i konsekwentnie opracowanej pantomimiczno-tanecznej „Legendzie o ptaku Dönenbaŕ”. Wypielnia to zresztą akt pierwszy, zatytułowany „Oczekiwanie”, który istotnie pozwala oczekiwać spełnienia się spraw ważkich i podniosłych.

Z początkiem jednak aktu drugiego cała harmonijna stylizacja utworu załamuje się, wypierana przez natrętne w swej dosłowności momenty obrachunkowe, przez banalny brzmiały dialog obu par skazanych na beznadziejny żywot na bezludnej kolejowej miłanie, słowem z tonacji poetyckiej wpadamy, głównie za sprawą wątku kosmicznego, do

W cieniu epiki

nego, w publicystyczną retorykę na temat zagrożenia ludzkości. Co prawda zagubiony pierwotny klimat znów jakby powraca w scenie pochówku na stepowym pustkowiu, a potem w rozbitkach rakiet czy może bomb, które złozonego oświetlają końcową scenę osamotnienia głównego bohatera.

Z umiarem i godnością wykreował postać starego Egideja ZBIGNIEW SZCZAPINSKI, udowadniając szerokie możliwości swego aktorskiego emplotu, w warstwie wspomnieniowej jego młodsze wcielenie realizował z powodzeniem ROBERT ROZMUS. Ich przeciwieństwem był — jako wyzbyty rodzinnych i narodowych sentymentów syn, zmarłego — MICHAŁ SZEWOZYK. Bezduśny chłód i okrucieństwo emanowały z postaci starego i młodego Tanszabajewa w wykonaniu KAZIMIERZA MOTYLEWSKIEGO. Wspaniałą postać Wartownika stworzył JACEK ŁUCZAK.

Jak najlepiej episywali się aktorzy w konwencji pantomimicznej. Dużą siłą ekspresji odznaczała

się rola tragicznej Matki wykonana przez MAGDALENNĘ CWENOWNĘ (początkowo grała rolę żony niesłusznie obwinionego Kuttybajewa). Rola Mankurta, jej nieszczęsnego syna nadzwyczaj sprawnie i sugestywnie odgrywał GRZEGORZ MARCHWICKI, jego Panem lubującym się w okrucieństwie był ANDRZEJ ŁAGWA. Doceniam wysiłki WŁODZIMIERZA MALUDZIŃSKIEGO, który robił co mógł, żeby rolę Kuttybajewa uwolnić od rezonansu, ale bardziej był dla mnie przekonujący w ujmującej postaci Ojca we wspólnej z młodym Mankurtem, jakby odrealnionej, scenie z „Legendy”.

Scenografia, odważna i nowoczesna w pomysłach, nie zdołała jednak uratować scen kosmicznego lotu, utrzymanych w stylu młodzieżowej science fiction.

Znakomicie spełniła swoje zadania muzyka o słownej emocjonalności, nie stroniąca od współczesnych środków wyrazu.

Adaptacja sceniczną wielowarstwowe dzieło epickiego z reguły bywa skazana na niepowodzenie. Zespół wykonawców pokazał się tu od jak najlepszej strony i zapewne zyskał cenne, nowe jakościowo doświadczenia, którym oby dane było zawoować.

JERZY KWIECIŃSKI

Czingiz Ajjmatow: „Dzień dłuższy niż stulecie”. Przekład — Aleksander Bogdański. Reżyseria — Aleksander Wilkin, scenografia — Jurij Dolomanow, muzyka — Nikita Szłokow, choreografia — Janina Niesobka, Konsultacja kosmonautyczna — Grigorij Greczko.



Foto: Jerzy Neugebauer

Kronika

PIĘKNE JUBILEUSZE święcą zasłużeni aktorzy członkowie zespołu Teatru Nowego w Łodzi: Wojciech Piliński — 40-lecie pracy twórczej; Iwona Zaborska scenograf i Stanisław Szymczak — 35-lecie; Janusz Kubicki — 30-lecie. Życzymy jubilatowi wiele satysfakcjonujących osiągnięć artystycznych.

OGROMNE EMOCJE wywołała, 64 już z kolei, krakowska aukcja antykwarowa. „Gwóźdź aukcji, starodruk „Młot na czarownicę”, nabyta za 1.650 tys. złotych Biblioteka Narodowa w Warszawie (skorzystała z prawa pierwokupu w licytacji z prywatnym kolekcjonerem).

ROZSTRZYGNIETY ZOSTAŁ Wojewódzki Konkurs Recytatorski Poezji Władysława Broniewskiego, zorganizowany przez Zarząd Łódzki Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej (z okazji 90. rocznicy urodzin poety).

W kategorii szkół podstawowych dwie równorzędne nagrody (pierwszej) nie przyznano, przypadły: Joannie Olejnik (ze Szkoły Podstawowej nr 81 w Łodzi) i Emilowi Wiktorowskiemu (ze Szkoły Podstawowej nr 4 w Zgierz). W kategorii szkół średnich (również nie przyznano pierwszej nagrody) dwie nagrody otrzymali: Agnieszka Barańska (Liceum Medyczne nr 3 w Łodzi) i Przemysław Naze (III Liceum Ogólnokształcące w Łodzi).

W CHELMIE ODBYWAŁY SIĘ V Ogólnopolskie Spotkania Kabaretu Wiejskiego. Jury, pod przewodnictwem Bohdana Smoleńca, przyznało pierwszą nagrodę kabaretowi „Kocub” z Sycowa.

ARGENTYŃSKA TENISISTKA — Gabriela Sabatini — została uznana najładniejszą sportowką świata (roku 1987) w ankiecie zachodnioniemieckiego pisma „Sport Illustrierter”.

STARANIEM ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO POLSKIEGO ZWIĄZKU ESPERANTYSTÓW przygotowywane jest wydanie, w języku esperanto, przewodnika turystycznego po naszym mieście.

BELCHATOWSKI OKRĘG PRZEMYSŁOWY — dziś już ponad 10-tygodniowa aglomeracja zyskał w I kwartale br. aż dwa czasopisma: dawny wydawnik „Mazowiec” (z siedzibą w Łodzi) i „Belchatów” i miesięcznik społeczno-kulturalny „Belchatów” (wydawany przez pracowników Belchatowskich Zakładów Przemysłu Gumowego „Stomil”).

25 MARCA BR. W MAŁEJ SALI TEATRU NOWEGO odbyła się premiera spektaklu dramatycznego pt. „Ja, Gombrowicz”. Scenariusz, reżyseria i opracowanie muzyczne: Wojciech Szulczyński, scenografia: Barbara Hanicka.

Grają m.in.: Wanda Chwałkowska, Barbara Polomska, Barbara Walkówna, Cezary Nowak, Ludwik Kunik, Bogusław Mach, Bronisław Wrocławski (w roli głównej). Recenzję z tego przedstawienia zamieścimy w jednym z najbliższych numerów).

26 MARCA BR. W DUŻEJ SALI TEATRU NOWEGO odbyła się premiera dramatu Juliusza Słowackiego „Horsztyński”. Reżyseria Włodzimierza Nurkowskiego, współpraca reżyserska: Aleksander Bednarz, scenografia: Marek Braun, muzyka: Andrzej Żarycki.

W rolach głównych występują: Wojciech Piliński, Agnieszka Kowalska, Aleksander Bednarz, Jacek Pawlak, Loretta Cichowicz, Józef Ziobro i Bohdan Mikuc. (Spektakl ten omówimy w jednym z najbliższych numerów).

BARDZO UROZMAIACONY PROGRAM ARTYSTYCZNY złożył się na koncerty Filharmonii Łódzkiej w dniach 18 i 19 marca br. (w sali Liceum Medycznego przy ul. Sosnowej 9).

Wystąpił m.in. gościnnie w Polsce, wybitny brazylijski pianista, Arnaldo Cohen (laureat konkursów w Rio de Janeiro, Bolzano, Tel Avivie). Program przygotował i poprowadził dyrektor artystyczny FL — Tomasz Bugaj.

DWUDZIESTOLECIE, połączone ze świętem patrona, obchodziła uroczystość, 26 marca br., zaistniała łódzka placówka oświatowa — Szkoła Podstawowa nr 189 im. Wandy Zieleńckiej (przy ul. Kossaka 19). Z tej okazji przekazujemy serdeczne gratulacje pedagogom i młodzieży.

PROCHY STANISŁAWA IGNACEGO WITKIEWICZA wróca niebawem (z polskiej wsi Jezioro, gdzie 16 września 1939 r. popełnił on samobójstwo) do kraju. Zostaną złożone, 14 kwietnia br., w grobie matki autora „Sześciu” — na zakopiańskim cmentarzu. Jednym z głównych organizatorów uroczystości pogrzebowych będzie Teatr im. S. i W. Witkiewicza w Zakopanem.

W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI, 31 marca br., otwarta została wystawa „Spokojny wieczór, czyli rzecz o tolerancji”.

Opracował: JAK

GLOSSA DO AJTMATOWA

Fiasko operacji „Obręcz”

Więcej — zgodziła się odwiedzić planete Perla Lasu, korzystając z poruszającego się z szybkością światła statku braci w rozumie. I teraz przesyła Ziemi zaproszenie do przyjacielskiego kontaktu z humanoidami, nie znającą wojen resz.

Po dramatycznej dyskusji, w obawie przed wybuchem całkowitego ziemskiego konfliktu i zalanianiu się istniejącego porządku równowagi, przystępują do operacji „Obręcz” mającej na celu zniszczenie przy pomocy bojowych rakiet wszelkich obiektów zbliżających się z kosmosu ku kuli ziemskiej.

Kosmonauci są zrozpaczeni, próbują protestować i biec. „Ale było już za późno... Nikt na świecie nie mógł ich usłyszeć, nikt nie przypuszczał,

że z przestrzeni kosmicznej wzywają go milczące głosy”.

Pierwszym zaś człowiekiem, który zapłacił cenę totalnej samoizolacji Ziemi, będzie Burany Edigej, nie pozwala mu bowiem pochować przyjaciela na cmentarzysku ojców i dżadów. Wprowadzony stan gotowości bojowej sprawi, że drogi do cmentarza leżącego gdzieś na obrzeżach kosmodromu również zacznie bronić obręcz, kołczaste zasieki i wzmocnione stráže.

2.

Tu akcja powieści wygasa, jeśli pójdziemy jednak dalej tropem pisarskiej fantazji, jasnym się

stanie, że operacja „Obręcz” skazana jest na fiasko i to nie dlatego tylko, że liczni jej uczestnicy mogą nie zechcieć przestrzegać narzuconej dyskrepcji. Skoro bowiem sygnały radiowe z Perla Lasu dotarły do stacji orbitalnej „Parytet”, a nawet nawiązany został dialog, mogą dotrzeć również i do Ziemi, która nieustannie nasłuchuje przecież głosów z kosmosu.

Warunkiem zachowania izolacji, a jednocześnie utrzymania w tajemnicy przed mieszkańcami planety samej propozycji nawiązania kontaktu, stała się tedy coś więcej niż milczenie. Trzeba rozpoznać zagłuszanie wszelkich możliwych komunikatów i wiemy nawet w przybliżeniu, jak mogłoby to wyglądać.

...na planecie nie widać żadnych urządzeń odbiorczych proporcjonalnych do nadawanych mocy. Jej część, zdolna przebić atmosferę, zmierza do

Teatr wersji oryginalnej

mała rolę odgrywały bodźce wzrokowe. Tak więc praktycznie jeden zmysł nie brał udziału w percepcji. Gomburge'a, czyli teatrem absurdalnym opartym na grze słów.

Oprócz spotkań warsztatowych były też odwiedziny w Muzeum Kinematografii. W teatrze „77” uczestniczyli w próbie „Marie” Szwajdka, Sztuka węgierska. Podczas konfrontacji z reżyserem Z.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

angielski. Panuje on niepodzielnie na wszystkich poziomach naukowego porozumiewania się, od publikacji do konferencji.

Instytut Informatyki Naukowej w Filadelfii publikuje co tydzień biografie najważniejszych literatury naukowej w danej dziedzinie. Wśród 700 tys. artykułów wymienionych w 1986 roku, 88 proc. napisano po angielsku, 4 proc. — po rosyjsku i tylko 2 proc. po francusku. Naukowcy, którzy nie posługują się angielskim — utrzymuje „La Stampa” — nie mogą śledzić rozwoju swej dziedziny, a jeśli się będą upierać przy języku ojczystym, będzie ich czytać tylko garstka

Niezależnie od sądów politycznych n.t. „imperializmu językowego”, fakt że 90 proc. naukowców afrykańskich, azjatyckich i europejskich wypowiada się dziś w języku angielskim, ogromnie ułatwi porozumienie się ludzi nauki w rozpowszechnianiu myśli.

W języku opublikowano nie-

„ROK 1984” ORWELLA

Druk tej kontrowersyjnej książki zapowiada „Nowy Mj” — ten najpopularniejszy obecnie miesięcznik literacki w Związku Radzieckim, którym kieruje znany pisarz Sergiusz Zatygin, osłagnał od nowego roku nakład 1.150 tys. egzemplarzy. Obecnie na jego łamach drukowana jest powieść Borysa Pasternaka „Doktor Żywanow”.

NOTOWANIA NA GIELDACH KSIĄŻKOWYCH

„AZ” (encyklopedia PWN) — 8000 zł; Edmund Prus „Atamania UPA” — 850 zł (cena nominalna 450 zł); Adolf Rudnicki „Teatr zawsze grany” —

300 zł (cena nominalna 150 zł); Lucjan Kydryński „Przewodnik operowy” — 1500 zł; Tomasz Mann „Doktor Faustus” — 650 zł; Zdzisław Zygalski (jun) „Broń w dawnej Polsce” — 2500 zł; Hannah Arendt „Eichmann w Jerozolimie” — 1500 zł (cena nominalna 560 zł); „Mała Encyklopedia Sportu” (2 t.) — 4000 zł; Janusz Kłebowski „Dzieje sztuki polskiej” — 3300 zł (cena nominalna 2300 zł); Pál Millós „Malarstwo chińskie” — 2500 zł (cena nominalna 2000 zł); Mieczysław Wallis „Secesja” — 1500 zł; „Encyklopedia przyroda i technika” — 3000 zł; Roman Kaleta „Sensacje z dawnych lat” 650 zł; Jurij Fiodorow „Proces Aleksego” (WL) — 800 zł (cena nominalna 300 zł); Lothar-Günther Buchheim „Okreś” — 1500 zł; „Chirurgia operacyjna” (PZWL, 2 tomy) — 9500 zł; Witold Gliński „Morskie operacje desantowe” — 2000 zł.

Kirow wiedział, że Stalin nie mówił bez powodu, rozmowę o Kazachstanie zainicjował nie przypadkiem. Stalin zwykle nie prowadził za stołem poważnych rozmów, teraz taką zaczął. Zaczyna ogólnikami, mówi rzeczy banalne — ma taki zwyczaj komunikowania najbardziej nieoczekiwanych decyzji. I znowu o rolnictwie. Miesiąc temu, na czerwcowym plenum KC, Kirow dostał burę za niewykonanie i tak obniżonego planu dostaw zboża i produktów mięsnych. Nie było żadnego obniżonego planu. Dokonano zwykłych uściśleń w ramach poszczególnych upraw — w jednych plan obniżyli, w innych podwyższyli. Stalin słabo orientuje się w tych sprawach, nie zna się na rolnictwie. I żadnych opóźnień też nie było, dla okręgu leningradzkiego czerwiec jeszcze nie jest decydującym miesiącem dostaw. Jednak Kirow przeciw postanowieniu KC nie oponował: partia przygotowuje się do likwidacji systemu kartkowego, należy skoncentrować wszystkie siły na zapewnieniu krajowi chleba, wszyscy muszą się podciągnąć, i mycie głowy, na przykładzie wiodącej organizacji partyjnej, będzie dobrą nauką dla wszystkich. Zwykła sprawa, żadnego fortelu przeciw sobie obojętnie Kirow nie zauważył, chociaż z większym pożytkiem można byłoby się odwołać do moskiewskiej, stołecznej organizacji. Braki te same, a dostawy zaczynają się wcześniej. Ale na czele organizacji moskiewskiej stoi Kaganowicz — a jego właśnie Stalin zaczęła nie chce — charakterystyczne dla niego politykierstwo: skrzywdzić jednego, nagrodzić drugiego i poszczuć ich na siebie. Kiedyś Stepan Szumilin mówił: „Koba ma umysłowość i zwyczaję węża”. Ale Kirow był ponad to: kiedy decyduje się sprawy partii, nie ma miejsca na krzywdy osobiste. Przy tym Kirow gardził Kaganowiczem. W każdym razie czerwcową uchwałę KC o opóźnieniu okręgu leningradzkiego była dla Kirowa jasna, rozmowa o dostawach w Kazachstanie — niejasna. Jego udział w pracach nad podręcznikiem historii to fikcja, co z niego za historyk! Stalin też nie jest historykiem, ale za takiego się uważa. Po co więc go wezwali?

— Dobrze — nieoczekiwanie powiedział Stalin — dlaczego to zaczęliśmy mówić o urodzaju, o Kazachstanie, o Mirzojanie? Mamy tu pewną sprawę — problemy historii — odwrócił się do Zdanowa. — Zapoznaliście się z historią Mirowskiego ze sprawą?

— Zapoznaliśmy. Wstępnie. — odrzekł Zdanow.

— Należy wziąć w swoje ręce nauki historyczne — ponuro stwierdził Stalin — inaczej wpadną w cudze ręce, w ręce historyków burżuazyjnych. Zresztą, nasi historycy nie są lepsi. Już nie mówię o Pokrowskim, on właściwie jest burżuazyjnym historykiem.

— Pokrowski niewątpliwie popełniał błędy — zaoponował Kirow — ale Lenin oceniał go inaczej.

Stalin nie spuszczał z Kirowa badającego wzroku.

— A jak oceniał go Lenin?

— Na pewno jest wam znany jego list do Pokrowskiego na temat „Historii rosyjskiej w najkrótszym zarysie”?

— A co pisał do Pokrowskiego?

Przecież wie, co pisał Lenin do Pokrowskiego, wie dobrze, ale myśli, że przypię go na niedokładności.

— Nie pamiętam dosłownie tego tekstu... Można sprawdzić, list nie raz był publikowany. Ale Lenin gratulował mu sukcesu, pisał, że książka niezwykle mu się spodobała, że należy ją przetłumaczyć na język obcy.

— Tak — zgodził się Stalin — Lenin wypuszczał takie komplementy, to było. Ale zaraz zaproponował uzupełnienie książki o indeks chronologiczny, żeby uniknąć powierzchowności... I w tej uwadze zawiera się istota opinii Lenina.

— Nie jestem historykiem — powiedział Kirow — ale sądzę, że było inaczej. Ogólna ocena była jasna, czytelna i pozytywna. Propozycja zestawienia indeksu chronologicznego jest niczym więcej, jak tylko szczególną uwagą, nie wykluczającą ogólnej pozytywnej oceny. Pokrowski napisał swoją książkę w 1920 roku, w istocie jego książka jest pierwszą próbą nawrócenia historii Rosji z pozycji marksizmu-leninizmu. I książkę tę, z przeznaczeniem dla szerokiego mas, napisał na zlecenie Lenina. Przy wszystkich swoich niedociągnięciach praca ta miała wielkie zalety — uczyliśmy się z niej. Oczywiście, nauka poszła do przodu i teraz, zapewne, potrzebny jest nowy podręcznik, ale ganić pracę Pokrowskiego, jak to robią niektórzy historycy, nie należy, szczerze go, jak go szczerzo w ostatnich latach, to niedopuszczalne. Pokrowski był bezwzględnie uczciwym człowiekiem.

— No widzisz — uśmiechnął się Stalin — a mówisz, że źle się orientujesz w historii... Wszystkich nas w historii przeliczyłeś. I masz rację, trzeba stworzyć nowy podręcznik historii. Po to właśnie zaprosiłem cię tutaj, nie chciałem przyjechać, a okazuje się, że właśnie tutaj jesteś potrzebny. Ale teraz nie chodzi o Pokrowskiego. Mówię o pewnych członkach partii, starych członkach partii. Oto towarzysza Nadieżda Konstantinowa także zajęła się historią. Czytałaś jej wspomnienia o Leninie?

— Czytałam — skinął głową Kirow.

— A artykuł Pospiełowa w „Prawdzie” na temat tych wspomnień?

— Też czytałam.

Dobry artykuł, rzeczowy — Stalin odwrócił się, wziął ze stolika na gazety teczkę, przerzucił, wyjął wycinek z „Prawdy”, przebiegł wzrokiem po zakresach czerwonym ołówkiem miejscach — no tu... Pospiełow pisze: „Krupska niekrytycznie powiększa rolę Plechanowa w historii naszej partii, a Lenina przedstawia jako ucznia Plechanowa, do którego odnosi się z całym szacunkiem”. Słuszna uwaga. Dlaczego słuszna? Dlatego, że Krupska patrzy na te postaci z odległej przeszłości, a Pospiełow z dnia dzisiejszego. I, opierając się na doświadczeniach dnia dzisiejszego, przy całym naszym szacunku dla Plechanowa, przy całej naszej wysokiej ocenie jego działalności teraz nie możemy tych postaci postawić nawet obok siebie.

Kirow nadal uważnie wsłuchiwał się w to, co mówił Stalin. Dobrze pamiętał artykuł Pospiełowa. Oczywiście, nie chodzi o Plechanowa. Kryminałem pachnie inna wypowiedź Krupskiej: „Po Październiku na pierwsze miejsce zaczęli się wysuwać ludzie, którym warunki dawnego podziemia nie dawały się rozwinąć... Do takich osób należał towarzysza Stalin”. Kirow doskonale wyobrażał sobie, jaką wście-

łość wywołała u Stalina te słowa i pojmował, że na odpowiedź nie trzeba będzie czekać. Tak się też stało. Odpowiedział Pospiełow w „Prawdzie” długim artykułem, w którym krytykował różne aspekty pamiętników po to, żeby sformułować następujące stwierdzenie: „I w okresie walki podziemnej w o d a c a r o l a takich cieszących się autorytetem organizatorów — przywódców partii, jak Stalin i Swierdłow, była zupełnie oczywista dla fundamentalnych kadr bolszewickich, pracujących nie za granicą, ale bezpośrednio w Rosji”. Oczywiście, że to nie tak. Jednak Stalin nie znosi najmniejszych próby podważenia wersji, że jeszcze przed rewolucją był drugim człowiekiem w partii, że Lenin kierował partią z granicy, a on, Stalin, kierował nią w Rosji. Nie odpowiadało to prawdzie, ale sprzyjało skupieniu partii wokół nowego kierownictwa i Kirow wersję tę akceptował. Ale akceptacja wersji jako konieczność polityczna — to jedna sprawa, a szczerza wiara w nią — to sprawa całkiem inna.

Stalin się uśmiechnął.

— Wszyscy się rzucili do pisania pamiętników. I Abel Enukidze też.

Z tej samej teczki, znowu odwróciwszy się do stolika na gazety, wyjął Stalin broszurę Enukidze, pokazał ją Kirowowi.

— Czytałeś?

Kirow czytał broszurę Enukidze i wiedział, co w niej nie odpowiada Stalinowi. Przez chwilę czuł chęć powiedzenia, że nie czytał i w ten sposób uniknięcia rozmowy. Ale wtedy Stalin powie mu, żeby przeczytał i mimo wszystko nie uniknie rozmowy.

Stalin się uśmiechnął.

— Wszyscy się rzucili do pisania pamiętników. I Abel Enukidze też.

Z tej samej teczki, znowu odwróciwszy się do stolika na gazety, wyjął Stalin broszurę Enukidze, pokazał ją Kirowowi.

— Czytałeś?

Kirow czytał broszurę Enukidze i wiedział, co w niej nie odpowiada Stalinowi. Przez chwilę czuł chęć powiedzenia, że nie czytał i w ten sposób uniknięcia rozmowy. Ale wtedy Stalin powie mu, żeby przeczytał i mimo wszystko nie uniknie rozmowy.

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



dział rozdrażniony, i dlatego z silnym akcentem gruzińskim, powiedział:

— Szlachetność, szczerść, miłość — nie są to kategorie polityczne. W polityce jest tylko jedno: polityczna kalkulacja.

Rozmowa stawała się przykra. Ze Stalinem w ostatnich czasach w ogóle było ciężko rozmawiać, a szczególnie wtedy, kiedy się denerwował.

— Można skorygować towarzysza Enukidze — pojednawczo powiedział Kirow — wskazać na jego niekompetencję w kwestiach historii.

— Tak — podchwycił Stalin — jeśli by to napisał jakiś historyk, mógłby go skorygować inny historyk. Ale to napisał członek KC, jeden z czołowych przywódców kraju. Skorygować go należy na tym samym poziomie — uporczywie patrzył na Kirowa — przez pięć lat stałaś na czele bakijskiej organizacji partyjnej, twoje wystąpienie byłoby najbardziej autorytatywne.

Kirow był zdumiony. Czegoś takiego jeszcze nie było. On, członek Biura Politycznego ma świadczyc publicznie, że Stalin kierował drukarnią „Nina”, o istnieniu której nawet nie wiedział, co do tego Enukidze ma rację. Dlaczego proponuje się to jemu? Sprawdzają jego lojalność? Jest sprawdzona w wystarczającym stopniu, a jeśli trzeba sprawdzić jeszcze raz, to nie na takim przykładzie.

— Nigdy nie zajmowałem się historią — powiedział Kirow — i nie znam tej konkretnej sprawy. Prócz tego, w okresie, o którym mowa, nie było mnie w Baku.

— No cóż — spokojnie odpowiedział Stalin — jak to się mówi: jak nie, to nie. Mam nadzieję, że w partii znajdują się towarzysze, będący w stanie odpowiedzieć Abłowi Enukidze — obrócił się do Zdanowa. — Komitet Centralny nie powinien zajmować się tą sprawą. To nie jest sprawa całej partii, dotyczy ona tylko jednej z jej instancji — zakaukaskiej organizacji partyjnej. Niech zakaukaska organizacja partyjna sama zajmuje się swoją historią. Wezwijcie towarzysza Berie, przedstawicie mu punkt widzenia Komitetu Centralnego. Jest sekretarzem Zakaukaskiego Komitetu Krajowego — to leży w jego kompetencjach.

11.

Następnego dnia rano, po śniadaniu, Stalin kazał wezwać lekarza.

Lipman zjawił się ze swoją walizką, rozłożył instrumenty, przygotował międniczkę, posadził Stalina w fotelu, zawiązał serwetkę.

— Jak się spało? — chciał wiedzieć Stalin.

— Wspaniale — Lipman napisał strzykawkę — lepiej być nie może, cicho, spokojnie — łagodnym ruchem ręki położył głowę Stalina na podłówek, poprosił o otwarcie ust — nie wiem, jak na kogo, ale na mnie zawsze dobrze działa szum morskich fal.

Stalin jak gdyby poczuł lekkie ukłucie w dąsłko, być może tak mu się wydawało — z twarzy Lipmana nie mógł nic wyczytać, patrzył mu w usta i tak samo się uśmiechał. Potem odsunął się do tyłu, opuścił ręce na kolana i wciąż tak samo się uśmiechając, rzekł:

— Poczekamy trochę, niech zacznie działać znieczulenie, możecie zamknąć usta, możecie rozmawiać, możecie chodzić, ale najlepiej posiedzieć.

Dziś dąsłko, stawało się ocieślać, jakby się czymś nasaczało. Stalinowi już wcześniej usunano zęby pod miejscowym znieczuleniem, ale nie pamiętał, jak długo trzeba czekać, aż znieczulenie zacznie działać.

— Długo trzeba będzie czekać? — spytał.

— Myślę, że z dziesięć minut. Proszę jeszcze raz otworzyć usta, sprawdź.

Znowu zajął do ust, musnął dąsłko jakimś metalowym instrumentem.

— Zaraz odrętwieje, cierpliwości.

Patrzył na Stalina, spokojny, zycielny, umiejętnie zrobił zastrzyk, nie sprawił bólu, towarzysza Stalin powinien być z niego zadowolony.

Stalin rzeczywiście cenił ludzi, znających swój fach i umiejących dobrze go wykonywać. Ten lekarz żył będzie, na pewno, sto lat; zadowolony ze swojej pracy, ze swojego życia, ze swojej sytuacji. Pracuje na Kremlu, leczy

członków Biura Politycznego, otrzymuje, zapewne, zwiększone przydziały — znajdują się zawistnicy, tacy zawsze się znajdują. Ale ten lekarz, widząc, nie przejmując się nimi: to człowiek bez wielkich ambicji, jakich jest większość na świecie. Kiedyś, gdy był jeszcze bardzo młody, dla nich zaczął walkę, dopóki nie zrozumiał innych, prawdziwych jej motywacji. Ale teraz kieruje tymi ludźmi, wierzą w niego, jak w Boga, a wierzyć w Boga można tylko ślepo i bez zwątpień, nazywają go ojcem, ludzie szanują tylko ciężką, surową, ale silną i niezawodną, ojcowską rękę. Ten także jest mu oddany za przyczyną samego tylko kontaktu z nim, tacy ludzie powinni być wokół niego. Nie tylko psy z ochrony, nie tylko ambitni pomocnicy, ale także prości, skromni, kochający GO i oddani MU ludzie.

Lipman siedział obok, popatrywał na zegarek, uśmiechał się do Stalina, czasem prosił go, żeby otworzył usta, wodził po dąsłkach jakimś instrumentem i po jednym z takich przeglądów pokazał Stalinowi w zaciśniętych szczypcach wyrwany mu ząb.

— Kiedy zdążyłście to zrobić? Nic nawet nie poczułem.

— Przecież rwałem go pod znieczuleniem, i ząb ledwo się trzymał, można go było wyciągnąć, jak to się u nas mówi, palcami.

— To dlaczego nie wyciągnęliście?

— No bo wtedy byłoby to poczuł.

Do podstawionej mu międniczki Stalin wypiął długą zakrawioną ślinę, przepłukał usta, jeszcze raz splunął.

— Proszę nie nieść przez dwie godziny — Lipman podał mu czystą serwetkę, Stalin otarł usta — i dziś w ogóle nie jeść gorących potraw.

Wziął ze stołu mostek, obracał go w rękach.

— Dobry mostek, dobre wykonanie, pierwszorzędny materiał: stop złota, platyny i paladum. Teraz już nam nie będzie potrzebny — zrobimy nowy. Tylko że, Jossifie Wissarionowiczu, może lepiej zrobić zwykłą protezę?

— Co to znaczy zwykła?

— Tutaj, widzicie, żeby łączy metalowa płytka, a my zrobimy całą z masy plastycznej.

— Na co to potrzebne?

— Widzicie, Jossifie Wissarionowiczu, metalowy mostek trzyma się na zębach przy pomocy tych dwóch haczyków, które nazywamy kłami. Dopóki mostek jest lekki — zębom też jest lekko. Ale na waszym mostku jest już siedem sztucznych zębów, to ciężko, zbyt ciężko. A na nowej protezie dodamy jeszcze jeden ząb, mostek będzie jeszcze bardziej obciążony, ciężar wzrośnie. A plastikowa proteza przysysa się do podniebienia i może utrzymać każdą ilość zębów.

— Chcecie mi zrobić starczą protezę.

— Dlaczego starczą? Starcy noszą sztuczne szczęki, a wy macie własne zęby. I, daj Boże, jeszcze długo będziecie je mieli.

Przed kilkoma laty, kiedy Stalinowi wyrwano zęby trzonowe, po raz pierwszy usłyszał propozycję, żeby kazał sobie zrobić protezę, i wtedy się zdenerwował: to koniec! starzec ze sztucznymi szczękami! Widział, jak starzy ludzie zdejmują je na noc i wkładają do szklanki z wodą. Tak właśnie zdejmował swoją protezę niestary jeszcze wtedy Solc, mieszkali razem w Petersburgu w zakonspirowanym mieszkaniu, właśnie u Solca po raz pierwszy zobaczył sztuczną szczękę. Kiedy Solc rozmawiał, a zawsze mówił, denerwował się, wypadała mu szczeka, podtrzymywał ją językiem, sepleniał, niewyraźnie wymawiał słowa — widok był nieprzyjemny.

Ale lekarze wytłumaczyli mu, że proponują mu nie sztuczną szczękę, ale złotą płytkę, na której będą się trzymać sztuczne zęby trzonowe i będzie miał czym przeżuwać jedzenie. Zrobiono mu płytkę, przyzwyczaił się do niej, nie przeszkadzała mu, nie odczuwał braku zębów. Potem, kiedy wyrwano mu jeszcze dwa zęby, zaproponowano mu protezę z masy plastycznej, jaką teraz proponuje Lipman, i argumenty przytaczano te same, ale sprzeciwił się, zrobiono złoty mostek, który Lipman trzyma teraz w rękach, i wbrew wszelkim uprzedzeniom, ten mostek dobrze mu służy.

Teraz Lipman znowu proponuje zrobienie starczej protezy. Lipman jest ograniczony, widzi w NIM pacjenta i zapomina, że na tego pacjenta patrzy milion i nie może stanąć przed nim z wypadającą szczęką, nie może sepleniać, mówić tak, jakby miał w ustach kaszę.

— Zróbcie złoty — powiedział Stalin.

Lipman nie śmiał dalej oponować.

— Dobrze, tak jest. Jeśli ranka będzie pobolewała, proszę zażyć tabletkę piramidonu, jak będzie trzeba, proszę mnie wezwać. A jutro pozwolicie, że sprawdzę, jak postępuje gojenie.

— Poproszę was jutro o tej porze.

Lipman wyszedł. Stalin podszedł do lustra, otworzył usta, wyszczerzył zęby... Nie jest to pociągający widok, u góry wszystkich pięć zębów, żeby są złote od tytoniu... To nic, Zdanow znieś go przez kilka dni z pięcioma zębami, i Kirow też.

Na myśl o Kirowie Stalin się zmarszczył. Nie chce się włączać do walki, nie chce umacniać kierownictwa partii!

Tego dnia Stalin nie przyjmował nikogo, niech ustąpi znieczulenie, niech się zagoi rana. Jak kazał lekarz, przez dwie godziny nie jadł, na obiad podano mu chłodnik z botwiny i ledwie ciepłe kotlety — słusnie zrobiono, nie ma czym gryźć. Rana nie bolała, działo także nie, nie trzeba zażywać piramidonu.

Rano przyszedł Lipman, obejrzał jamę ustną, powiedział zadowolony:

— Wszystko idzie wspaniale, za dwa dni zaczniemy.

— Jak odpoczywacie? — spytał Stalin. — Nie nudzicie się?

(42)

Wziął ze stołu mostek, obracał go w rękach.

— Dobry mostek, dobre wykonanie, pierwszorzędny materiał: stop złota, platyny i paladum. Teraz już nam nie będzie potrzebny — zrobimy nowy. Tylko że, Jossifie Wissarionowiczu, może lepiej zrobić zwykłą protezę?

— Co to znaczy zwykła?

— Tutaj, widzicie, żeby łączy metalowa płytka, a my zrobimy całą z masy plastycznej.

— Na co to potrzebne?

— Widzicie, Jossifie Wissarionowiczu, metalowy mostek trzyma się na zębach przy pomocy tych dwóch haczyków, które nazywamy kłami. Dopóki mostek jest lekki — zębom też jest lekko. Ale na waszym mostku jest już siedem sztucznych zębów, to ciężko, zbyt ciężko. A na nowej protezie dodamy jeszcze jeden ząb, mostek będzie jeszcze bardziej obciążony, ciężar wzrośnie. A plastikowa proteza przysysa się do podniebienia i może utrzymać każdą ilość zębów.

— Chcecie mi zrobić starczą protezę.

— Dlaczego starczą? Starcy noszą sztuczne szczęki, a wy macie własne zęby. I, daj Boże, jeszcze długo będziecie je mieli.

Przed kilkoma laty, kiedy Stalinowi wyrwano zęby trzonowe, po raz pierwszy usłyszał propozycję, żeby kazał sobie zrobić protezę, i wtedy się zdenerwował: to koniec! starzec ze sztucznymi szczękami! Widział, jak starzy ludzie zdejmują je na noc i wkładają do szklanki z wodą. Tak właśnie zdejmował swoją protezę niestary jeszcze wtedy Solc, mieszkali razem w Petersburgu w zakonspirowanym mieszkaniu, właśnie u Solca po raz pierwszy zobaczył sztuczną szczękę. Kiedy Solc rozmawiał, a zawsze mówił, denerwował się, wypadała mu szczeka, podtrzymywał ją językiem, sepleniał, niewyraźnie wymawiał słowa — widok był nieprzyjemny.

Ale lekarze wytłumaczyli mu, że proponują mu nie sztuczną szczękę, ale złotą płytkę, na której będą się trzymać sztuczne zęby trzonowe i będzie miał czym przeżuwać jedzenie. Zrobiono mu płytkę, przyzwyczaił się do niej, nie przeszkadzała mu, nie odczuwał braku zębów. Potem, kiedy wyrwano mu jeszcze dwa zęby, zaproponowano mu protezę z masy plastycznej, jaką teraz proponuje Lipman, i argumenty przytaczano te same, ale sprzeciwił się, zrobiono złoty mostek, który Lipman trzyma teraz w rękach, i wbrew wszelkim uprzedzeniom, ten mostek dobrze mu służy.

Teraz Lipman znowu proponuje zrobienie starczej protezy. Lipman jest ograniczony, widzi w NIM pacjenta i zapomina, że na tego pacjenta patrzy milion i nie może stanąć przed nim z wypadającą szczęką, nie może sepleniać, mówić tak, jakby miał w ustach kaszę.

— Zróbcie złoty — powiedział Stalin.

Lipman nie śmiał dalej oponować.

— Dobrze, tak jest. Jeśli ranka będzie pobolewała, proszę zażyć tabletkę piramidonu, jak będzie trzeba, proszę mnie wezwać. A jutro pozwolicie, że sprawdzę, jak postępuje gojenie.

— Poproszę was jutro o tej porze.

Lipman wyszedł. Stalin podszedł do lustra, otworzył usta, wyszczerzył zęby... Nie jest to pociągający widok, u góry wszystkich pięć zębów, żeby są złote od tytoniu... To nic, Zdanow znieś go przez kilka dni z pięcioma zębami, i Kirow też.

Na myśl o Kirowie Stalin się zmarszczył. Nie chce się włączać do walki, nie chce umacniać kierownictwa partii!

Tego dnia Stalin nie przyjmował nikogo, niech ustąpi znieczulenie, niech się zagoi rana. Jak kazał lekarz, przez dwie godziny nie jadł, na obiad podano mu chłodnik z botwiny i ledwie ciepłe kotlety — słusnie zrobiono, nie ma czym gryźć. Rana nie bolała, działo także nie, nie trzeba zażywać piramidonu.

Rano przyszedł Lipman, obejrzał jamę ustną, powiedział zadowolony:

— Wszystko idzie wspaniale, za dwa dni zaczniemy.

— Jak odpoczywacie? — spytał Stalin. — Nie nudzicie się?

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Przez kilka dni nie mogłem pogodzić się z myślą, że będę musiał opuścić Gawryła. Mitkę i wszystkich moich pozostałych przyjaciół z pułku. Jednak Gawryła stanowczym tonem wyjaśnił mi, że wojna zbliżała się ku końcowi, że moja ojczyzna została już całkowicie wyzwolona i wypędzono z niej Niemców, i że według przepisów odnalezione dzieci trzeba było odtransportować do specjalnych placówek wychowawczych, gdzie dzieci będą musiały pozostać do chwili aż uda się ustalić, czy żyją jeszcze ich rodzice.

Patrzyłem na jego twarz, kiedy mówił mi o tym wszystkim i z trudem powstrzymywałem łzy. Gawryła również był zaskoczony. Wiedziałem, że rozmawiali z Mitką o mojej przyszłości, i że gdyby było jakieś inne wyjście, z pewnością by je znaleźli.

Gawryła obiecał mi, że jeśli w trzy miesiące od zakończenia wojny nie zgłoszą się po mnie żadni krewni, on sam zaopiekuje się mną i pośle mnie do takiej szkoły, w której naucza mnie znówu mówić. Tymczasem kazał mi być dzielnym i pamiętać wszystko, czego się od niego nauczyłem. Radził mi także, abym codziennie czytał „Prawdę”, radziecką gazetę.

Dostałem torbę pełną podarunków od żołnierzy i książki od Mitki i Gawryły. Ubrałem się w mundur żołnierza Armii Radzieckiej, który uszyty specjalnie dla mnie krócej pułkowy. W kieszeni znalazłem mały drewniany pistolet z wizerunkiem Stalina na jednej stronie i Lenina na drugiej.

Nadszedł czas rozstania. Wyjeżdżałem z sierżantem Jurijem, który załatwiał jakieś sprawy służbowe w mieście, w którym znajdował się przytułek dla sierot wojennych. Było to największe miasto przemysłowe kraju, a tutaj właśnie mieszkaliśmy przed wojną.

Gawryła upewnił się, czy mam wszystkie swoje rzeczy i czy nie nie zginię w teckich zawierających moje dane osobiste. Gawryła umieścił w teckach wszystkie informacje, jakie umiałem mu podać na swój temat — nazwisko, miejsce ostatniego pobytu i szczegóły dotyczące moich rodziców, mojego rodzinnego miasta, krewnych i przyjaciół.

Kierowca zapuścił silnik. Mitka poklepał mnie po ramieniu i powiedział, abym dbał o honor Armii Czerwonej. Gawryła uściskał mnie czule, a pozostali żołnierze kolejno podawali mi dłonie, jak gdybyśmy byli już dorosły. Chciało mi się płakać, ale twarz zachowałem kamienną, ściskałem mocno jak but żołnierski sznurowadła.

Ruszyliśmy w kierunku stacji. Pociąg zapachny był wojskiem i cywilami, zatrzymywał się często pod zepsutymi semaforami. Jechał dalej i ponownie stawał pomiędzy stacjami. Przejeżdżałymi przez zombardowane miasta, opuszczone wsie, mijaliśmy porzucone samochody, czołgi, działa, samoloty z obciętymi skrzydłami i ogonami. Na wielu stacjach wzdłuż torów biegali obdarci ludzie, błagając o jedzenie i papierosy, zaś półnagie dzieci przyglądały się pociągowi z otwartymi ustami. Nasza podróż trwała dwa dni.

Wszystkie tory wykorzystywane były przez pociągi wojskowe, pociągi Czerwonego Krzyża i pociągi towarowe wiozące sprzęt bojowy. Na peronach pomiędzy tłumem radzieckich żołnierzy i byłymi więźniami, poprzębnymi w najróżniejsze mundury, przepychali się kulejaci inwalidzi, niedźwie odzieni cywile oraz niewidomi, postępujący swymi laseczkami w bruk uliczny. Gdzieś niedaleko widać było pielęgniarki prowadzące wycieczonych ludzi w pasiastych koszulkach; żołnierze spoglądali na nich w głuchym milczeniu — byli to ludzie uratowani przed śmiercią w krematoriumach piecach, powracający do życia z obozów koncentracyjnych.

Scisnąłem mocno dłoń Jurija i patrzyłem w szare twarze tych ludzi, ich gorączkowo płonące oczy świeciły jak odłamki szkła w popiołach dogasającego ognia.

Na stację wtoczył się popychany przez lokomotywę luksusowy wagon osobowy. Wytoni się z niego członkowie jakiejś agrarnej delegacji wojskowej, ubrani w barwne mundury oddekorowane licznymi odznaczeniami. Wystrój oficerowie i ludzie w pasiastych ubraniach obozowych bez słowa przeszli koło siebie, mijając się na wąskim peronie w odległości zaledwie kilku stóp.

Na budynku stacji powiewały teraz nowe flagi, z głośników grzmiała muzyka, przerywana co chwila ochrypłymi przemówieniami powitalnymi. Jurij zerknął na zegarek i skierowaliśmy się w stronę wyjścia.

Jeden z wojskowych kierowców zgodził się zawieźć nas do sierocinca. Na jezdniach wśród ciężarowych konwojów tłoczyli się żołnierze, chodniki roły się od cywilów. Sierociniec zajmował kilka starych budynków, położonych gdzieś na bocznej ulicy. Z okien wyglądała na ulicę cała chmara dzieciaków.

W poczekalni spędziłem pełną godzinę; Jurij czytał gazetę, ja zaś udawałem obojętność. W końcu zeszła do nas dyrektorka, przywitała się z nami i wzięła od Jurija teczkę z moimi dokumentami. Podpisała jakieś papiery, podała je Jurijowi, potem pokazała mi dłoń na ramieniu. Strząsnąłem jej rękę stanowczym ruchem — epitetu na moim mundurze nie były przeznaczone dla dion kobiet.

Nadszedł czas pożegnania. Jurij siłił się na wesołość, żartował, poprawił mi furaczkę, mocniej zacisnął sznurek wokół książki z dedykacją od Mitki i Gawryły, które trzymałem pod pachą. Uściskaliśmy się po męsku. Dyrektorka czekała obok.

Moim chwytem czerwona swiadek, przypięta do lewej górnej kieszeni mojego munduru. Gwiazdę dostałem w podarunku od Gawryły, był na niej wyobrażony profil Lenina. Wierzyłem, że gwiazda która prowadzi miliony robotników całego świata ku jasno wytykniemu celowi przyniesie szczęście także i mnie. Poszedłem za dyrektorką.

Pod koniec 1987 roku opublikowaliśmy, w numerze świątecznym fragment powieści Jerzego Kosinińskiego pt. „Malowany ptak”. Fakt ten był niekiedy ostro krytykowany. Nie wszystkim fragment publikowany w „Ogłoszeniach” przypadł do gustu. Dziś jeszcze Czytelnicy pytają, jaki był powód tej publikacji? Otóż powieść Jerzego Kosinińskiego „Malowany ptak” była przed wieloma laty ostro krytykowana. W Polsce znało ją zaledwie kilka osób. Postanowiliśmy teraz choć we fragmentach udostępnić tę powieść

JERZY KOSIŃSKI

Malowany ptak

Idąc zatłoczonymi korytarzami mijaliśmy klasy, w których odbywały się lekcje. Drzwi były otwarte, tu i tam widać było rozdzielane i hałasliwe dzieci. Jacyś chłopcy widząc mój mundur śmiali się i pokazywali mi palcami. Odwróciłem się, ktoś rzucił we mnie ogryzkiem jabłka; uchyliłem się i pocisk trafił dyrektorkę.

Przez kilka pierwszych dni nie miałem ani chwili spokoju. Dyrektorka chciała, abym oddał swój mundur i nosił zwyczajne cywilne ubranie z paczek przysyłanych dla dzieci przez Międzynarodową Czerwoną Krzyż. Kiedy pielęgniarka próbowała odebrać mi mundur, omal nie uderzyłem jej w głowę. Na noc na wszelki wypadek chowałem mundur i spodnie pod materac, na którym spałem.

Po pewnym czasie nie prany od dawna mundur zaczął cuchnąć, jednak nawet wtedy nie chciałem zostawić go z nim ani na jeden dzień. Dyrektorka, złytowana moim nieposłuszeństwem, wezwała dwie pielęgniarki, które odebrały mi mundur siłą. Całej tej szarpaninie przyglądał się tłum triumfujących chłopców.

Wyrwałem się niezadowolony kobietom i wybiegłem na ulicę. Podszedłem do czterech spokojnie spacerujących żołnierzy radzieckich. Pokazałem im na migi, że jestem niemowa. Dali mi kawałek papieru, na którym napisałem, że jestem synem radzieckiego oficera walczącego na froncie, i że czekam na ojca w sierocinca. Potem, starannie dobierając słowa, napisałem jeszcze, że dyrektorka jest córką ziemianina, że nienawidzi Armii Czerwonej, i że wraz z wyzyskiwanymi przez siebie pielęgniarkami bije mnie codziennie z powodu mojego wojskowego munduru.

Tak jak przypuszczałem, moja notatka wzbudziła młodych żołnierzy. Poszli ze mną do sierocinca. I gdy jeden z nich systematycznie tłukił doniozki w wyłożonym dywanem gabinecie dyrektorki, pozostali rzucili się w pogoń za pielęgniarkami. Klepiąc je i podżycyując w siedzenia. Wystraszone kobiety krzyczały i pisały głośno.

Po tych wydarzeniach personel sierocinca dał mi spokój. Nawet nauczyciele machnęli ręką, kiedy odmówiłem nauki czytania i pisanja w moim ojczystym języku. Napisałem kredą na tablicy, że moim językiem jest rosyjski, język kraju, w którym nie ma wyzysku jednostki i w którym nauczyciele nie przesładują swoich uczniów.

Nad moim łóżkiem wisiał duży kalendarz. Wykreśliłem w nim czerwonym ołówkiem każdy kolejny dzień. Nie wiedziałem, ile jeszcze pozostało dni do końca wojny, toczącej się wciąż na terenie Niemiec, ale byłem przekonany, że Armia Czerwona zrobiła wszystko, co możliwe, aby przybliżyć ten koniec jak najbardziej.

Wymyślałem się codziennie z sierocinca i za pieniądze otrzymane od Gawryły kupowałem sobie „Prawdę”. Czytałem popieszenie wiadomości o najwspanialszych zwycięstwach i uważnie oglądałem nowe zdjęcia Stalina. Byłem spokojny, Stalin wyglądał młodo i zdrowo, wszystko szło dobrze, wojna dobiegała końca.

Pewnego dnia wezwano mnie na badania lekarskie. Nie chciałem zostawić mojego munduru w poczekalni i trzymałem go pod pachą przez cały czas. Po badaniach musiałem stawić się przed jakąś komisją socjalną. Jeden z jej członków, starszy mężczyzna, uważnie przeczytał wszystkie moje papiery. Traktował mnie przyjaźnie, wymieniał moje imię, i zapytał czy nie wiem dokąd miałby się udać moi rodzice po tym jak pozostawili mnie na wsi. Udałem, że nie rozumiem. Ktoś przetłumaczył to pytanie na rosyjski i dodał, że wydaje mu się, iż poznał moich rodziców przed wojną. Napisałem nonszalancko na jakimś świstku, że moi rodzice nie żyją, że zginęli podczas bombardowania. Członkowie komisji zmierzli mi podejrzliwymi spojrzami. Zasadutowałem sztywno i wyszedłem z pokoju. Ten dociekliwy mężczyzna zepsuł mi nastrój.

W sierocinca było nas około pięciuset. Podzielono nas na grupy, lekcje odbywały się w małych, odrapanych klasach. Wiele chłopców i wiele dziewczynek było okaleczonych i zachowywało się bardzo dzwinnie. Klasy były przepiękne, brakowało ławek i tablic. Siedziałem z chłopcem mniej więcej w moim wieku. Chłopak mamrotał nieustannie: „Gdzie jest mój tatuś, gdzie jest mój tatuś?” Rozglądał się przy tym wokół jak gdyby oczekiwał, że jego tatuś wyłoni się za chwilę spod ławki i pogladzi go po spocynym czole. Tuż za nami siedziała dziewczynka, której eksplozja pocisku urwała wszystkie palce u rąk. Patrzyła ciągle na ruchliwe niczym robaczki palce innych dzieci, które widziały jej spojrze-

Czytelnikom. W całości wyda ją „Czytelnik”. Aby o czymś sądzić, trzeba to coś znać. Dlatego publikujemy kolejny fragment „Malowanego ptaka” — fragment rozdziału 18. Po lekturze drukowanych teraz fragmentów być może wielu Czytelników zmieni zdanie. Nie żeby szara polubił Jerzego Kosinińskiego i „Malowanego ptaka”, ale żeby tylko przyznali rację, że na podstawie fragmentu trudno decydować o całości. Ale też dobrze jest choć znać te fragmenty.

nie chowały swoje ręce, jak gdyby bały się jej wzroku. Jeszcze dalej siedział chłopak pozabawiony ręki i kawałka szczęki. Musiano go karmić; bil od niego odór gnijącej rany. Oprócz tego było wśród nas kilkoro dzieci częściowo sparaliżowanych.

Przyglądaliśmy się sobie z nienawiścią i strachem. Nigdy nie było wiadomo, co zrobi twój sąsiad. Wiele chłopców z klasy było starszych i silniejszych ode mnie. Wiedzieli, że nie mogę mówić, i wskutek tego sądzili, że jestem niedorozwinięty. Przezywali mnie i nawet bili czasem. Rano, kiedy wchodziłem do klasy po nie przespanej nocy w zatłoczonej sali syplalnej, odczuwałem lek, zdenerwowanie, czułem się jak w pułapce. Przeczuwałem naddająca katastrofę ze wzrastającą intensywnością. Byłem napięty jak guma w procy, i byle jakie zdarzenie mogło wytrącić mnie z równowagi. Ataku innych chłopców nie bałem się tak bardzo, obawiałem się raczej, że to ja mogłbym kogoś poważnie zranić we własnej obronie. Jak często powtarzano nam w sierocinca, oznaczałoby to więzienie, i kres moich marzeń o powrocie pod opiekę Gawryły.

Podczas bitki nie potrafiłem panować nad swoim ciałem. Moje ręce uzyskiwały własne życie i nie można było ich oderwać od przeciwnika. Co więcej, jeszcze długo po skończonej bitce nie mogłem się uspokoić, rozpałmietywałem to, co się stało, i na nowo ogarniało mnie podniecenie.

Nie potrafiłem także uciekać. Kiedy dostrzegałem grupkę chłopców zbliżających się do mnie zatrzymywałem się natychmiast. Wmawiałem sobie, że w ten sposób mogłem uniknąć niespodziewanego uderzenia z tyłu i ocenić zamiary oraz siły przeciwnika. Ale prawda wyglądała tak, że po prostu nie mogłem uciekać, nawet jeśli tego chciałem. Nogi moje stawały się ciężkie, a ich waga rozłożona była nierównomiernie. Uda i łydki były jak z ołowiu, ale kolana miałem lekkie i miękkie niczym poduszki. Pamięć o wszystkich moich udanych ucieczkach nie pomagała mi zbyt wiele. Jakis tajemniczy mechanizm przykuwał mnie do ziemi. Zatrzymywałem się i czekałem na napastników.

Przez cały czas myślałem o pouczeniach Mitki: człowiek nigdy nie powinien pozwolić się ponieść, ponieważ wówczas utraci szacunek dla siebie, a jego życie utraci sens. Tylko zemsta na krzywdzieliach mogła zachować godność i określić wartość człowieka. Każdy powinien zemścić się za jakąkolwiek krzywdę czy też upokorzenie. Na świecie zbyt wiele było niesprawiedliwych postępów, by zważyć je wszystkie i ocenić. Człowiek musi zatem sam rozpatrzyć każdą doznana krzywdę i wybrać odpowiedni rodzaj zemsty. Mitka mówił, że tylko przekonanie, iż jest się równie silnym jak przeciwnik, i świadomość, że można wroga odplacić w dwójnasób, pozwala ludziom przetrwać. Człowiek winien mieć się zgodnie ze swoją naturą, stosując wszelkie środki będące do jego dyspozycji. Było to całkiem proste: jeśli ktoś obraził cię i zniewaga zabolala jak uderzenie batem, powinienes ukarać przeciwnika tak, jakby rzeczywiście smagnął cię bykowcem. Jeśli ktoś uderzył cię w twarz, a ty poczułeś ból tysiąca ciosów, zemść się za tysiąc ciosów. Zemsta powinna być proporcjonalna do bólu, żalu i upokorzenia odczuwanego jako wynik postępowania przeciwnika. Uderzenie w twarz może nie być za dużo bolesne dla jednego człowieka; innemu może przetrwać cierpienia doznane przez setki dni nieustannego bicia. Pierwszy człowiek zapomni o całym zdarzeniu po godzinie; ten drugi będzie je przeżywał tygodniami, dręczony wspomnieniami pojawiającymi się w koszmarnych snach.

Naturalnie obowiązywało także twierdzenie przeciwnie. Jeśli zostałeś uderzony kijem, ale poczułeś jedynie klapsa, zemść się za klapsa.

Życie w sierocinca pełne było niespodziewanych napaści i bijatyk. Niemal każdy z nas miał jakieś przeżwisko. W mojej klasie był chłopiec zwany Czołgiem, ponieważ okładał pięściami każdego, kto stał mu na drodze. Był także chłopiec noszący przezwisko Armata, ponieważ bez żadnego widocznego powodu obrzucał wszystkich różnymi ciężkimi przedmiotami. Byli i inni: Szabla, który rwał swych wrogów ramieniem niczym pałaszem; Samolot, który powalał przeciwnika na ziemię i kopał go w twarz; Snajper, który cisnął kamieniami z bezpiecznej odległości; Miotacz Ognia, który wrzucał zapalone zapalki do tornistrów lub podpałał ubranie.

Dziewczyny też misły swoje przeżwiska. Dziewczynka zwana Granatem rosorywała swym przeciwnikom twarz ukrytym w dłoni gwoździem. Partyzantka, miała i nie rażące

się w oczy, kuciała na ziemi i zrzecnie podawała nogę przechodzącym koło niej dzieciom, zaś jej sojusznik, Torpeda, tuliła się do rozciągniętego na podłodze wroga jak gdyby chciała się z nim kochać, po czym wymierzala mu łachowo cios kolanem w kroczce.

Nauczyciele i opiekunowie nie mogli dać sobie rady z naszą grupą, i nierzadko trzymali się z dala od miejsca bijatyki, obawiając się co silniejszych chłopców. Czasami zdarzały się jakieś poważniejsze wypadki. Armata rzucał kiedyś ciężkim buciorem w dziewczynkę, która podobno nie chciała pozwolić pocałować się chłopakowi. Dziewczynka zmarła kilka godzin później. Kiedy indziej Miotacz Płomieni podpalił ubranie trzem chłopcom i zamknął ich w klasie. Dwóch z nich zabrano do szpitala z ciężkimi oparzeniami ciała.

Każda bitka kończyła się krwawo. Chłopcy i dziewczynki walczyli o życie i nie było można ich rozdzielić. Nocą działy się jeszcze gorsze rzeczy. Chłopcy napaścowali dziewczęta w ciemnych korytarzach. Pewnej nocy zgwałcił pielęgniarkę w piwnicy, trzymali ją tam wiele godzin, zachęcał innych, aby się do nich przyłączyli, podniecali kobiety na różne wyszukane sposoby, jakich nauczyli się podczas wojny przy rozmaitych okazjach. Doprowadzili w końcu pielęgniarkę do nieprzytomnego szaleństwa. Wyła z bólu i krzyczała przez całą noc, dopóki nie zabrała jej karetka pogotowia.

Inne dziewczyny starały się przyciągnąć na siebie uwagę. Rozbierały się i prosiły chłopców, aby je dotykali. Krzykliwie opowiadały, czego żądały od nich tabuny mężczyzn podczas wojny. Niektóre z nich mówiły, że nie mogą zasnąć nie kochając się wcześniej z mężczyzną. Wieczorami biegały do parków i podrywały pijanych żołnierzy.

Wiele dziewczynek i chłopców było całkiem obojętnych i apatycznych. Stali pod ścianami, zwykle w milczeniu, nie śmiejąc się i nie płacząc, patrząc na jakieś obrazy, które widzieć mogli tylko oni. Ponoć niektóre z tych dzieci zamknięte były w czasie wojny w gettach lub obozach koncentracyjnych. Gdyby nie koniec wojny, już dawno by umarły. Inne dzieci wykorzystywane były bezlitośnie przez swych zastępczych rodziców, chcieli i brutalnych, którzy chcieli je za najmniejszą nawet oznakę nieposłuszeństwa. Były również takie dzieci, które nie miały właściwie żadnej szczególnej przeszłości. W sierocinca umieszczono je wojsko lub milicja. Nikt nie znał ich pochodzenia, miejsca pobytu rodziców, nikt nie wiedział, gdzie spędziły wojnę. Nie chciały nie powiedzieć o sobie; na wszystkie pytania odpowiadały wymijająco lub pobłażliwie rozchyłaly usta w półśmieszku, wyrażającym nieskończoną pogardę dla pytającego.

Bałem się w nocy zasnąć, ponieważ wiedziałem, że chłopcy mieli zwyczaj płać sobie wtedy różne bolesne figle. Spałem w mundurze, z nożem w jednej kieszeni i drewnianym kaste-tem w drugiej.

Każdego ranka wykreślałem kolejny dzień w moim kalendarzu. W „Prawdzie” pisali, że Armia Czerwona dotarła już do samego gniazda faszystowskiej żmii.

Stopniowo zaprzyjaźniłem się z chłopcem zwanym Milczkiem. Zachowywał się tak, jak gdyby był niemowa; nikt nie słyszał dźwięku jego głosu od czasu, kiedy przybył do sierocinca. Wiedziiano, że umie mówić, ale w niektórych momentach podczas wojny stwierdził, że nie ma to żadnego sensu. Inni chłopcy chcieli zmusić go, aby przemówił. Pewnego razu spuścili mu nawet krwawe łanie, ale nie wydobyl z niego ani jednego dźwięku. Milczek był starszy i silniejszy ode mnie. Z początku schodziłymi sobie z drogi. Sądziłem, że Milczek nie mówi, aby zadzwic sobie z chłopców takich jak ja, którzy utracili mowę. Jeśli Milczek, który nie był niemową, zdecydował się milczeć, pozostanie dzieci mogły pomyśleć, że ja także nie chciałem mówić, choć mogłbym, gdybym chciał. Moja przyjaźń z nim mogła tylko potwierdzić to przypuszczenie.

Ktorego dnia Milczek niespodziewanie popiepszył mi z odesłca i powalił chłopca, który bił mnie na korytarzu. Następnego dnia poczułem się zobowiązany do walki po stronie Milczka w bitce, która rozgorzała w czasie przerwy między lekcjami.

Po tej historii usiedliśmy w jednej ławce z tymi klasą. Napierw pisaliśmy do siebie listki, ale później nauczyliśmy się porozumiewać na migi. Milczek towarzyszył mi w wyprawach na dworzec kolejowy, gdzie usiłowałam zaprzyjaźnić się z odjeżdżającymi żołnierzami radzieckimi. Kiedyś urailiśmy rower pijanemu listonoszowi, przejechaliśmy przez park miejski, wciąż jeszcze obsługani minami i zamknięty dla ludności, i podglądaliśmy dziewczyny rozbiierające się w miejscowej łaźni.

Wieczorami wymykałymi się z sali szpitalnej i włóczylismi się po pobliskich podwórkach i placach, straszylismi kochające się pary, wrzucaliśmy kamienie do mieszkań przez otwarte okna, napaścowałymi nie spodziewających się niczego przechodniów. Milczek, wyższy i silniejszy z nas dwóch, zawsze stanowił naszą główną siłę uderzeniową.

Codziennie rano budził nas gwizd przejeżdżającego nie opodal pociągu, wiozącego do miasta chłopców, pragnących sprzedać swoje produkty rolne na targu. Wieczorem ten sam pociąg odwoził chłopców do wsi po tym samym torze, oświetlone okna wagonów migotały między drzewami lecące w szeregu robaczki świętojańskie.

Przełożył:
MACIEJ ŚWIERKOCKI

BULGARIA

W jednej z dzielnic Sofii wystawiono do przetargu 30 restauracji, barów, piwiarni i cukierni. Stawki wywoławcze wynosiły od 6 do 25 tysięcy lewów. Kandydatami na agentów byli pracownicy tych placówek gastronomicznych. Wzięli oni w agencję tylko 7 i to głównie bary, piwiarnie i cukiernie. Nie było amatorów na restauracje.

Sofijska gazeta „Otczestwen Front” zastanawia się z tego powodu nad powstałą sytuacją. Jej zdaniem agenci boją się monopolistycznej „Zywności zbiorowej”, który ma ich zaopatrywać w surowce i produkty spożywcze, boją się podatków i kontroli. Do sprawowania kontroli uprawnionych jest aż 27 jednostek. Przypomina, że swego czasu otwarto w Neseberze pierwszą prywatną restaurację w Bułgarii, ale szybko ją zamknięto właśnie dzięki nieodpowiedniej polityce zaopatrzenia, podatków i kontroli. Gazeta uważa, że sprawy te powinny być uporządkowane odpowiednimi przepisami.

CSRS

Francuski dziennik „Le Mond” donosi z Pragi, że był tam dwukrotnie Alexander Dubczek, który mieszka na stałe w pobliżu Bratysławy. W czasie pobytu Alexandra Dubczeka w Pradze spotykał się wszędzie z serdecznym i życzliwym przyjęciem, tak na ulicy, czy w teatrze.

„Rude Pravo” otrzymało list od Krysty Pytlounovej z Kladna, której odmówiono pracy w zakładowej bibliotece miejscowego kombinatu tylko dlatego, że nie jest członkiem KPCz. W liście adresowanym do centralnego organu KPCz „Rude Pravo” Krysta Pytlounova zaprosiła: „Czy w naszym państwie partystyczny może zajmować odpowiedzialne stanowisko? Powiedzmy — samodzielnego bibliotekarza”.

Pytanie to może budzić zdziwienie, gdyż — jak przypomina „Rude Pravo” — w uchwale na V Plenum KC KPCz stwierdzono, że należy dążyć do tego, by „w większym stopniu brać pod uwagę włączenie oddanych socjalizmowi i dobrze przygotowanych pracowników spośród bezpartyjnych i członków innych partii Frontu Narodowego”. W CSRS — przypomnijmy — obok KPCz działają jeszcze: Czechosłowacka Partia Ludowa i Czechosłowacka Partia Socjalistyczna. Krysta Pytlounova do żadnej z nich nie należy. Ma jednak wysokie kwalifikacje jako bibliotekarka i 20-letni staż pracy.

Organizacja partyjna w kombinacie w Kladnie przyjęła uchwałę, wedle której funkcje samodzielnego bibliotekarza może sprawować jedynie członek partii. W wyniku takiej sytuacji Krysta Pytlounova pracuje w kwaciarni „Syrena”, a miejsce samodzielnego bibliotekarza w zakładowej bibliotece w kombinacie w Kladnie nadal jest wolne. Mimo dwukrotnego ogłoszenia zamieszczonego w miejscowej gazecie.

W związku z tym „Rude Pravo” przypomina, że zasad nie można traktować jak szablonu, do którego dopasowuje się sytuację.

JUGOSŁAWIA

Belgradzki dziennik „Vecernje Novosti” poinformował, że około 500 000 jugosłowiańskich robotników opuściło szeregi związków zawodowych. W Jugosławii pracuje 6 800 000 osób. Osiem procent z nich nie zapłaciło w 1987 roku składek związkowych. Tłumacza to inercją związków zawodowych i szerzącą się w nich biurokracją.

Według agencji „Reuter” stopa inflacji wyniosła w 1987 roku około 154 procent. Oficjalnie dane — na jakie powołuje się agencja — wykazują, że prawie 300 000 robotników wzięło udział w 1700 strajkach. W większości przypadków związki zawodowe zajęły stanowisko dyrekcyjne.

W stolicy Słowenii Lublanie zakazano rozpowszechniania numeru tygodnika młodzieżowego „Mladina”. Decyzja taka zapadła 16 marca 1988 roku. Jej powodem było nawoływanie przez grupę autorów „Mladiny” do jawnej kontrowersyjności. Artykuł był podpisany: „Kontrowersyjny zespół redakcyjny”. W artykule tym wskazano, że władze Jugosławii bardziej troszczyły się o sprawne działanie cenzury niż o likwidację inflacji, bezrobocie, chętnego handlu i oswobodzenie więzielnego sumienia oraz domagano się przeprowadzenia niezbędnych reform.

Jugosłowiańska agencja „Tanjug” przypomina, że „Mladina” krytykowała Jugosłowiańską Armię Ludową, a były redaktor naczelny pisma — Franc Zavrlo stanął przed sądem za krytykę sekretarza związkowego do spraw obrony narodowej — admirała Branko Mamule.

WEGRY

Rzecznik rządu WRL — Rezsoe Banyas oświadczył 11 marca 1988 roku, że rządowi WRL nie jest nic wiadomo o istnieniu i działaniu „Forum Demokratycznego”. Wiadomo wprawdzie, że politolodzy, socjologowie i inni ludzie nauki i sztuki spotykają się i omawiają sytuację w kraju. Na ogół dominuje rzeczowość, ale zdarzają się wypowiedzi o charakterze nacjonalistycznym, skierowane na przykład przeciw Cyganom.

„Tanjug” z tej okazji przypomina, że „Forum Demokratyczne” spotkało się raz w październiku 1987 roku, a drugi raz w lutym 1988 roku.

JADWIGA M. NIEDZIEWIECKA

Nadzieżdza Allilujewa, druga żona Stalina, przyszła na świat w Baku. Najmłodsze lata spędziła na Kaukazie. Brano ją za Gruzinkę, Bułgarkę bądź Greczynkę ze względu na smukłą budowę, owalną twarz i oliwkową cerę. Jej ciemne czy kasztanowate włosy przypominały raczej Cygankę. Tym bardziej, że często nosiła hinduskie sari. W takiej to jedwabnej sukni, ujętej z kilkumetrowej długości płata tkaniny z bogato haftowanym ornamentem, widywano ją w podmoskiewskiej dacz w Zubałowie.

Ojcem Nadzieжды był wprawdzie chłop spod Woroneża, ale w jego żyłach nie krążyło zbyt wiele krwi rosyjskiej. Miał przodków różnych narodowości. Jego babcią była Cyganka. Wszyscy bez wyjątku Allilujowie odziedziczyli po niej nieco egzotyczny wygląd południowców. Ciemne oczy, ciemne włosy, śniada karnacja, zdumiewająco białe zęby i szczupłość ciała. Ruchliwi, wszedobylscy, nie umieli jak Cyganie usiedzieć na miejscu.

Nadzieżdza Allilujewa wyjechała do rodziny w Petersburgu.

Nad Nową zaczęła uczęszczać do liceum. Kąt znalazła u dziadka, znanego w kręgach bolszewickich działacza. W burzliwych dniach 1917 r. Włodzimierz Lenin ukrywał się przez kilka dni u Siergieja Allilujewa właśnie. Znalazł schronienie w pokoiku, który zazwyczaj

Ze skromności nie przyznawała się do tego, że była żoną Józefa Stalina. Był dla niej przykładem rewolucjonisty, ale później okazało się...

Śmierć Nadzieжды Allilujewej

JAN BABIŃSKI

zajmowała Nadzieжда. Po rewolucji przekształcono tę izbę w niewielkie muzeum. Centralnym jego punktem jest wąskie żelazne łóżko nakryte pledem, etażerka i mały stolik. W tym pokoju Nadzieжда zetknęła się po raz pierwszy z Józefem Stalinem. Była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Józef Stalin stał się dla młodzikutkiej licealistki symbolem nowych czasów i wielkich przeobrażeń. Powrócił dopiero co z zesłania na Syberii i opromieniał go nim nieugięty rewolucjonista. Choć był o 22 lata starszy od Nadzieжды, wywarł na niej piorunujące wrażenie. Wcale zresztą na swe lata nie wyglądał. Jakąś dziwną to była jednak para. On, wyraźny, bezwzględny, zimny i drapieżny i ona, szesnastoletnia gąska, porwana entuzjazmem dla zbliżającej się rewolucji.

Córka Józefa Stalina i Nadzieжды Allilujewej — Swietłana Allilujewa w „Dwadzieciu latem k drugu”, wydanych na Zachodzie, tak do tego nawijuje:

„W naszej rodzinie żyła była zawsze legenda o ojcu, który uratował w Baku w 1903 r. życie mojej matki. Otóż mama, dwuletnia wówczas dziewczynka, bawiła się w porcie na przystani. Raptem straciła równowagę i osunęła się do morza. Ojciec natychmiast skoczył za nią i wyciągnął na brzeg. Mama, zawsze taka romantyczna, nigdy tego zdarzenia nie zapominała. Kiedy w 1917 r. znów zetknęła się z ojcem, spoglądała na niego jak na zbawcę, któremu zawdzięczała życie”.

Zachowały się listy Nadzieжды Allilujewej do rodziny Radzenko w Petersburgu, pisane w 1918 r.

„Zajęcia w naszym liceum zawieszono. Siedzę teraz wszyscy całymi dniami przebieg ogólnorosyjskiego zjazdu rad delegatów robotniczych i żołnierskich. To dosyć interesujące, zwłaszcza kiedy występuje Trocki albo Lenin. Te inne przemówienia są blade, nudne i nijakie...”

W „Pitrze” szaleje głód. Dzienny przydział chleba wynosi jedną ósmą funta. Zaczynam obwiniać o to bolszewików. Ale obiecali, że po czwarty od 18 lutego zwiększą przydziały. Zobaczymy. Straciłam na wadze 10 kilogramów, tak, że trzeba zwrócić i poprzeczać wszystkie moje sukienki i bieliznę. Śmierć jest teraz ze mną, że schudłam pewnie dlatego, że się zakochałam...”

Nadzieжда Allilujewa wyszła za Józefa Stalina w 1918 r.

Członkiem partii została w 1924 r. Z czasem Józef Stalin zamieszkał z rodziną na Kremlu. Przenosił się stamtąd dość często do dacz w Zubałowie. Po śmierci żony nigdy już tam nie rajzował. Wolął Kunczewo.

Swietłana Allilujewa wspomina:

„Mamy nigdy prawie w domu nie było. Szało ochoczo za nową modą, a ta nie dopuszczała, żeby kobieta, a tym bardziej działaczka, marowała czas w kuchni bądź przy dzieciach. Cały wolny czas poświęcała wyłącznie ojcu. Był dla niej wszystkim. Jeśli niekiedy wpadała do niego, to tylko po to, żeby posprządać szybko zeszyty i zbadać postępy w nauce...”

„surowa i zasadnicza rzadko przejawiała odrobinę choćby czułości do mnie. Kiedyś pocięłam nożyczkami nowiutką obrus. Mama wyszła z siebie, błada z gniewu, dała mi kilkakrotnie mocno po twarzy. Zanim się uspokoiłam, straszny szloch. Ojciec wziął mnie na kolana i gorąco nyczał, nie się nie martw, mój słowiczku, och, ty moja mała miśko...”

„mama była bez przerwy czymś zajęta. Wbiła mi do głowy, że im ktoś więcej ma wolnego czasu, tym bardziej staje się leniwy. Nic tak nie rozleniwia jak bezczynność. Dlatego wykładała dla mnie i dla brata wciąż nowe jakieś zajęcia. Już jako 6-letnia dziewczynka musiałem się uczyć niemieckiego, rysunku, solfeżu i śpiewałam w dziecięcym chórze...”

„dodatkowo w Zubałowie...”

Przebudowano ją z palacyku po jakimś fabry-

kancie. Nie ruszono niczego tylko w buduarze meble i wielkie lustro na rzeźbionych nóżkach, oprawione w pozłacane ramy. Guwernantka ciągle mnie wołała, zanieś na trochę porządek ojcu na piętro. Zanim się ocknął, a ojciec schował mnie i całował. Pachniało od niego przyjemnie tytoniem...”

„mama studiowała chemię w Akademii Przemysłowej. Szczególnie zajmowała się sztucznymi włóknami. Chciała być specjalistką w tej dziedzinie. Na tej Akademii studiowała też żona Kaganowicza. Sekretarzem uczelnianej organizacji partyjnej był Nikita Chruszczow, który przybył do Moskwy z Donbasu...”

Domem Józefa Stalina na Kremlu zarządzała wówczas Karina Tili, Niemka, z Rygi. Musiała jej wystarczyć skromne środki z państwowego funduszu. Wszystkich bez wyjątku obowiązywały kartki żywnościowe. Luksus ciepłoty jako przejaw drobnoświeczalskiej moralności. Do auta odprawiał Józef Stalina jeden tylko „czekista”. Jeszcze w 1930 r. Stalin pokazywał się na ulicach Moskwy pieszo.

Zachowały się zdjęcia Nadieжды Allilujewej z lat różnych.

Uśmiechnięta, 30-letnia kobieta, piękna, o delikatnych rysach, przy tym silna i wytrwała. Wzbudzała respekt i szacunek. Nie ustępowała pola, jeśli tylko uważała, że rację są po jej stronie. Pełna osobistego czaru i promienna, wy-

glądała na szczęśliwą jeszcze w 1929 i 1930 r. Później na jej twarzy pojawiał się coraz częściej wyraz melancholii, zadumy i jakby gorczy. Na ostatnich zdjęciach widać z jej oczu ogromny smutek i przynębienie. Należała do młodej generacji rewolucjonistów. Żył wielką nadzieją. I zawiódła się. Każda epoka miała swe ideały i swój wzorzec do naśladowania. Były czasy rycerzy bez skaży, potem hiszpańskich „caballero”, dalej angielskich dżentelmenów. Nadeszły też czasy bolszewików. Oni wszyscy, młodzi zwolennicy zmian, przewrotów i przełomów, wleźli w życie, że świat można przebudować, ludzką naturę przeobrazić i stworzyć nowego człowieka, o nowej socjalistycznej moralności. Cechował ich ascetyzm, bezgraniczne oddanie sprawie i zdumiewająca pogarda dla dóbr materialnych. Nie mieli butów, ale mieli idee. Ta idea miała przeobrazić życie już tu na ziemi w jedno długie pasmo nieustającej szczęśliwości.

Nadzieжда Allilujewa tak była przejęta nakazem choćby skromności, że wstydyła się przejeżdżać na wykłady autem. Ukrywała, że jest żoną Józefa Stalina, tak że mało kto o tym wiedział. Uczyła się, uczyła się i pracowała. Kto się nie uczy, zostaje w tyle. Stalin dawał wzór. Nadzieжда nieraz widziała, jak ślepy w swej bibliotece do białego niemal ranka i robi notatki. W jej oczach był kimś niezwykłym, niemal bohaterem. Wrażliwe serce młodej kobiety rychło wszakże wyczuło fałsz wokół, dwulicowość i zakłamanie. Z biegiem lat pojęła, że jej podziwiany i uwielbiany mąż zżeryany jest chorobliwą żądzą nieczym nie ograniczonej władzy. Zamknięty w sobie, ponury i zamyślony człowiek. Nigdy nie odosłonił przed nią swej duszy. Nigdy nie ujawnił, co naprawdę myśli. Szedł do celu po trupach. Co stało mu na drodze, niszczył i wpychał do mogił. Zatrwożona potęgującym się terrorem, poczuła się sama jak w żelaznym potrzasku.

Kryzys małżeństwa zaczął się już w 1926 r.

Doszło wtedy między Nadieждą Allilujewą a jej mężem do niezwykle ostrej kłótni. Nadieжда zarzucała małżonkowi cyniczne grubiaństwo, brutalność i zuchwałość w stosunku do niej arogancję. Nic tym nie wskórawszy, zrozpaczona zabrała dzieci i wyjechała do Leningradu. Zamieszkała u dziadka i zaczęła rozglądać się za samodzielną pracą. Prózne starania. Długie ręce Józefa Stalina rychło ją dosięgły i aprocwadziły na powrót do Moskwy.

Myśl, aby Józef Stalina porzucić, nigdy już potem Nadieжды nie opuszczała. Po zakończeniu studiów zamierzała przenieść się na stałe do Charkowa. Zapraszała ją do siebie Anna Siergiejewna, jej siostra, której mężem był Stach Redens, Polak z pochodzenia. Siostra ją rozumiała. Zauważyła nie raz, że Stalin obchodził się z żoną ordynarnie, bezwzględnie i nie okazuje jej cienia chociażby szacunku. Ziemczuzina, żona Władysława Mołotowa, starała się w jakiejś mierze podnieść Nadieждę na duchu.

— Stuchaj — mówiła — oni wszyscy, działacze na najwyższych szczeblach, grają ustawicznie o grube bardzo stawki. Są dlatego kłębkiem nerwów. Być może, także z przepracowania. Życie ich żon wcale z tego względu nie jest usłane różami. Musimy się jakoś przystosować. Jesteś śliczna, młoda, utalentowana, pamiętaj, że my wszystkie cię kochamy. A zresztą pomyśl, czy znajduje się gdzieś naprawdę idealna rodzina?

W ostatnim tygodniu przed samobójstwem Nadieжда Allilujewa szukała wyraźnie samotności. Przybita, roztrzęsiona, zatopiona w myślach, przesiadywała wieczorami w fotelu bez ruchu, z głową ukrytą w dłoniach. Pograżała się coraz bardziej w czarnej rozpacz. Zwierniała się przyjaciółkom, że dłużej tego nie wytrzyma, to wszystko nie ma sensu. musi z tym skończyć, inaczej wpadnie w jakiś obłąd.

Jesienią 1932 r. jej najbliżsi się rozjechali. Brat do Berlina, siostra do Charkowa, dziadek do Soczi.

Pozostała sama.

W październiku 1932 r. podczas bankietu na Kremlu z okazji XV rocznicy Rewolucji doszło przy biesiadnym stole do białej z porzu sprzeczki. Józef Stalin wznosił toast i zwrócił się do żony z kpiącym wyrazem na twarzy: — hej ty, napij się wreszcie. Jak się okazało to „hej ty”, było ową kropką, co dźban przelała. Nadieжда zerwała się od stołu i opuściła salę, na nikogo nie patrząc.

Była na alkohol uczulona od dawna. Jej organizm mocnych trunków nie znosił. Nawet po jednym tylko kieliszku dostawała wypadków i spazmów. Stale upominała syna i córkę, by nigdy nie tknęli alkoholu, to najgorsza trucizna, zdradliwa, bo zabija powoli. Przestrzegała dzieci przed ojcem, który jak przystało na Gruzina, winem częstował również dzieci. Obawy Nadieжды wcale nie okazały się bezpodstawne. Syn Józefa Stalina — Wasilij zapił się na śmierć.

Za Nadieждą szybko wyszła z sali bankietowej Polina Ziemczuzina, żona Władysława Mołotowa. Wzburzenie żony Stalina nie uszło jej uwagi. Obie przepacerowały potem ze dwie godziny pod murami Moskwy. Stopniowo Nadieжда się uspokajała, tak że przyjaciółki rozstały się w dobrym nastroju. Nad ranem Nadieжды już nie było. Popelniła samobójstwo. Znalaziono ją w pokoju martwą.

Józef Stalin w pogrzebie żony nie uczestniczył. Na cmentarzu przy jej grobie nie pokazał się nigdy. Uznał, że to samobójstwo było wymierzone w niego.

Kto zadał mu ten cios w plecy, zastanawiał się. Oponenci, jasne, ale kto? Stali za tym pewnie syjonisci, kosmopolici, bądź niedobitki trockistowskie. Wciąż śnił się im władza po nocach. Poprawiacze marksizmu i reformatorzy. Nie chcą pojąć, że marksizm, jak wyniosłą katedrę, zbudowano wedle starannie przemyślanego i logicznego planu. Rusz choćby jeden kamień przy fundamentach, a całość runie i rozsypie się w gruz. Był z przekonania fundamentalistą. Nic nie zmieniał, bo zmiany są oznaką słabości i rozkładu. Ma być, jak jest. Jak napisano w grubych księgach, tak ma pozostać. Wiara w niewzruszoną trwałość i nieomyślność dogmatów, wpajało mu już wszak w seminarium. Był do końca ortodoksem z krwi i kości. I uważał, że nigdy nie należy przysmakować się do błędów, bo nigdy już potem nie odzyska się zaufania.

Józefowi Stalinowi doniesiono poufnie, że pistolet, z którego padł samobójczy strzał, podarowała jego żonie Polina Ziemczuzina. Nigdy tego nie zapomniał. A czekał na moment zemsty potrafił, gdy było trzeba, nawet wiele lat. Swietłana Allilujewa snuła i takie rozważania:

„Nieraz rozmyślałam nad tym, co czekałoby mamę, gdyby nie odeszła z własnej woli w 1932 r. Myślę, że przyszłość nie chowała dla niej nic dobrego. Wcześniej lub później z całą pewnością przyłączyłaby się do opozycjonistów ojca. Nie mogłaby sobie wyobrazić, by mogła w milczeniu i obojętnie przyglądać się śmierci tyłu jej najbliższych przyjaciół. Dość, że wspomnę Bucharina, Emukidze, Redensa i obu Swiadze. Być może przedwczesna śmierć uchroniła ją od tragedii, jakiej i tak by nie uszła. „Piękna, drżąca lania” nie potrafiła nieszczęściu zapobiec, ani go uniknąć”.

Józef Stalin przeżył głęboko samobójstwo żony.

Otoczony grupą lizusów i służalczych pochlebów znalazł oto we własnej żonie godnego siebie przeciwnika. Stawiła mu czoła. Nie zawsze samobójstwo jest przejawem bolesnej niemocy i życiowej klęski. Bywa, że jest aktem niezależności i potęgi ducha. Wątpię, czy o nieugiętych jednak charakterze, zaproteściowała swą śmiercią przeciw metodom gwałtu i barbarzyńskiej przemocy. Wolala zginąć niż żyć na kłęczkach, znosząc w pokorze obelgi i poniżające zniewagi.

Sposobność do zemsty nadarzyła się Stalinowi już w pierwszych latach po wojnie. Była nią tak zwana „sprawa krymska”.

Po zakończeniu działań na froncie, utworzony został w Moskwie „Żydowski Komitet Antyfaszystowski”. Jego zadaniem było gromadzenie wszelkich dostępnych danych o martyrologii Żydów podczas hitlerowskiej okupacji. Szczególnie chodziło o Ukrainę i Białoruś. Materiały miały być udostępnione wpływowym grupom żydowskiej społeczności w Ameryce.

Przewodniczącym komitetu został Salomon Łozowski, członek KC partii, znany poza tym działacz gospodarczy. W skład komitetu wszedł wybitny aktor i reżyser Michaels i Polina Ziemczuzina, żona Władysława Mołotowa. Po jakimś czasie Salomon Łozowski miał rzekomo zaproponować Józefowi Stalinowi, żeby po wysiedleniu Tatarów, przekształcić Krym w republikę żydowską. Stalin stał się natychmiast czujny. Od dłuższego już czasu spoglądał na Komitet okiem kosym i podejrzliwym.

Może Łozowski jest amerykańskim agentem? Tak, to możliwe. Kierowany przez niego Komitet jest nieczym innym jak ekspozyturą międzynarodowego syjonizmu. Ze też wcześniej o tym nie pomyślał Syjonisci chcą usadzić się na Krymie, żeby tą drogą ułatwić infiltrację amerykańskiego imperializmu na ziemię radziecką. Kto wie, czy po jakimś czasie nie doszłoby nawet do próby oderwania Krymu od Związku Radzieckiego.

„Żydowski Komitet Antyfaszystowski” rozwiązano. Jego członków aresztowano w 1948 r. Łozowski i Michaels stracili życie.

Polinę Ziemczuzinę, żonę Mołotowa skazano po upokarzającym śledztwie na długoletnie zesłanie. Powróciła do Moskwy dopiero po śmierci Stalina.

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

NIEPOROZUMIENIA I ZNAKI ZAPYTANIA

Niemile zostałem zaskoczony niektórymi informacjami zawartymi w wydawstwie Zofii Kedziory z dyrektorki Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego, które są albo nieprawdziwe, albo nieco bulwersujące.

Jestem bibliotekarzem (lecz innej sieci bibliotek) i często odwołuję MBP. Z moich obserwacji wynika, że boryka się ona z wieloma kłopotami w ostatnich latach, tak zresztą jak i inne biblioteki. Dlatego entuzjastyczno-optimistyczny ton wypowiedzi pani dyrektorki zdziwił mnie bardzo.

Ala przejdźmy do konkretów.

1. Centrala Handlu Zagranicznego nosi nazwę „Ars Polona”, a nie „Ars Polonia”.

2. Handel „niemiecką spuścizną wojenną” to sprawa zaiste przedziwna i niosąca wiele znaków zapytania.

3. Każdy bibliotekarz i nie tylko powinien wiedzieć, że „narodowy zasób biblioteczny” dotyczy poloników a nie wydawnictw obcych.

4. O ile mi wiadomo na Targach Książki nie był jeden egzemplarz „Encyclopaedia Britannica” lecz kilka, choć prawda jest, że dostać go było trudno.

5. W charakterystyce „EB” jest sporo błędów, np. „Book of the Year” nie jest 33 tomem lecz corocznym (jak sam tytuł wskazuje) suplementem do encyklopedii i owe roczniki tworzą odrębny zupełnie ciąg, stanowiąc znakomite źródło informacji bieżącej.

W ostatniej edycji wydawca zmienił zawartość 2 części encyklopedii i w Macropædia (a nie w „macropædiach”) zamieścił zaledwie sześćset kilkadziesiąt bardzo obszernych opracowań monograficznych czyli haseł. Ponad 5 tysięcy haseł było w wydaniach poprzednich, których MBP nie posiada!

6. W wydawstwie pada pytanie o dwa inne muzea książki dziecięcej istniejące poza Łodzią. Nie pada natomiast odpowiedź na to pytanie. Szkoda! Bo tak naprawdę muzeum jest tylko jedno — przy Bibliotece Publicznej Miasta Stołecznego Warszawy. Natomiast nie ma nic wspólnego z muzeum archiwalny zbiór książek dziecięcych znajdujący się w Bibliotece im. L. Waryńskiego. Przekonałem się o tym chcąc to „Muzeum” zwiedzić! Czy zatem nie lepiej przedstawiać stan zgodny z prawdą?

(L.T.)

(Imię, nazwisko i adres do wiadomości redakcji).

OD REDAKCJI. Pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na publikowaną niedawno, również na tej stronie, obszerny list Andrzeja Gawrońskiego, który w sposób wyczerpujący poruszył problemy Biblioteki im. Ludwika Waryńskiego oraz bibliotekarstwa w ogóle. Jak z tego widać problemy bibliotekarstwa nie są nam obce i prezentujemy różne punkty widzenia. Stąd i druk obszernych fragmentów powyższego listu.

DWA PYTANIA

„Białe plamy” — to temat teraz modny, szuka się je i znajduje — najchętniej u innych, a czy u nas ich nie ma? Są na pewno, a oto dwa przykłady.

Jestem emerytem, mam więc sporo wolnego czasu, który częściowo przeznaczam na czytanie prasy i całego wachlańca czasopiśm, a choć nie jestem katolikiem, chętnie zaglądam także do „Tygodnika Powszechnego” i „Przeglądu Katolickiego”. Przy tej okazji znalazłem w nr 2 i 3 „Przeglądu” artykuł, opublikowany tam z myślą o uczczeniu 70. rocznicy odzyskania niepodległości, który wyszedł w 1919 roku spod pióra Josepha Conrada pt. „Zbrodnia rozbiórów”, a przeznaczony był dla prasy angielskiej, w celu uzmysłowienia brytyjskiej opinii publicznej, jaką była historia Państwa Polskiego i jakie są jego racje niezawistego bytu.

Ku mojemu ogromnemu zdumieniu znalazłem w tej dzisiejszej publikacji dwie ingerencje cenzury wg ustawy z 1981-01-31, co wydaje mi się pewnym nadużyciem uprawnień. To była właśnie ta przysłowiowa łyżka dziegciu w beczce miodu! Czy aby urzędnik kontroli prasy nie posunął się za daleko?

A teraz jeszcze o innych „białych plamach” na naszym łódzkim terenie. W 1987 roku w numerze 12 redakcja „Odgłosów” zamieściła moją informację o rocznicach obchodzonych przez łódzkich ewangelików. W 1986 roku upłynęło 160 lat od powstania parafii św. Trójcy, której świątynia mieściła się przy pl. Wolności, upłynęło 100 lat od pierwszego polskiego nabożeństwa ewangelickiego, odprawionego w dwa lata wcześniej wybudowanym kościele św. Jana przy ul. Sienkiewicza, upłynęło 70 lat od powstania polskiego chóru ewangelickiego, 60 lat od utworzenia Organizacji Polaków Ewangelików i 50 lat od powołania polskiej parafii ewangelickiej. Ja byłem ochrzczony w 1920 roku w kościele św. Trójcy, a w 1936 roku byłem konfirmowany w kościele św. Jana. Czy łódzkie społeczeństwo wie o tym, że obydwie te świątynie, stojące od 1945 roku naszym wspólnym dobrem — katolikom, nie były mieniem porzuconym i że nikt nie ułożył się z ewangelikami ani o kupno, ani o dzierżawę? Choć społeczność ewangelicka, licząca teraz w Łodzi zaledwie 3.000 dusz, nie ma potrzeby z tych świątyń korzystać, to przecież sprawę własności lub użytkowania w jakiś sposób z nią załatwić wreszcie należało.

TADEUSZ ORDYŃSKI

ŚMIESZNE PLAMY

Przeczytałem „Tęczowe plamy” J. Wilmańskiego („Odgłosy” z 12.III.1988 r.) i pomyślałem sobie: Wesolowski jest ten pan Wilmański. Zacytował gesto Antoniego Słonimskiego i zarobił tanim kosztem spory grosz, mając przy okazji ludziom porządnie w głowie. Prawdę nie najlepiej było w Polsce przed wojną ludziom, ale nie wolno tego udawać przy pomocy tekstów apologety socjalizmu, dziś już nurtu nieco skompromitowanego...

I ja też przez chwilę zabawiłem się w „cytologa Wilmańskiego”, z tym że będa to inne cytaty. A więc inny znakomity felietonista KISIEL czyli Stefan Kisielewski (znakomity kompozytor awangardowy niegdyś przy okazji) tak pisze o autorze, z którego „pożyczył” Wilmański („Tygodnik Powszechny” nr 11 br.): „Słonimski, dobry poeta, ale myślowo banalny, z płytko materialistycznej szkoły Welska”.

A co mówi o poezji Antoniego Słonimskiego wybitny polski poeta Julian Przybysz? Na spotkaniu w łódzkim klubie książki i prasy przy ul. Narutowicza, 21 maja 1966 roku, na pytanie z sali: co sądzi o poezji Słonimskiego, odpowiedział (cytuje z mego notatnika): „Słonimski? To półgrafoman!” A co sądził o Słonimskim Grzech-wisku A. Słonimski? Także na pytanie z sali, tym razem w Klubie Studenckim przy ul. Piotrkowskiej (15.XI.1964 r.), odparł kalamburem, bowiem był to urodzony kpiarz i kalamburzysta: „Nie będziemy rzucali Grochowiakiem o ścianę”. Wywołało to u jednych studentów sporą wesołość, a u drugich — zwolenników twórczości niedawnego poznaniaka — syk niechęci.

Ala ad rem czyli do „Tęczowych plam”: wydaje mi się, że stalinowskie chwytły (np. przed wojną w Polsce nie było telewizji, a teraz jest telewizja) już się pizczyły. I jeżeli mamy coś z czymś porównywać, to robimy to w sposób rzetelny i bardziej logiczny. Prawdę, że przed wojną w Europie nie było najlepiej, ale np. gorzej niż w Polsce było w Finlandii, Norwegii, Szwecji, etc. Co łatwo sprawdzić, ale nie przy pomocy spożycia cukru, bo to do niczego nie prowadzi. My jesteśmy jednym z największych producentów cukru i stali na świecie (w tym na głowę J. Wilmańskiego — wziętego felietnisty), ale co z tego ma ta głowa, jeżeli cukier był do niedawna na kartki, stał nie jest najlepszej jakości, a rudę do niej — jak podało niedawno Polskie Radio w programie nocnym — sprowadzamy aż z Argentyny!... Pewnie, że w Polsce działo się ludziom nie najlepiej, ale np. w Łodzi było pełno domków-laski, które sobie mogli wybudować z pensji robotniczej, a J. Wilmański, człowiek niejak na nasze czasy syciwany, że swej pensji nie jest w stanie wybudować nawet komorki czy garażu dla swego malucha, którego zresztą dostał niegdyś na kartki. A sierżant — jak to powtarza za Antonim Słonimskim Jerzy Wilmański, chcąc upokorzyć przedwojenną rzeczywistość — dziś także więcej zarabia od nauczyciela, ale tego już J. Wilmański, manipulujący cytatami, nie napisał.

Na pocieszenie J. Wilmańskiego na zakończenie jeszcze coś cytuję:

„...I jeżeli dziś (wprawdzie na stare lata, ale za drugiej młodości) najgorętszym moim pragnieniem twórczym jest współdziałanie z polską klasą robotniczą i z siłami postępu na całej kuli ziemskiej w walce o wyzwolenie człowieka z jarzma kapitału i imperializmu, to nie dlatego, że mnie ktoś tak nauczył — nawet nie dlatego, że pięć lat wojennych spędziłem w kraju najdłuższej rozpruty kapitalistycznej i imperialistycznej wyuzdania, to jest w Stanach Zjednoczonych — ale dlatego, że mnie uczyły gniewu i protestu łódzkie ulice, łódzka nędza, gruźlica, cera łódzkich dzieci robotniczych i kontrast między rozpaczliwymi warunkami życia ówczesnej łódzkiej bledoty a lajdackim obrastaniem w sadło łódzkich fabrykantów. Żałuję tylko, że mnie to wszystko znacznie wcześniej nie nauczyło jeszcze jednego, najważniejszego: ostrzejszej, bezwzględniejszej walki niż ta, którą dotychczas uprawiałem. Będę się starał, aby od płomienia tej właśnie walki rozbiły przyszłe lata mojej twórczości”.

Tak pisał Julian Tuwim (autor kilku świetnych wierszy o Łodzi), w czasach stalinowskich, dzięki za otrzymaną nagrodę m. Łodzi za całokształt twórczości poetyckiej. A na gruźlicę w tamtych czasach wiele osób umierało. Nawet nasza prasa donosiła, że Afrika umiera na AIDS, a u nas... jeszcze nie uporano się z gruźlicą. Dlatego śmieję się, gdy czytam J. Wilmańskiego, który nie wie, że to już nie bomba atomowa zagraża naszemu istnieniu, i wciąż czując się bezpiecznym grzebie w pismach z dwudziestolecia międzywojennego Polski, w której wcale nie było tak źle, w porównaniu z paroma innymi krajami Europy, nie licząc poniekąd sąsiadów... Tych od słynnego głodu z lat trzydziestych.

ROMAN GORZELSKI

OD REDAKCJI. Polemikę Romana Gorzelskiego z Jerzym Wilmańskim drukujemy z mieszanymi uczuciami. Wyrazem tych uczuć mieszanym jest niniejsza uwaga. Otóż odnosimy wrażenie, że obaj panowie jakby mówili o czymś innym. Jerzy Wilmański zaniepokojony idealizowaniem przeszłości, a konkretnie międzywojennego dwudziestolecia, przypomniał, co na temat tegoż dwudziestolecia pisał Antoni Słonimski. Ma do tego prawo. I taki tekst warto było Cyfelnikiem zaprezentować w nadziei, że sobie o przeszłości pomyśla, że być może dojdą do wniosku, że była bardziej złożona i skomplikowana niż się to dziś niektórym wydaje.

Roman Gorzelski natomiast oburzył się na metodę, ale nie bardzo ma argumenty, aby przeciwstawić się jej merytorycznie. Powołując się na opinie Kisielewskiego, że „Słonimski, dobry poeta, ale myślowo banalny...”, to żaden argument. Ludzie na ogół mają różne opinie o różnych pisarzach i w niczym to nie zmienia wartości ich dorobku. A już w żadnym wypadku nie podważa tego, co napisali, jeśli byli w zgodzie z faktami. O co więc ta sprzeczka?

Ala Roman Gorzelski ma prawo tak myśleć i w zgodzie z tą zasadą publikujemy jego polemikę. Czy ma rację, czy jego argumenty to rzeczywiście argumenty i czy coś to zmienia w obrazie przeszłości, to już zupełnie inna sprawa. Naszym zdaniem — nie.

REDAKTOR DYŻURNY

JERZY KALUŻKA KONTRA ZAKŁAD ENERGETYCZNY

Po przeczytaniu listu wyjaśniającego dyrektora Wiesława Kmiana w numerze 12/1984 tygodnika „Odgłosy” wyjaśniam, że:

1. Zadnego pisma Zakładu Energetycznego z dnia 14 grudnia 87 roku, na które się ww. powołuje nie otrzymałem ani ja ani nikt z moich domowników.

2. Twierdzenie, że moje niby nie zapłacone pieniądze w wysokości 785 złotych mogą wpływać na pogarszanie się sytuacji finansowej ZE jest po prostu parodią a nie wyjaśnieniem (podpisany przez mgr inż.).

3. Dyrektor stwierdza, że to, że zapłaciłem nie w kasie zakładu tylko w... banku, nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Nie rozumiem dlaczego bank miałby być gorzej, tym bardziej, że nie chodziło o 70 milionów złotych, o których wspomina dyrektor, tylko o 785 złotych.

4. Chodziło mi o to, żeby wyłączyć energię notorycznym niepłatnikom, mającym zaległości wielotygodniowe a nie groszowe! Tym bardziej, że dokonywałem zawsze opłat z wyprzedzeniem!

5. Dobrze byłoby, gdyby dyrektor napisał ile poniósł dodatkowych kosztów z tytułu wysłania pracownika (dwa razy — wyłączenie i włączenie) i czy to jest metoda, żeby właśnie w taki brzydki sposób współpracować z klientem, a potem obciążać go (za jedyne 785 zł)... stresami i brakiem energii. Podtrzymuję nadal zarzut bezdusznosci.

Z poważaniem

J. KALUŻKA

NA RYBY Z ANKIETĄ!

Poruszony bezsensownym podjęciem uchwały przez grupkę delegatów na II Konferencji Krajowej PZW o obowiązku rejestracji połowów przez ponad milionową rzeszę wędkarzy, pod groźbą utraty uprawnień wędkarskich, na Waszych łamach pragnę listem otwartym do prezesa PZW, w imieniu własnym i kolegów w całym kraju zaprezentować przeciw takiemu bezprawiu.

Do Prezesa PZW Warszawa!

W ślad za interwencją przedstawioną w telewizji w „Magazynie Kram” oraz solidaryzując się z artykułem Zbigniewa Zaparta zamieszczona w „Kulisach Express Wieczorny” Warszawa z dnia 5, 6 i 7 marca 1987 r. będąc jednocześnie wyrazicielem opinii kolegów zrzeszonych w okręgu łódzkim, a myślę, że nie tylko, pragnę zaprezentować przeciw bezprawiu wyrażonemu w Uchwale II Krajowej Konferencji Delegatów PZW z 1987 r. w sprawie obowiązku rejestracji połowów pod groźbą utraty u-

prawnie wędkarskich. Bezprawna i bzdurna uchwała jest jeszcze jednym przejawem panoszącego się sobiepanstwa i biurokracji. Jest to ograniczenie swobód obywatelskich każdego z nas i tym bardziej godne napiętnowania. Polski Związek Wędkarski winien się skutecznie zająć przede wszystkim:

1. Walką z coraz więcej panoszącym się kłusownictwem.
2. Walką z zanieczyszczeniem naszych wód i energicznym i skuteczniejszym egzekwowaniem rekompensat za spowodowane szkody. Sprawa zatrućia Wisły na odcinku Płock i poniżej nie znalazła światła dziennego do dziś dnia ani nie znaleziono winnych zmarowania setek ton ryb, a nam każe się rejestrować dekadramy.

3. Wykorzystanie i zagospodarowanie wszystkich wolnych i nie zagospodarowanych akwenów, które leżą odległymi i mimo samostanowienia zarybiania się, są rokrocznie niszczone (jako przykład Stawy Jana i staw w parku 1 Maja w Łodzi).

Wędkowanie ma być i służyć rekreacji i wypoczynkowi, a nie bawieniem się w rejestrację i statystykę. Jednocześnie w imieniu własnym i kolegów zrzeszonych w Okręgu Łódzkim żądam ujawnienia publicznego nazwisk i funkcji zajmowanych w PZW autorów lub autora tego bzdurnego wniosku, aby w przyszłości podobne nie legły się w pseudonaukowo ołowianych głowach. Myślę, że starczy Ob. Prezesowi odwagi na udzielenie odpowiedzi, jeżeli starczyło jej na przyjęcie takiej uchwały.

ROMAN LIPOWSKI

OD REDAKCJI. Nie mamy zamiaru wtrącać się w wewnętrzne sprawy Polskiego Związku Wędkarskiego, ale i nam się nie podoba pomysł z rejestracją połowów. Dlatego drukujemy powyższy list. Natomiast nie możemy powstrzymać się przed zastrzeżeniem, że nazywanie bezprawiem prawomocnej, podjętej przez II Krajową Konferencję PZW uchwały jest co najmniej nieporozumieniem. Jeśli II Krajowa Konferencja PZW nie posiada prawa podejmowania uchwał, to uchwała byłaby bezprawna. Ale tak nie jest. Przeciwnie — jest w pełni prawa. Poza tym nie bardzo rozumiemy, dlaczego dopiero teraz wędkarze z łódzkiego okręgu protestują. A co robili ich delegaci na konferencji? Coś to wszystko mało ma wspólnego z samorządnością i demokracją. Mamy się tego uczyć, ale nauka idzie o-pornie.

Wszystko to nie zmienia faktu, że wędkowanie z ankietą w ręku jest... śmieszne.

UWAGA! KONKURSY

DO 20 KWIETNIA 1988 ROKU można nadsyłać do redakcji „ECHA CHELMKA” — 32-580 CHELMIEK, plac Jana Kilińskiego 1 — utwory o objętości nie większej niż 3 strony, nigdzie nie publikowane o tematyce satyrycznej. Konkurs nazywa się „ZŁOTY TRZEWICZEK”. Organizatorzy przewidzieli nagrody w wysokości 100 000 złotych.

Satyrycy — ale nie tylko, bo również poeci i prozaicy — mogą wziąć udział w konkursie literackim zorganizowanym przez — między innymi — Belchatowskie Zakłady Przemysłu Gumowego „STOMIL”. Prace należy nadsyłać pod adresem: „Stomil”: 97-110 BELCHATÓW. Poeci mogą nadesłać od 3 do 5 wierszy, prozaicy — do 12 stron maszynopisu, satyrycy — jeden zestaw do 8 stron maszynopisu. Prace należy nadsyłać do 4 maja 1988 roku.

MOJ ŚWIAT — to hasło konkursu, w którym mogą wziąć udział nieprofesjonaliści: malarze, graficy, rysownicy, rzeźbiarze i rzemieślnicy uprawiający artystyczne rzemiosło. Konkurs ten zorganizowało Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. Prace pod adresem: MKPP „Chochlik” Łódź, ulica Rewolucji 1905 r. nr 10 należy nadsyłać do 1 maja 1988 roku.

O nagrody CENTRUM KULTURY MŁODYCH mogą się pokusić ci, którzy nie ukończyli 35 roku życia, a uprawiają poezję lub prozę. Wystarczy wysłać 5 wierszy lub prozę do 10 stron maszynopisu. Prace konkursowe należy wysyłać pod adresem: Centrum Kultury Młodych w Łodzi, 93-021 ŁÓDŹ, ul. Lokatorska nr 13 do 15 maja 1988 roku.

Kto chce zdobyć „KWIAT PAPROCI” powinien wziąć udział w konkursie zorganizowanym przez ZW ZSMP w Siedlcach. Wystać trzeba 5 zestawów wierszy, bo to konkurs tylko dla poetów. Wiersze, do 25 maja 1988 roku, należy nadsyłać pod adresem: ZW ZSMP, ul. K. Świerczewskiego 45, 08-110 SIEDLCE.

Wszystkim uczestnikom życzymy powodzenia!

UWAGA! MIŁOŚNICY TEATRU

Przypominamy, że do 10 kwietnia 1988 roku w Łódzkim Domu Kultury — w Ośrodku Teatralnym — trwają do 10 kwietnia 1988 roku warsztaty teatralne Teatrów Galielii Mandala z Krakowa.

SPROSTOWANIA

Do mojej publikacji pt. „Kongres nadziei” („Odgłosy” nr 13 z dn. 26 marca 1988 r.) wkradły się bez winy autora dwa istotne błędy. Nie chodziło o zapis „konsultacyjny”, lecz o zapis „konsultacyjny” o trwałość rodzinnej gospodarki chłopskiej. Chłopi nie sprzedają w skupie swoich produktów po cenach umownych, lecz wyłącznie po cenach urzędowych.

Poza tym w gazecie zabrakło miejsca na zakończenie publikacji, które dotyczyło ważnego dla rolnictwa problemu ochrony środowiska.

RYSZARD BINKOWSKI

W 11n-rze „Odgłosów” ukazał się reportaż pt. „I ty możesz za-fundować sobie osiem dni piekła”, ozdobiony efektownymi fotografiami. Autorstwo zdjęć przypisałem, wskutek mylnej informacji, nie temu mistrzowi obiektywu, który owe prace wykonał. Rzeczywistym autorem fotosów jest Janusz Florczak. Za tę pomyłkę zainteresowanych serdecznie przepraszam.

MAREK KOPROWSKI



Masz temat dla reportera?
Coś cię dązi, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

7 kwietnia — JERZY KWIECIŃSKI — godz.
10—16
14 kwietnia — TERESA JERZYKOWSKA — godz.
10—16

Przedświąteczny czwartek nie obfitował w telefony od Czytelników. Było ich zaledwie kilka i nie w tym chyba dziwnego, gdyż bardziej niż zwykle absorbowali nas domowe porządki, robienie zakupów, itp.

A skoro już o porządkach mowa... Mieszkańcy bloku przy al. Mickiewicza 19 skarżą się na panujący w jego sąsiedztwie bałagan i brud. Ich dotychczasowe interwencje w tej sprawie nie przyniosły żadnego rezultatu, gdyż nikt nie pozuwa się do winy. Wszyscy mówią: to nie myśmy nabrudzili, więc nie my powinniśmy sprzątać. Podobne stanowisko zajmuje administracja odnośnie stanu i wyglądu klatek schodowych, które także nie grzeszą czystością. I pomyśleć, że to samo centrum Łodzi, teren osiedla, które miało przysłużyć miastu blasku...

Niestety, czystość nie jest wciąż naszą najlepszą stroną, nie tylko zresztą na „Manha-

ttanie". Takich zaniedbanych budynków są w Łodzi setki, mimo że ktoś jest za to przecie odpowiedzialny. Często próbuje się przerzucić odpowiedzialność za nieporządek na lokatorów, choć na ogół nie oni są temu winni, lub też — obarczyć ich dodatkowymi obowiązkami i kosztami związanymi z utrzymaniem czystości. Przykładem tego może być postawa Spółdzielni Mieszkaniowej „Bawelna”, która odmawia swoim członkom farby olejnej do konserwacji okien od zewnątrz. Pan K. BANAŚIAK (ul. Smetany 14), który zadzwonił do nas w tej sprawie, twierdzi, iż jest to sprzeczne z przepisami, a także praktyką panującą w innych spółdzielniach mieszkaniowych. Zwrócił przy tym uwagę, iż dla wielu rencistów i emerytów zakup większej ilości farby jest przy obecnych cenach wydatkiem, na który nie każdy może sobie pozwolić. Chętnie dowiemy się, co sądzi na

ten temat kierownictwo „Bawelny”.
Onegdaj pisałem już o niesolidności i złym traktowaniu klientów w punkcie usługowym przy ul. Zaolziańskiej, należącym do Spółdzielni Pracy Usług i Wyróbów Przemysłu Szkłarskiego im. J. Krasińskiego. Z pretensją do tejże samej spółdzielni zwraca się za naszym pośrednictwem Pan M. Czechowski z ulicy Odolnowskiej 8a, którego wstawienie szyby o wymiarach 95 na 92 centymetry kosztowało aż 2441 złotych. Pracę tę, trwającą nie więcej niż 10 minut, wykonali u niego pracownicy punktu nr 11 przy ul. Zachodniej. Oni też wystawili rachunek. Istotnie, dosyć słony.

Na częste spóźnienia narzekają pasażerowie autobusów PKS kursujących na trasie Łódź-Główno. Wydawałoby się, że na tak krótkim odcinku nie powinno być spóźnień ani przy odjazdach, ani przyjazdach. I jeszcze jedno: dlaczego niektórzy kierowcy (to także na wielu innych liniach) zabierają tylko tylu pasażerów, ile jest miejsc siedzących, inni zaś — godzą się, aby część podróżujących stała? Mamy nadzieję, że dyrekcja PKS nam to wyjaśni i nie zabroni zabierania pasażerów na stojąco, gdyż wiele połączeń jest bardzo przeciążonych, zaś autobus — często jedynym publicznym środkiem transportu — na przykład z Łodzi do Turku.

PAWEŁ
TOMASZEWSKI

SREBRNE ŁÓDKI, SREBRNE PIERSCIENIE, ODZNACZENIA

Pokłon ludziom teatru



Foto: Grzegorz Galariniński

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, powołane przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi specjalne jury, przyznało tradycyjne nagrody za najciekawsze spektakle zrealizowane na łódzkich scenach w ciągu minionych dwunastu miesięcy.

W kategorii TEATRÓW DRAMATYCZNYCH nagrodę Srebrnej Łódki otrzymało przedstawienie „Teatr czasów Nerona i Seneki” E. Radzińskiego w reżyserii Krzysztofa Rościszewskiego wystawione przez Teatr Nowy. Kontrkandydatami do tej nagrody były dwa spektakle przygotowane przez Teatr im. Jaracza: „Wesele” S. Wyspańskiego w reż. Bohdana Hussakowskiego i „Bramy raju” wg powieści J. Andrzejewskiego w reż. Waldemara Zawadzkiego.

W kategorii TEATRÓW MUZYCZNYCH Srebrną Łódkę przyznano baletowi „Wolfgang Amadeusz” do utworów Mozarta, którego libretto i choreografię przygotował Gray Verdon, kier. muzyczne — Ewa Michnik. Kontrkandydatami do tej nagrody były dwa spektakle: opera C. Verdiego „Nabucco” w reżyserii Marka Okopińskiego, kier. muzyczne — Andrzej Sfraszynski.

Za najlepszy SPEKTAKL DLA DZIECI uznano przedstawienie Teatru Muzycznego „Pionki” wg C. Colliodiego, libretto — R. Czubaczynski, muzyka — W. Korcz, w reżyserii Włodzimierza Traczewskiego. Kontrkandydatem była realizacja PTL „Arlekin”: „Śmieć się, śmieć mała Oshin” Z. Wojciechowskiego w reżyserii Waldemara Wolańskiego.

SREBRNE PIERSCIENIE, nagrody dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UML za wybitne osiągnięcia aktorskie otrzymali: Joanna Cories za partię księżniczki Abigail w operze „Na-

bucco” G. Verdiego oraz Jarosław Dunaj za rolę burmistrza w „Tańcach w stylu epoki” K. Steigewalda, spektaklu Teatru Studyjnego.

Nagrodę „Głosu Robotniczego” za najciekawszy debiut aktorski otrzymał Sylwester Kosteczek wykonujący brawurowo partię Cavaradosiego w „Tosce”. Kontrkandydatem był aktor Teatru Studyjnego Paweł Królikowski, wyróżniający się w roli Gwiazdźńskiego w „Tańcach w stylu epoki”.

28 marca w Teatrze Wielkim odbyło się uroczyste wręczenie nagród i odznaczeń przyznanych ludziom teatru z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych miasta Łodzi.

Krzyżem Oficerskim OOP udekorowano Kazimierza Iwińskiego, a Krzyżem Kawalerskim OOP Henryka Szwajcera. Wręczono również 11 odznak Zasłużonego Działacza Kultury, 8 — Honorowych Odznak Miasta Łodzi i 14 nagród dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UML.

Słowa uznania i podziękowania, za wkład pracowników i artystów scen łódzkich teatrów w pomaganie kulturze, przekazał przewodniczący RN m. Łodzi prof. Mieczysław Serwiński.

M. M. POULAIN

Ludzie kochają mity i bardzo nie lubią tych, którzy im je odbierają. Wśród mitów zdarzają się o baśniowych karierach śpiewaczek.

Był bal, ale nie taki jak w marzeniach

Jeszcze raz przekonałem się, że ludzie kochają mity i nimi chcą być karmieni. Mój artykuł „Prawdy i mity o Violetcie Villas” w „Odgłosach” wywołał duże poruszenie.

W SAMOTNOŚCI I CZYSTOŚCI...

Violetta Villas vel Violetta Eliza Maria Czesława Cieślak-Gospodarek vel Violetta Kowalczyk twierdzi, że przez trzynaście minionych lat żyła w czystości.

„Trzynaście lat żyłam w pustelniczej samotności z wyboru. W samotności i w... czystości. Ślubowałam. Nie przyszło mi to łatwo. Mam w sobie za dużo temperamentu i miłości. Ślub spełniłam”.

W swojej dewocji religijnej posunęła się tak daleko, że nawet chciała zostać zakonnicą. Żyła w odosobnieniu. Żadnych romansów, żadnych flirtów, no, może poza kilkoma naprawdę drobnymi. Rządził nią duch umartwienia, ofiary, oddalenia, pustelniczego życia, rządził wszystkim co cielesne i kto wie co byłoby dalej — gdyby nie decyzja ojców duchownych, spowiedników Violetty, którzy uznali, że będzie lepiej, jeżeli nadal będzie śpiewała, zachowując przy tym prostotę, skromne życie, odosobnienie. Violetta Villas stoczyła ze sobą wewnętrzną walkę, i... zdecydowała być posłuszną temu, kto nią kierował.

MEŃCZYŻNA MUSI BYĆ MEŃCZYŻNĄ...

W wywiadzie dla tygodnika „Veto” oświadczyła:

„Mężczyzna musi być mężczyzną. Uroda nie ma znaczenia. Ważne jest wnętrze, charakter, mądrość duchowa. Piękny mężczyzna jest pustym w środku. Liczy się postawa, charakter. Nigdy nie chciałam być męską aktorką. Więcej nie powiem, bo się wstydzę. Jak go szukać? Wszystko musi przysięść samo. Trzeba poczuć jak przechodzi prąd przez całe ciało, a potem... wszystko dojrzeć. Poza tym jestem medium. Podwójnym, a więc bardzo silnym. Nikt nie może mieć nade mną władzy bez mojej zgody. Nawet najsilniejszy hipnotyzer”.

Ale oto znalazł się taki pan. Co prawda tylko restaurator, za to dolarowy. Podczas pobytu w Chicago, gdzie śpiewała w polonijnej restauracji „Polonez” została zaproszona na kolację do innej restauracji o nazwie „Orbit”. Tam zobaczył ją właściciel lokalu Tadeusz Kowalczyk i zaserwował kwiaty i drinki.

Taka jest obecna wersja poznania się Violetty Villas i Tadeusza Kowalczyka. Przypomnę, że w wersji poprzedniej pewien tajemniczy wielbiciel (Tadeusz Kowalczyk) obejrzał jej występ w „Polonezie” i tak się zachwycił, że natychmiast posłał do garderoby kosz róż i napój jakiego nigdy nie pila. Która wersja jest prawdziwa — wie tylko Violetta i jej wybrany.

Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Zaręczyny odbyły się 20 listopada 1987 roku. Co prawda narzeczony planował ślub na wiosnę, ale Violetta prosiła o przyspieszenie, twierdząc, iż data 6 stycznia jest dla niej szczęśliwa. Ponieważ i pan Kowalczyk miał pewien sentyment do tej daty, bo 6 stycznia 1979 roku otworzył swoją restaurację, więc w końcu się zgodził.

DRUGA STRONA BAŚNI

Violetta Villas postanowiła pożegnać się z warszawską publicznością specjalnym koncertem, który nie okazał się niczym nadzwyczajnym. Tuż po bankiecie wystawionym przez Violettę Villas dla kolegów na zapleczu „Syrreny”, gwiazda zaczęła pakować walizki, przydzielać rodzinie i znajomym swoje ulubione koty (18 sztuk) i psy (7). Otrzymała od narzeczonego dwa tysiące dolarów na podróż. Pojechała.

Do Chicago zaczęły przychodzić z Warszawy niepokojące listy, anonimowe i dziwne telefony. Nadawcy nie żałowali dolarów i złotych. Poinformowano Tadeusza Kowalczyka — kim naprawdę jest jego narzeczona, jaką ma przeszłość, a że grzechów (mimo ślubów czystości) miała sporo, temperament krewki a słownictwo niewybredne (czego parokrotnie miałem okazję doświadczyć) cytowano wszystko, bez ogródek.

Violetta Villas też dowiedziała się, że jej przyszły mąż nie ma dobrej opinii, że w Chicago znany jest jako czołowy playboy i podrywacz („żadnej kelnerce nowo angażowanej do „Orbitu” nie przepuścił”) a w Warszawie został z żoną i dziećmi, na miejscu miał kochankę — kelnerkę, która zagroziła, że jeżeli Violetta pojawi się w „Orbitcie”, to ją otruje.

Zielenił też z zazdrości pewien pan, któremu przysięgała miłość i wierność nieco wcześniej i u którego zatrzymała się w grudniu 1987 roku. To on udzielał jej mniejszych i większych pożyczek w ramach wsparcia biednej piosenkarki z Polski. Obecnie chce zwrotu swoich dolarów.

Tadeusz Kowalczyk wiedział, że nie jest w stanie sprostać wymaganiom i marzeniom Violetty, która w polskiej prasie szeroko i bez opamiętania opowiadała o tym, że zbuduje dla niej teatr z obrotową sceną, z ruchomymi schodami, z iluminacją, z neonem na dachu w kształcie VV na tle rozchodzących się promieni, a także studio nagrań i atelier filmowe. I postanowił się wycofać.

Ale Violetta Villas działała szybko i sprytnie. Nie mogła zaprzepaścić swojej być może ostatniej już szansy. Nie bacząc na to wszystko, co jej szeptało — wyjechała do Chicago. Na miejscu narzeczony powiadomił ją, że postanowił wycofać się z narzeczeństwa. Zrozpaczona i zdesperowana Violetta zagroziła, że na jego oczach popełni samobójstwo.

Ślub państwa Kowalczyków odbył się 6 stycznia 1988 roku. Uroczystości rozpoczęły się o godz. 18.00. Było to typowe, amerykańskie wesele, trwało kilka dni, z wymianą gości, wśród których dominowała Polonia. W sumie 500 gości (zamiast 1500). Z polskiej strony syn Krzysztof i siostra Wanda. Zaproszenia otrzymało wiele osób, ale kogo stać było na opłacenie kosztów podróży i pobytu w USA, Violetta nie dotrzymała obietnicy sfinansowania tej przyjemności.

Był bal. Kulig. Pożegnania lampka wina. Nie było 15 kreacji zmienianych trzy razy dziennie przez 5 dni. Panna młoda raz była ubrana na białą a raz na czerwono.

Violetta Villas zaplanowała ślub kościelny w Polsce. Do ślubu pojeździe w karetce z białymi końmi. Ale ze źródeł chiłagowskich donoszą, że drugiego wesela nie będzie.

BOHDAN GADOMSKI

FABRYKA DYWANÓW

„D Y W I L A N”

Łódź, ul. Dąbrowskiego 247/249

o g ł a s z a

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na wykonanie następujących robót:

- 1) roboty dekarские:
— krycie pałmowe dachów papą — pow. 10.000 m kw.
— smarowanie dachów — pow. 12.000 m kw.
- 2) remont budynku portierni (wymiana stropów IIp. i dachu budynku)
- 3) remont nawierzchni podwórka z trylinki
- 4) remont ścian na wydziale produkcyjnym
- 5) remont zbiornika wyrównawczego oczyszczalni ścieków
- 6) budowa nawierzchni z płyt betonowych, wykonanie ogrodzenia z podmurówką z powierzchniowych elementów
- 7) modernizacja sieci kanalizacji deszczowej:
— wykonanie kanału z rur kamionkowych Ø 200 dl. 42 m, z rud betonowych Ø 50 dl. 89 m.
— wykonanie studzienki rewizyjnej z kregów betonowych Ø 50 i komory prostokątnej murowanej

Oferty należy składać w terminie 10 dni od daty ogłoszenia, licząc dzień ogłoszenia jako pierwszy. Oferty należy składać pod adresem zakładu z napisem — przetarg. Otwarcie ofert nastąpi w terminie 14 dni od daty ogłoszenia, licząc dzień ogłoszenia jako pierwszy, w świetlicy przedsiębiorstwa o godz. 10.00. Gdyby 14 dzień wypadł w dzień wolny od pracy, to w najbliższy dzień roboczy o godz. 10.00 w świetlicy przedsiębiorstwa.

Wszelkich informacji na temat zakresu robót pkt. 1—5 oraz technologii udziela Dział Mechaniczny tel. 43-55-90 w. 247, 246 pkt. 7 tel. 43-25-36 Dział Energetyczny.

Zastrzega się prawo swobodnego wyboru oferenta lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyny.

977/k

Tegoroczną zima jest jakaś dziwna i chimeryczna. Choć czasami pod kurtkę widać się chłód, to jednak pogoda jest raczej wiosennie-jesienna. Lecz niezależnie od zimowej aury tutaj jest ciepło, zielono, nawet trochę przylitnie. Tutaj, to znaczy w Palmiarni w parku Źródlińska, gdzie umówiłem się na rozmowę z Janiną Krzemińską-Fredą — kierowniczką Ogrodu Botanicznego i Palmiarni Łódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku.

Na panią kierowniczkę, jak na każdą stuprocentową kobietę przyszło mi trochę poczekać. A może to ja przyszedłem zbyt wcześnie? Czekając oglądałem rośliny i nagle włosy stanęły mi na głowie. Wśród liści poruszyło się coś czarnego i cienkiego. Zdrętwiałem na chwilę, lecz zaraz wszystko się wyjaśniło. To czarny kot, lokator Palmiarni buszował wśród nisko rosnących storczyków. Przez ten krótki moment poczułem się jakbym był w najprawdziwszej, tropikalnej dżungli. Ale oto zjawia się Janina Krzemińska-Freda.

— Palmiarnia może być w zimie swego rodzaju parkiem, uzupełniając w ten sposób braki zimy, ale tak chyba się nie dzieje? — pytam.

— Niestety ma pan całkowitą rację. Palmiarnia jest bardzo mało, prawie wcale, popularyzowana, a poza tym tak naprawdę to nie spełnia warunków ekspozycji. Ten budynek powinien być najwyższej przechowalnia. W 1978 roku komisja w składzie: dr Janusz Hereźniak z Uniwersytetu Łódzkiego, mgr inż. Tadeusz Groszkowski — zastępca kierownika Ogrodu Botanicznego i Palmiarni, mgr Jolanta Stanisławska — ówczesny specjalista do spraw zieleni w Łódzkiej Przedsiębiorstwie Kanalizacji i Wodociągów oraz inż. Włodzimierz Rybus — przewodniczący komisji i jednocześnie ówczesny dyrektor LPK i W, opracowała „Raport o stanie Palmiarni Łódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku”. Zawarto w nim trzy zasadnicze tezy:

1. Natychmiastowe rozpoczęcie prac remontowych i adaptacyjnych w istniejącym budynku Palmiarni. Ostatni remont przeprowadzono w 1970 roku. Podwyższono wtedy dachy na budynkach, ale dzisiaj to już nie wystarcza, gdyż rośliny cały czas rosły.

2. Rozpoczęcie w jak najszybszym trybie budowy nowej Palmiarni według planów już istniejących. Projekt pochodzi z lat sześćdziesiątych, umożliwia budowę w kilku etapach. Zakłada się, że będzie to kilka kopułek sklepionych budynków, połączonych ze sobą zadziornymi przejściami. Dzisiaj rośliny z różnych stref klimatycznych znajdują się praktycznie w jednym pomieszczeniu, w nowej Palmiarni byłoby stworzone warunki, aby rośliny z poszczególnych klimatów miały własne pomieszczenia. To byłoby bardzo korzystnie dla ich wyglądu i zdrowia. Dziś walczą się z pajęczkami, który usadowił się na wysokich roślinach. Poza tym stworzy się warunki do organizowania wystaw kwiatowych.

W łódzkim Edenie brak miejsca dla zakochanych!

Egzotyka w parku Źródlińska zagrożona

3. Dzisiejszą Palmiarnię należy traktować tylko jako przechodniostan do czasu wybudowania nowej. Stale są tu problemy z ogrzewaniem. Istniejąca Palmiarnia to jedna wielka prowizorka. Była koncepcja rozbudowy Palmiarni w parku Źródlińska, ale to stary, zakurzony park. Ogród Botaniczny i Palmiarnia powinny być razem.

— Patrząc na rośliny tutaj wprost stłoczone widać wyraźnie, że jest im potrzebne nowe pomieszczenie. Ci, którzy chcieliby kontemplować w zimie żywą przyrodę, a także zakochani mają dla siebie tylko dwie ławki. Zajęty jest każdy wolny skrawek powierzchni, niektóre rośliny wiszą, donice innych, bardzo wysoko, wpuszczone są w ziemię. Ale jak to się wszystko zaczęło?

— O tej kolekcji możemy mówić od czasu I wojny światowej. Okazy roślin z oranżerii dygnitarzy rosyjskich na czas wojny zostały oddane na przechowanie do szklarni w parku im. Stanisława Staszica. Później, ponieważ nikt się po rośliny nie zgłaszał, przejęły je władze Łodzi. Do budynku, w którym są dzisiaj, przeniesiono je w latach dwudziestych. Pierwotnie, zanim powstała ta Palmiarnia, budynek pełnił rolę kuchni dla bezrobotnych. W 1956, a dokładnie 1 września tego roku, po remoncie Palmiarni udośćpiono zwiedzającym. Dziś już tego nie ma, ale kiedyś dodatkową atrakcją były akwaria.

— I na tej małej powierzchni, bo zaledwie 500 m kwadratowych zgromadzone około 300 gatunków?

— Należy raczej mówić o 1000 taksonów. Takson to pojęcie szersze. Gatunki nie obejmują odmian, podgatunków, zaś taksony ogarniają to wszystko. Upraszczając trochę, to tak jak ze storczykami. Niby jeden gatunek „storczyk”, a jaka różnorodność odmian.

Później, jeszcze raz spacerując z Janiną Krzemińską-Fredą oglądałem wskazywane mi najpiękniejsze okazy. Palmy: Kentia, Areca Phoenix czy też Trahyocarpus liczą sobie z pewnością nie mniej niż sto lat. Bardzo interesujące są rośliny z rodziny sagowców. W polskich palmiarniach jest ich bardzo mało, a w Łodzi jest ich kilka gatunków: Cykas, Encephalartos, Stangeria... Stojąc przy pięknych okazach Araucarii, których mamy w Łodzi dwa gatunki, spytałem o najcenniejsze rośliny wyrosłe w łódzkiej Palmiarni.

Pani Janina zastanawiała się chwilę, po czym odrzekła: — Każda jest dla nas cenna. Pielęgnacja jej kosztuje dużo wysiłku, zwłaszcza w naszych warunkach.

Palmiarnia pełni jeszcze jedną bardzo ważną funkcję: jest miejscem, gdzie mogą przetrwać rośliny będące już na wygnieciu. W światowym raporcie dotyczącym zasobów i ich ochrony donosi się, że dzienne giną bezpowrotnie cztery gatunki roślin. Jedynie hodowla w palmiarniach umożliwia im przetrwanie, najpierw w sztucznych warunkach, a później powrót do naturalnego środowiska.

Do Łodzi może zostać sprowadzona każda roślina. Łódzka Palmiarnia drukuje co roku swój katalog i wysyła go do tysięcy ogrodów botanicznych na całym świecie, z którymi utrzymuje kontakty. Takie same katalogi są przysyłane do Łodzi. Z nich można się dowiedzieć, jakimi sadzonkami i nasionami dysponują palmiarnie w innych krajach, z których na zasadzie koleżeńskej pomocy można otrzymać sadzonki. Na świecie ogromnym powodzeniem cieszą się nasiona dużych palm i właśnie z Łodzi wędrują one za granicę, gdyż tutaj palmy owocują i wydają nasiona.

Na koniec spytałem, czy nim się skończy ta zima jeszcze coś zekwiduję?

— Zima to okres spoczynku dla roślin. Wiosną i latem będą przepięknie kwitły storczyki. Zakwitnie Stapelia o nieprzyjemnym zapachu psującego się mięsa, który przyciąga muchy. Ale za to kwiaty ma wspaniałe: oryginalne i niezwykle okazałe.

Całując na pożegnanie dłoń Janiny Krzemińskiej-Fredy czułem się w tym zielonym otoczeniu niczym Jack Sanders ze Stefanią Harner w Edenie. Naprawdę!

BOGUMIL A. MAKOWSKI

1 Pod prąd Kilka luźnych uwag o reformie

To już zaczyna być straszne: otwieram poranną gazetę — reforma, wieczorem telewizor — reforma, słucham radia — reforma, na imieninach u ciotki — reforma... wszyscy o reformie, do reformy, za reformą... i gdyby oceniać sytuację wyłącznie na podstawie zużycia farby drukarskiej, czasu poświęconego na obrady, energii potrzebnej na wyemitowanie tych nie kończących się dyskusji przed mikrofonem i kamerą, to powinniśmy być już dzisiaj najbardziej zreformowanym krajem świata, wzorem dla innych, nie tylko drugą Japonią, ale i Koreą Południową, Hongkongiem i Tajwanem. Tymczasem taki miniaturowy Singapur, miastoparostwo, eksportujące więcej maszyn i urządzeń niż Polska tudzież jeszcze pięć innych krajów środkowoeuropejskich alles zusammen do kupy i to bez żadnego szczególnego gadania.

Co o tym myśleć po siedmiu latach kompleksowego reformowania i porządkowania polskiej gospodarki? Jak to rozumieć? Pewien mój znajomy, który też nie rozumie, twierdzi, że znajdujemy się przynajmniej w słynnej Księdze Rekordów Guinnessa — jeśli nie w kategorii długości ogólnonarodowych dyskusji o reformowaniu gospodarki, to — długości samego procesu reformowania.

2. Recept na reformę gospodarczą po polsku jest co najmniej kilka milionów, a może nawet tyle, ile nas wszystkich dorosłych Polaków, choć nie wykluczalbym, z tego grona również co poniektórych dzieci. Jest to — jak dla mnie — odrobina za dużo, gdyż łatwo gubię się w takim nieprzebranym gąszczu. Niemniej sytuacja ta ma chyba też swój pozytywny aspekt. Ten mianowicie, że sprawdzając po kolei wszystkie proponowane warianty, znajduje się w końcu taki, który spełni społeczne oczekiwania. Ustawmy się więc w kolejce, jak po szynkę przed świętami, i czekajmy spokojnie. Każdy pomysł ma szansę realizacji. A nuż trafi się na ten właściwy. A jak nie, to po paru miesiącach zmieni się go na inny.

Niestety, z przykrością muszę przyznać, że nie ja pierwszy na to wpadłem. Ministerstwo Finansów na przykład już od dawna stosuje tę właśnie metodę, zmieniając zasady podatkowe częściej chyba niż ja skarpetki na nogach. Na razie sprawa się propozycji pracowników ministerstwa, potem przyjdzie kolej na tak zwanych szarych obywateli.

3. Reforma gospodarcza, to nie jest jakiś jednostkowy akt, jakiegoś jednego podziemięcia władzy, ale długi i niezwykle złożony proces — usłyszałem z trybuny. I faktycznie, zgadza się, co stwierdzam powyżej. A jeśli tak, to tym bardziej chciałbym zwrócić uwagę na coś, co na ogół zupełnie jest przy tej okazji pomijane — na społeczne koszty całej tej operacji.

Nie chodzi przy tym wcale o to, że każdy dzień takiego procesu kosztuje nas miliony, jak pokazuje dotychczasowa praktyka, że część tych, którzy na początku gorąco popierali każde reformatorskie podziemięcie, przestało już wierzyć w końcowy sukces, że tyś się młodych, zdolnych ludzi emigruje, nie mogąc doczekać się stworzenia im takich warunków, w których tu i teraz mogliby pracować i żyć z przekonaniem, iż nie tracą swych najlepszych lat. To pozostawmy póki co na boku, choć nie chciałbym wcale przez to powiedzieć, że zjawiska owe bagatelizuję. Nie podobnego. Sądzę, że należy się im jak najdokładniej przyjrzeć i jak najszybciej zrobić wszystko, aby straty ograniczyć do minimum, a nowe

dać ludziom wiarę, a ślepo zapatrzoną w Zachód młodzież skutecznie przekonać, że i wśród swoich może tyle samo lub jeszcze więcej niż wśród obcych.

Chodzi mi o inne koszty. O toż zauważyłem, że wielu reformatorów stara się nas przekonać, że aby w dobre reformy żyć dostatecznie przy obniżającym się poziomie życia, trzeba więcej pracować, czyli — chwycić się dodatkowych zajęć, zajmować więcej niż jeden etat, tyrać od świtu do nocy w pogoni za każdą złotówką... Kierunek niby słuszny — bez pracy nie może być kolaczy, a jednak zastanawiam się, czy w myśleniu takim nie nastąpiło, przepraszam za wyrażenie, przegięcie pały. Bo tak: pracując na półtora etatu, więc przez 12 godzin dziennie albo biorąc dodatkową, sobotnio-niedzielną szychty, bywa się w domu gościem. Pieniądzy rzeczywiście więcej, ale... Człowiek jest przemęczony, często zestresowany, nie ma czasu na książkę, teatr, bywa — na rozmowę z żoną, wreszcie — na prawdziwy kontakt ze swoimi dziećmi. Kto je wychowa, kiedy my będziemy tylko pracować? Obawiam się, że nikt, czyli mówiąc popularnie — ulica. A rosnąca wciąż liczba rozwodów? Czy myślicie, że trudna sytuacja materialna wielu młodych rodzin, porażka z pieniędzmi za wszelką cenę nie ma na to żadnego wpływu? Coraz więcej małżonków żyje nie ze sobą, ale obok siebie. Coraz więcej rodzinów prawie nie wie o własnych dzieciach. Pieniądz wypiera miłość, przyjaźń, bezinteresowność, dobre wychowanie...

Dlatego nie zachęcałbym wcale tak bardzo do podejmowania dodatkowej pracy. Ten medal bowiem, jak każdy, ma dwie strony. Staralby się natomiast na tyle poprawić organizację pracy, aby już od jutra przez osiem godzin każdy mógł zrobić i zarobić tyle, ile dziś przez dwanaście. Jestem pewien, że to możliwe. A wtedy i domowy budżet będzie syty i rodzina cała.

JÓZEF RETMAN

2 Lewym okiem Przedmieście

Obraz świata w swych największych i najbardziej mikroskopijnych aspektach, zmienia się tak szybko, że coraz więcej powieści i opowiadań sprzed niewielu dziesiątków lat czytając trzeba z komentarzem. Bez niego słowa i pojęcia tracą swój pierwotny sens i oznaczają coś innego niż wtedy, kiedy zostały napisane. Witold Gombrowicz, w swym „Ferdynandzie”, podaje scenę, kiedy Józio z Mietusem wyruszają ze śródmieścia i idą ku wschodowi w poszukiwaniu „parobka”. Ich trasa to stopniowe, powolne zanikanie elementów wielkomiejskich na rzecz małosłowności i małosłowności, w końcu w wielkich. Wielkie miasto było wtedy jak soczewka, w samym jego centrum istniał ośrodek, ku któremu koncentrycznie ciążyło wszystko, co działo się wokół. Czym dalej od centralnego punktu tym było mocniej, chłodniej i bardziej pustym, bardziej spokojnie i niemrawo. Przedmieścia wielkich miast to były rejonny coraz mniejszych domków, coraz bardziej zapadłych w ziemię, coraz więcej wokół nich rosła wiało się ogródków, zieleń mieszała się jeszcze z wielkomiejskim brukiem, jeszcze docierały tam dorożki, ale już po ulicy przechadzały się kury.

A potem wszystko się zmieniło. Dzisiaj dalekie peryferie wielkiej Warszawy to Ursynów, Wilanów i Żerań, dalekie przedmieścia Łodzi to Retkinia, Teofilów i Dąbrowa. Gdy tam mówię o zapadłych domkach, o mrocznych uliczkach, gdzie niebezpiecznie zawieszają się wieczorem. Jeszcze tylko nocą sam, najbardziej centralny rejon śródmieścia wielkiej metropolii blizszy wszystkim światłami nocnych lokali, największych ma-

garnów, kin i klubów. Przez cały dzień miasto nasycone jest prawie równomiernie ruchem, ludźmi i towarami, a na obrzeżach, tam, gdzie dawniej ruch uliczny zanikał, dziś wzmagają się z powrotem, wchodząc pomiędzy olbrzymie bloki nowoczesnych osiedli. Zaraz za tymi osiedlami przebiegają trasy okrężne, tam przechodzą przed bardzo szeroką arterią, pełną wściekłego ruchu, oświetloną przez całą noc — nie ma mowy o przejściu na drugą stronę, jeśli nie ma tunelu albo wiaduktu. Takie autostrady opasują ze wszystkich stron Paryż, takie same opasują Moskwę. Dopiero poza tym rozświetlonym kręgiem znajdzie się strefa ciszy, mroku i zieleni. Też zresztą nie wiadomo na jak długo.

W nie tak znowu wielkim Bayreuth, już za autostradą okrężną, w szczerym polu, zbudowano duże Einkaufszentrum, ośrodek zakupów. Śródmieście stało się za ciasne, uliczki zamknięto dla kołowego ruchu, tam chodzi się po zakupy rzadkie, cenne, dokonywane raz na jakiś czas. Tam kraja tylko turyści. Po ziemiach, buraki, wołowe i tyś się drobiazów codziennego użytku jedzie się samochodem za miasto, gdzie jest rozległy parking, gdzie kupić można dosłownie wszystko w ciągu godziny lub dwóch. Można powiedzieć, że po zakupy jedzie się teraz z miasta na dalekie peryferie, a nie jak do niedawna — na odwrót.

W latach międzywojennych istniała w Warszawie grupa Litwaka „Przedmieście”. Założył ją pisarz lewicowy chcący swą twórczością walczyć o poprawę bytu wielkomiejskiego proletariatu. Powstały świetne książki Heleny Bogusławskiej, Jerzego Kornackiego, Władysława Kowalskiego, których akcja dzieje się — ówczesnych podmiejskich dzielnicach „Litwacy”. Charakterystyka tych dzielnic jest znakomita. Dziś — ma gruna musiałaby się nazywać inaczej, a i książki trzeba by napisać całkiem odmiennie. Rzeczywistość nie ustaje w wyścigu ze sztuką.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport Tęsknota za sukcesem

No i stało się! Niemal wszystkich ogarnęła euforia. Było się z czego cieszyć. Rekord świata i mistrzostwo USA w pływaniu Artura Wojdata — to piękny sukces. Tego nam trzeba było. Rozczarowała nas Zimowa Olimpiada w Calgary. I choć niczego nadzwyczajnego nie spodziewaliśmy się, to przecież było jakoś smutno. Zupełnie na tej Olimpiadzie nie liczyliśmy się. Jest to najlepsza ocena naszego poziomu sportu zimowego. Również loty na mamucich skoczniach naszym zawodnikom nie wyszły. Udało się wprawdzie Erwinie Rysiołowej-Ferenc, udało się lekkoatletom w hali. Ale dopiero rekord świata Artura Wojdata spełnił oczekiwania. Poculiśmy się lepiej.

W nastrojach kibiców panuje ciąga huśtawka: od euforii do zniechęcenia. Jak coś się uda, jak komuś coś wyjdzie — to natychmiast panuje u nas powszechna radość. Po prostu łakniemy sukcesów i trudno się temu dziwić. Choć jest to łaknienie zastępcze. Każdy chciałby mieć jakiś sukces, ale mało ma na to szans, więc liczy, że zrobią to za niego sportowcy. A gdy im się to nie udaje — wśród kibiców pełna rozpacz.

Już się wydawało, że był w sadzie i witał się z gąską. Po szkolnej jeździe Grzegorz Filipowski był drugi, po skróconym programie podobnie, a więc była cicha radość, jak u tego lisa z bajki, który już był w sadzie... I co dalej się działo, dobrze wiemy. Szczerze odrażało. Zostało tylko czwarte miejsce. Szukałem w sprawozdaniach jakiegoś wyjaśnienia, ale większość piszących nabrała wody w usta. Była podpórka w trudnym skoku, było zdenerwowanie, były błędy. To jasne. Czy tylko zaraz należy rozpacz? Czwarte miejsce Grzegorza Filipowskiego w mistrzostwach świata w Budapeszcie — to chyba to, na co można było liczyć i na co liczono. Kibie powinien mieć raczej pretensje do siebie, że już mu się udało, że już srebro było w zasięgu ręki. Czasem przydaje się odrobina realizmu w ocenie szans zawodnika i później nie ma rozczarowań.

Miałam okazję pisać niedawno o brakach w jeździe Grzegorza Filipowskiego. Czytałam niedawno w „Sztandarze Młodych” interesujący wywiad z trenerką Grzegorza Filipowskiego — Barbarą Kosowską. Wynika z tego wywiadu wyraźnie, że widzi ona te niedociągnięcia, pewną sztywność zawodnika, że szuka sposobu na jego rozluźnienie, zwiększenie elastyczności. A może formuła tancerza, trochę takiego bardziej zwiniejszego, mu nie odpowiada? Przecież taki tancerz nie musi wcale być. Między nami nadzieję, że w wyniku pracy trenerki zmieni się to, co jest zle i Grzegorz Filipowski stanie wreszcie na podium. Czego mu serdecznie życzę!

Zyczałabym też sukcesu naszemu piłkarzom, którzy jeszcze wybierają się do Seulu na Olimpiadę, ale nie mogę. Nie dlatego, że mam złą wolę, albo że nie lubię olimpijskiej reprezentacji. Nie podobnego. Nie ma to nic wspólnego z moimi uczuciami. Przeciwnie. Wynika to z czystego rozumowania. Otóż olimpijska reprezentacja wygrała 5:1 z Grecją. Pięknie. Wynik — jak to się ładnie mówi — poszedł w świat. Ale fizyczny i psychiczny stan drużyny Grecji — musiał budzić głębokie niezaspokojenie. W Grecji — oczywiście. Nas natomiast nie może w żadnym wypadku upajać sukcesem.

Zastanawiałam się niegdyś, co bym zrobiła, gdybym była piłkarzem i nagle odciechałoby mi się grać. Wiedziałam już, co robili inni. Udawali, że grają. W grupie 10 mężczyzn biegających bezskutecznie po boisku za piłką, jeden może się z powodzeniem ukryć. Ale nawet w najśmielszych marzeniach nie przyszło mi do głowy, że można po prostu zejść z boiska, gdy przyjdzie komuś na to ochota. Zrobił tak kapitan greckiego zespołu. I co? I nic. Z takimi sportowcami wygrana 5:1 — przynajmniej — to nie jest duży sukces.

Dlatego wszyscy czekali na mecz z Rumunią. Ten mecz mógł pokazać prawdziwe oblicze polskiego zespołu. I pokazał. Polacy wygrali, ale w jakim stylu. Jeden wyznaczony gol, przy pełnej gamie popisów nieskuteczności, braku koncepcji, zgrania, przy słabym w końcu przeciwniku, który jednak wiedział, na czym polega gra w piłkę nożną. No i mieli Rumuni znakomitego bramkarza, który właściwie uratował ich przed wyższą przegraną. Kilka celnych strzałów Polacy przecięli oddał, wszystkie obronił rumuński bramkarz. Jak z Piotrkowa Trybunalskiego było widać, do Seulu droga i trudna droga. Nie ma powodu do zachwytu. W żadnym wypadku.

Rugby w Polsce nie jest zbyt popularne, ale po ostatnim wywinyście rugbistów AZS z Warszawy ma szansę na... sukces w sadzie. Otóż dwóch byłych studentów AWF, miłośników joggingu, w niedzielne popołudnia biegali sobie na terenie AWF. 20 marca 1988 roku kopali piłkę na poboczu boiska do rugby i zostali przez trenera drużyny rugby zrugowani, a następnie pobici. Również przez sportowców (?) Jeden z poszkodowanych ma zwichniętą nogę w kostce. Oba zostali przez studentów rugbistów zmuszeni do kłaniania się i przeproszenia za to, że naruszyli suwerenność boiska do rugby. Poskarżyli się w dziekanacie AWF, ale nie zawiadomili milicji. Sprawa ma mieć ciąg dalszy. Jak się dowiem, to opowiem.

BOGDA MADEJ

Na granatowym ekranie nieba gwiazdy, w kotłowni poniżej wili świadka statków. Jedne w dół rzeki, inne w górę. Różniale światłych paciorków przesuwających się wolno w podnóża Blankenese. Nie wiedziałem, że ujęcie Łaby jest tak szerokie i malownicze. W fotelu na oszklonej werandzie cegła zachodniemieckiego cudu gospodarczego. Sennie ubrana dziewczynka kraju z ruin, obfita kolacja, wypita piwnica win. Między nim a mną jego żywy cud, Gaby. Wieczorowa sukienka, na ramionach futrzana etola (nie znam się na szlachetnych skórach), oczy, spostrzegłem to z przerażeniem, podbite na czarno spódkowaniem. Oczywiście nie pozwoli mi wrócić do hotelu; póki gościnnym w wili pod dostatkiem.

Nie tylko Angli mają poczucie humoru. Poprzednią noc przygotowała pokazując mi pomnik żelaznego kancлера Bismarcka wśród pornoshopów, burdeli, seks-kabaretów na St. Pauli. Zwiedziliśmy to i owo, podnieceni wróciliśmy do domu. Jej myśl obracała się stale dookoła tego samego. Uśmiecha się załotnie. Jest w niej coś szczególnego. Nie jest pierwszą kobietą w moim życiu. Na arenie służ specjalnych kręci się mnóstwo pięknych kobiet, ekwilibristek łóżkowych wysokiej klasy. Spoglądam na nią poprzez stół i porównuję. Jeżeli chodzi o urodę, szybko się znajduje konkurentki, w wyrażeniu, w bezczelnej pewności siebie jest absolutnie Numerem Jeden. Świetny materiał do pracy w wywiadzie. Statki na Łabie pohukują syrenami, gwiazdy z granatowego nieba nie mogą się napatrzeć jednoosobowemu przedstawieniu w wykonaniu Gaby. Zabawa w kuszenie na Wzgórzu Nieoliwkowym: jak swawolna dziewczynka suknie cał po calu podnosi na uda, szczerząc zęby w grymasie cierpienia przyzywa mnie do siebie. Przy drzewiastym oju... Nauki pobierała na tutejszej St. Pauli? Na Rue Pigalle? Uciekam do parku ścigany jej gardłowym śmiechem.

Jej ostatni pomysł: Nigdzie nie pojedzie, koniec z wiozieniem się po świecie. Zamieszkać u niej. Oskar, Oskar, czy mógłbym wreszcie przestać o tym durniu! Oskar ze Spitsbergenu udaje się ponownie na rok na Antarktydę, cały dom będzie wolny. Kryl. Słyszałem o czymś takim? Jakis krab, z którym nie mogą się uporać wieloryby, podobno dobry dla ludzi. Będzie badał zaszob. Kryla albo mikroorganizmów, którymi to paskudztwo się odżywia, zresztą nieważne. Oskar mnie bardzo lubi, nie będzie miał nie przeciwko memu zamieszkać u nią. Pracownie urządził mi na piętrze, cudowne warunki do pisania powieści mi stworzy. Będzie pisał bestsellery. Tak, tak stane się sławnym na cały świat. Co ja na to?

Jestem pustym, wydenowanym, wyciętą cytryna jestem. O czym też miałbym pisać?

Ona: Tematu nie masz? Po naszych wspólnych nocach nie ci jeszcze do głowy nie wpadło? Zacznił tak:

„Czuje się, jak gdybym do Hamburga dopiero co przybył. Samochodem wjechałem do garażu, stamtąd winda do salonu, gdzie na tapczanie odbyłem morderczy (piszesz oczywiście o mnie), unicestwiający nas oboje stosunek, po czym uskrzydłony wyzwoleniem z cielesnego pożądanego, przeniosłem się do sypialni na piętrze, skąd po drabinie z róż przystawionej do okna, szczebel po szczebelku, bosso, zszedłem do basenu w ogrodzie, w którym nie było wody, wykapałem się i nagi pobiegłem do dwupiętrowej wili duchów w Blankenese okolicznej żywopłotem — tak zaczęliśmy”.

Jak one umieją grać. Wodzić nas za nos, pokazywać to, czego na składzie nie mają. Jakże to artystki w maskowaniu swoich rogów. W pamiętnej jeździe taksówką z Alhambry do Kalastajterpy dane mi było poznać w niej wygodnia tygrysie spuszczoną z uwagi — tak mi się wtedy wydawało. Zie mi się wydawało! Po stokroć, po tysiącokroć! Zie! dobrała się do mnie łagodna kotka, przymilne stworzonko spragnione uulenia, a ja zaraz takie porównania. Zwierzaka, który z upolowanej zdobyczy zostawia na placu boju żałosne resztki, poznałem znacznie później.

Jakim żółtodziobem byłem w sprawach łóżkowych! Dobrze, że nie wolałem się w przystoję z Glendą Jackson, oj, dostałbym za swoje. Beony Maynard. Gdybym kiedyś miał chwycić za pióro — moje piarstwo jest na dobre pogrzebane — gdybym jednak dał się znowu omamić temu amokowi, napisałbym powieść o kobiecie. Od jakiej ucieka się na kraj świata, aby po chwili wytchnienia być gotów zaprzędać duszę diabłu za jeden jej uśmiech. Ale nie przed pokonaniem w sobie pewnych oporów. Estetycznych przede wszystkim. Strasznie naiwnymi chłopaczkami bywamy. Kiedy oczarowują nas sobą, objawiają się skłótniczką z bajki, uduchowionymi zjawami, do których prozaleknie ziemską nie ma dostępu, aby już krok dalej, gdy słodna zasnęła, porażać chropowatością swego wnętrza. „Miałam dziewięć lat. Dziewięć. Nie na rowerze, nie siusiując pod wiatr, nie lekarz. Palec! Chcesz zobaczyć, jak?” Powieść zatytułowałem... „Nieodbra miłość” Nie trafiał się mi nie przychodził mi do głowy: NIEODBRA — pisałem dużymi literami.

Ten rozdział dla mnie zamknięty.

Matka kurczowo chwytła mnie za przegub ręki.

— Miałbyś ochotę zatańczyć? Tyle pięknych kobiet wodzi za tobą oczami. Powiedz, miałbyś? Myślałam byłem w marmurowym grobowcu pana Hagenbecka nad Łabą w hamburskiej dzielnicy dla milionerów. Ludzi leżących na workach ich przeklętych D-marek. Kręcę głową na nie.

— Nie musisz kępować się mną. Chciałabyś? — Chęć być tylko z tobą — odpowiadałam zdułony stan-wczoraj mego głosu.

— Wczoraj. Jesteś kochany. Wiedziałam, że tęsknisz za mną. Powiedz, Andy, tęskniłeś? — Tak, mam.

— Bo ja nie mogłam już dać sobie rady. Musiałam cię zobaczyć. Choćby nie wiadomo co. Jesteś kochany. A jak wyprzostniałeś!

Oczy psa uszczęśliwionego odnalezieniem swego pa. Nigdy nie kupię sobie psa, a jeśli kupię, to go nie zgubię.

Pachniała Największe odkrycie mego życia: moja matka perfumuje się. Pachniała zawsze. Od kiedy pamiętam, pachniała ogrodem kwiatów, innej jej nie znam. Nic z perfum francuskich kupowanych wagonami przez Gaby. Gardenia. Wiecznie zielony krzew lasów subtropikalnych, pospolity w dżunglach Centralnej Ameryki. Liście skórzaste, kwiaty żółte lub białe; w Sleeping Valley mieliśmy sporą ich uprawę, gdy zawiązało od ogrodu, oddychało się tym za-

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

18

LEONARD

pachem. Nigdy nie zapomnę: Gardenia Florida. Cały dom tonął w kwiatkach. Był to dom wydzierżawiony ojcu za psie pieniądze przez zwirowanego fana lotnictwa myśliwskiego, dom — uroczyście kwiatów (na Zachodnim Wybrzeżu wszystkie są chyba takie), od zewnątrz strzegły go cyprysy i eukaliptusy przepięknie żywopłotem z krzewów gardenii, wewnątrz tego zielonego muru obronnego, wokół owalnego podjazdu z angielskim trawnikiem rozposzcierał się rajski ogród z koloniami wszystkich odmian tulipanów, róż, orchidei, amarylisów, niewidzialna chmura zapachów unosiła się nad tym rajem, najintensywniej jednak działała na moje nozdrza gardenia. Dusząco. Nie lubiłem tego zapachu.

Matka przeholowała. Może chciała przypomnieć mi dom i przesadziła. Jest podniecona. Nieprzerwany uścisk jej dłoni przypomina, mi bo, dusiciela ślizgającego się po mnie pewnej nocy w dżungli. Spałaliśmy z dala od drzew i mokradła — matczynych węży i kajmanów. Bo nie atakuje kłami. Miaładzący szaleń o wia oiarę, dopiero potem ją pożera. David zbudził się w porę, ostrą jak brzytwa maczetę miał pod rękę. Gardenia Florida mnie uspiła. Niektóre dziko rosnące odmiany wywołują napady dusznic, niektóre mają właściwości lecznicze. Jestem uczulony na ich zapach, z czym się nigdy przed matką nie zdradziłem. Matylda pachniała jakimś kwiatkiem polnym, zapachem tak ułotnym, że uchwytym tylko dla niskiego progu powonienia. Zmęczony kobietami Anglii nazywała to luring — nęceniem, wabieniem do kielicha kwiatu kolorem lub wonią. Prasa doniosła o nowym humanitarnym środku bojowym wynalezionym przez naszych chemików — gazie porażającym centralny system nerwowy na czas wystarczający długi do zajęcia terytorium przeciwnika, nie zabijającym. Dobrośliwe uspienie. Budził się już wywołany od trosk. Tylko poddać się ich eteryzującym zapachom, czułym słowom, dotykowi rąk. Robię unik. Ratunku szukam w manipulowaniu papierosem, zapalniczką, szklankami, każdy ruch wywołujący moją rękę z jej kleszczy jest dobry, ale jej potrzeba fizycznego kontaktu ze mną jest nie do zaspokojenia. Odwołuję się do wyrozumiałości. Byłem jej ukojaczem. Od dzieciństwa nie nie zapowiadało mojej przyszłej samodzielności, gdy ojciec gonął mnie do czegoś, natychmiast spieszyła z odsieczą. Maminsynkiem szukającym schronienia w jej spódnicy byłem, aż nagle wszystko się odwróciło. Z chłopcami podobno zawsze tak.

Mówię tak, myśląc nie. Uśmiecham się. Czarne godziny przychodzą same. To nie z Szekspira.

A to z Szekspira: But soft! here come my executioners. Z jego „Tragedii króla Ryszarda Trzeciego”. Odbieram to jak gdyby to po moją głowę przybywała dwójka oprawców. Sztylet, miecz, topór, kłanstwo, fałsz, podstęp, zdrada, morderstwo — tworzywo Szekspira. Nie lubię jego sztuki! Czyżby ten wierszokleta już wtedy pracował dla namiastki firmy?

„Orwelliade” miałem zadedykować... Byłem w kłopotach: ojcu, który jest dla mnie gwiazdą przewodnią, matce czy memu życiowemu wzorcowi, Davidowi?

Opróżniłbym butelkę „Heidsieck Brut Dry”. Niezła winnica. Matka przepada za szampanem. Złociste bąbelki i wytrawne wino, żadnych innych alkoholi. Cieszę się z jej małego rauszu.

Ale co się zaczyna... Imponujące pudło róż. Cała sala jest podziwiała. Ręce matki ze mną wędrują do czoła.

— To dla mnie? — Boy wskazuje głową pana siedzącego w towarzystwie młodej kobiety. Niezwykle podobieństwo, na pewno córka.

— Tak, Madame.

Wytworny pan w czarnym smokingu przeszedł przez salę ukłon. Poszedłbym o zakład, że to arystokrata.

Zgadiem!

Wizytówka: Maximilian-Ludwig von Alterwald. Nad nazwiskiem rodowy herb: dwa poszczerbione miecze na krzyżackiej tarczy. Żadnego tytułu, żadnej funkcji, ale herb wystarcza. Miecz w obronie wiary poszczerbione. Na odwrocie karty: „Przebiegny Pani”.

Matka jak ścięta z nog, gdyby wypadało, sięgnęłaby po puderniczkę.

Sprawy w tym kraju są dopięte na ostatni guzik.

Drygent orkiestry pochyla ucho ku kierownikowi sali, potakuje, wertownie nut i batuta w górę. „Tango Marina”. Niemiecki przebieg lat wojennych. Piekielnie okliwy. Nie wiem, czy przypominanie go sobie w okopach w Rosji zagrzewało do walki na bagnety. Na sali poruszenie, wytworny pan sunie ku naszemu stolikowi.

— Jeśli szanowny pan laskawie pozwoli... Laskawie pozwałam poprosić do tańca moją matkę.

Galanteria sprzed wieków. Nasz dżentelmen z epoki „Przeminieło z wiatrem” wybranki do tańca przywoływał kiwnięciem palca. — Na Boga — zdążyłem powiedzieć matce, nim wyprężył się przed nami — tylko nie odmawiaj. Błagam! I nie przynawaj się do Ameryki. Jesteśmy niemieckojęzycznymi Szwajcarami!

Jego córka. Dwaj młodzi panowie zostali przez nią odprawieni z kwitkiem, wyraźnie rezerwuje się dla mnie. Nie pójdę!

Moja matka w ramionach potomka krzyżowych rycerzy, którzy na karkach niewiernych poszczerbili sobie miecze. Europa fine de siecle na parkiecie. To musiały być czasy!

Facet ma klasę. Widzę go w pojedynku na pistolety. Monokl w oku, korporancko-akade-

micka blizna po szabli na policzku, wyprężona pierś, dziesięć kroków przed siebie, w tył zwrot bez zmużenia oka pal! — ta klasa. Matka wyglądała jak królowa. Gdzie nauczyła się tak tańczyć, przecież ojciec nie umiał zrobić w takt muzyki owych kroków. Przepiękna, napawa mnie dumą. Zawiedziona obrotem sprawy córka „poszczerbionego” ulotniła się gdzieś, uwaga! moją skupiam na królowej sali i jej rycerzu. Wygląda na pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt siedem albo sześćdziesiąt lat, ale nie tak sprawianych jak mój ojciec; Europa nie haruje tak jak Ameryka. Maximilian-Ludwig von Alterwald... Gdzie ja to słyszałem? Wzrost i wieść: mój ojciec, doskonale utrzymany jak na swoje lata, w kłapie smokinga jakaś złota miniaturka. Imiona bawarskiej arystokracji gdzieś jednak obijały mi się o uszy. I to nazwisko. Wystraszony wzrokiem przyglądam miniaturkę z jego klapy do siebie. Jest to, jeżeli się nie mylę... Strasznie przypięte to tango, matka mogłaby z trochę większym dystansem. Nie tak bledro w biodro. O, tak! Jest to, jeśli wzrok mi się nie zepsuł... Mam: miniaturka orla lotniczego. Nieprawdopodobnie! Ten Maximilian-Ludwig — takich imion się nie zapomina. Ani takich facetów! Podobizna jego, o trzydziści sześć lat młodszego, pałeta się w wojennym albumie ojca. To musi być on! Pukownik pilot Maximilian-Ludwig von Alterwald.

Ojciec ma między innymi na rozkładzie dwóch słynnych myśliwców niemieckich. Obu zestrzelił, ale nie zabił: nad Londynem słynnego generała Sperlinga, przyjaciela generalnego inspektora lotnictwa Udet, który po bitwie o Anglię, obciążony przez Hitlera odpowiedzialnością za klęskę Luftwaffe, popełnił samobójstwo. Była to jedna z sensacji drugiej wojny światowej. Sperling, as myśliwski już w czasach pierwszej światowej, dla odróżnienia się w powietrzu latał samolotem specjalnie pomalowanym w żółto-czerwone błyskawice, sztyt od wiał sobie jasnopomarańczowym szaleem. Fanatyczny wyznawca nazizmu i bożyszcze Niemiec rzucił brytyjskim myśliwcom chępliwe wyzwanie do pojedynku; przedstawiony w obóz jenieckim swemu zwycięzcy, odmówił rozmowy z nim; całkowicie przeciwieństwo asa Jagdluftwaffe w armii marszałka Rommla, dżentelmeńskiego Maximiliana-Ludwiga Alterwalda, którego ojciec zestrzelił w pojedynku nad El Alamein i oświadczył — rzadki przypadek, dużo o tym się rozpisywano — wziął do niewoli. Na jednym zdjęciu zwycięzca i pokonany. Jeszcze w kurtkach bojowych i pilotkach, ucinają sobie pogawędkę. Podniebni przeciwnicy.

A teraz bogdaną rycerskiego zwycięzcy w szponach rycerskiego pokonanego. Ciekawe, czy Bóg, oszczędzając mu wtedy życie, już układał sobie tę kombinację? Stanowią wspaniałe dobraną parę, tańczą nocy. Fred Astaire ze swoją Ginger. Niewyszumiana młodość odezwała się w niej. Gdyby wiedziała, jak bardzo jej w tych okolicznościach do twarzy. Graf Maximilian-Ludwig und seine Geliebte mają zaszczyt prosić szanownych gości na uroczysty show z okazji Okazji, jaki odbędzie się na Zamku... Dyskretna zapewniona.

Wciąż nie może odzyskać zagubionego na parkiecie seattle'owskiego rytmu. Przeszaleć cały wieczór z przypadkowo spotkanym człowiekiem? Zupełnie zapomnieć o świecie na oczach swego syna?

Ich dylemat wszechczasów: Co ja sobie o niej pomyślę?

— Zamienimy się pokojami — zaproponowała.

— One są cudowne.

— Ależ, mamol!

— Nie nazywaj mnie stale mamą, nie wyglądam na to...

— Z tym się zgadzam.

— Dzieki, zamienimy się. Biagam. Nie zdradziłam mu numeru mego apartamentu, wierzysz mi? Pytał, ale nie zdradziłam. Nie odpowiadałam na żadne osobiste pytanie, wierzysz mi? — Mówię szybko, milczenie mogoby ją zabić. — Nie był natrętny, to prawdziwy dżentelmen, ale na wszelki wypadek. Ty przeniesiesz się do mego apartamentu, ja do twojego. Mieszka piętro wyżej, dokładnie nad nami, tak myślę, bo końcówka jego numeru taka sama. Jak mogłeś być tak okrutny dla jego prześlizniętej Karoline-Luise?

Ociara chusteczka zwilżone czoło. Czoło — paperek iakmusowy ich myśli, bo oczami umięją matczy.

— Tak — ciągnie urwany wątek — jutro zmienimy hotel. Jeszcze przed śniadaniem przeniesiemy się do Bayrischer Hof. Ach, Andy, gdybyś wiedział jak bardzo tęskniłam za tobą!

Opatulona w kocie przesiedziała w fotelu do białego rana. O drzwi dalej marnował się w pustostanie trzypokojowy apartament z puchowym łóżem. Byłem świadkiem młok ptaka schwytanego w potrzask własnej chuci. Zyczyłem mu kapitulacji. Telefon wydzwaniał, gdyby nie moja obecność, podniosłaby słuchawkę. Wyszczerebionemu też zabrakło odwagi, by zejść piętro niżej po gotowy łup, chyba telepatycznie wyczuł roszade z apartamentami.

Z diaboliczną satysfakcją przyglądałem się z łóżka jej cierpieniu.

Wielka sala Bayerische Staatsoper do ostatniego miejsca na galerii nabiła widzami. Bilety wykupiono już przed miesiącem. Największe wydarzenie artystyczne roku w całej Bundesrepublik, czy wiem o tym? Większe od festiwalu w Bayreuth, czy wiem o tym?

Nie znam się na tym gatunku sztuki. Długo nie milknąc owacja na cześć dwucetnarowej

w:dtwórczyni roli Salome zdaje się potwierdzać tę opinię. Reprezentacyjna łoża szefa Land Bawarii oddana do naszej dyspozycji. W ciemnościach za moimi plecami Oni. Sami. Nie mnie nie obchodzi, jak daleko boia dusiciel opłatał swoją ofiarę i gotuje się do pożarcia, nie moja to sprawa; ofiara ma swoje lata i wie, co robi. W przeraźliwie błękitnych oczach Karoline-Luise odbija się dno Jeziora Bodeńskiego. Nie mnie nie obchodzi kolor jej oczu, nie interesuje mnie głębia tego jeziora, nigdy się na te wody nie puszczę. Matylda, moja arystokratyczna współpasażerka z pociągu do Monachium, która zapalała do mnie na pewno nie matczynym afektem, nie może usnąć. Cierpi na migrę aklimatyzacyjną — Dolna Saksonia a basen Morzu Śródziemnego — nie mogą spać, z balkon „Hotelu Negresco” rozmawia z księżycem o swojej rozterce. Pal licho jej zmartwienia, w tej chwili interesuje mnie coś innego, a właściwie nie interesuje: nie umiem, fizycznie nie mogę myśleć o matce w tych kategoriach. Tak samo jak o „higienicznym” raz na tydzień puszczaniu się Helen. Kazirodce to, wstrętne, bronię się przed natrętnym tych myśli, ale dama za moimi plecami to moja-rodzicielka, a kosmita z Good Weather Street 17, wiszący na niej jak na jedynym gwóźdźu na ścianie swego życia, to moja gwiazda przewodnia, która, gdyby dama ta... Wielki dramat stworzył Richard Strauss. Ogromny. Czuje, że jego prawdziwy epilog rozegra się daleko od sceny Bayerische Staatsoper.

Matka dobrze oceniła urodę Karoline-Luise: śliczny kwiat od paru lat już dojrzęła, ale wyhodowany w oranżerii, a ja wolę kwiaty rosnące dziko. Jasnobłond włosy zwinięte na skroniach w Brunhildę, brwi, rzęsy, wargi — żadnej koncesji na rzecz sztuki: wielu rasowo czystych ogrodników musiało nad tym kwiatkiem pracować, specjalistów innych dyscyplin także. Widzę ją w długiej białej sukni grającą na harcie, widzę w chórze aniołów, jako kapłankę w świątyni Westy ją widzę, ale nie w łóżku z mężczyzną. Niemiecka pedanteria, niemiecka perfekcja wykonania; kochać się z takim produktem... Powracam do spektaklu. Karoline-Luise jest encyklopedią opery. Sopran dramatyczny. Liczyny, koloraturowy, mezzosoprano, alt, fraza, partytura, libretto... Mój Boże, gdyby nasze dziewczyny karmili chłopaków taką papką, Ameryka wymarłaby na skutek zaniku reprodukcji prostej. A w ogóle „Salome”. Czy wiem — usłyszałem przed podniesieniem kurtyny — że motywem przewodnim opery nie jest zdarzenie historyczne, a mściwość Herodiady przeniesiona na swoją córkę Salome, która swym tańcem wzbudziła zachwyt króla Heroda, wykorzystany przez matkę dla zaspokojenia żądzy zemsty na podziwianym przez Heroda Janie Chrzcicielu? Odwieczna meka kobiety dążącej do podporządkowania sobie pożądanego mężczyzny — o to w tej operze chodzi. Czy wiem — szepem w trakcie spektaklu, dotykając mego ramienia milimetrem kwadratowym powierzchni obnażonego łokcia — że nie spełnione pożądanie kobiety przemienia się zawsze w destrukcyjną nienawiść? Mężczyźni tego nie rozumieją!

Metafizyka, mistyka, libido, fetyszizm, destrukcja — nie nie rozumieją! Udawałem wzruszonego. Strauss mieszkał w Wiedniu Freud też. Pewnie blisko siebie mieszkali i często się widywali — kłóli mi się w głowie, ale nie za bardzo, gdyż całą moją uwagę skupiałem na zainteresowaniu jej ojca mną. Przypominam mu kogoś. Kogoś z odległej młodości. Niezła pamięć wzrokowa ma facet. Tylko to nazwisko. Gdyby nie twarde „k”, nie dające się wcisnąć w foremkę języków zachodnich, i mój doskonały, jak na Amerykanina, niemiecki. Ten żart ze Szwejcarem był wybory. Wirklich, auszeichnend war!

Siedziałem kwaśny. Z całej opery jedynie święta głowa Jana Chrzciciela podana na srebrnej tacy ożywiła mnie. Oryginalne zachcianki miała Herodiada, ale żadnej wyobraźni: na jej miejscu podszepniałbym córce nagrodzenie jej tańca głową kogoś innego... Karoline-Luise wyszła z łoża z podkrążonymi oczami. Jej ojciec był przejęty głosem odtwórczyni roli Salome, podobno drugim w świecie, po Marli Callas. Ogromne przeżycie artystyczne, musimy uczyć się czymś typowo bawarskim. Oktoberfest. Cze! Monachium szaleje, mowy nie ma o powrocie do hotelu.

Noc rozstrzygnięć. Muszę zachować absolutną trzeźwość umysłu.

Mój podręczny minibar, oprócz napojów gazowanych, likierów i win, oferuje: Doornkaat, Smirnoff Wódka, polska wódka Wyborowa, Laird O'Logan, White Horse, Old Grand Dad, Black Label, Johny Walker, Chivas Regal, London Dry Gin, Campari. Słęgam po przejrzystą butelkę z Polską Wódką Wyborową. Ale nie, za mocne to. Butelkę wstawiam na swoje miejsce, do szklanki wlewam podwójnego burbona, bez lodu. Ręce. Przy nalewaniu drżały mi ręce.

Pewna dama w przypływie świętego ognia, jaki damy ogarnia, na pożegnanie rzuciła mi w apasce pierścionek z brylantem. Hotel Negresco, Nicea. Jeżeli mi nie odpowiada, przyjeżdż do każdego wyznaczonego przez mnie miasta.

Pierścionek parzył mnie. Ten brylant wart był chyba ze trzy tysiące dolarów...

Poleciłem służbie hotelowej odesłać pierścionek pocztą. Adres: Hrabina Matylda von und zu Wunstorfberg, Hotel Negresco, Nicea.

Popelnilem błąd. Sprawę mojej sytuacji materialnej powinienem był postawić od razu jasno. Nie chodzi o doradźni zastrzyk uskładany z kieszonkowego. Potrzeba mi środków utrzymania na około pół roku, chcąc zorganizować taką kwotę poza plecami ojca, matka musiałaby wziąć pożyczkę w banku pod zastaw swojej polisy ubezpieczeniowej. Przegrana sprawa. Wszystko z matką przegrane.

C.D.N.